

Barbara Cartland

Rytmy miłości

The drums of love



Od Autorki

Kiedy odwiedziłam Haiti, spotkałam Katherine Dunham, która na temat voodoo wie więcej niż ktokolwiek w tym kraju.

Sławna czarna balerina, nie uprawiająca już zawodu, w ogrodzie swojego pięknego domu postawiła własną świątynię voodoo. Podarowała mi zastygły odprysk meteorytu, jaki znajduje się w każdej świątyni i jest w posiadaniu wszystkich tamtejszych kapłanów, zwanych papaloi.

Odwiedziłam też świątynię należącą do Jeana Beauvoira, doktora nauk ścisłych. Obejrzałam występ adeptów voodoo, chociaż nie pozwolono mi pozostać na prywatnej ceremonii odprawianej później, a dostępnej tylko dla wtajemniczonych. Tancerze tańczyli fantastycznie, bębny hipnotyzowały rytmem.

Opisałam to w powieści na tyle prawdziwie, na ile to możliwe.

Voodoo, które obecnie nie jest ścigane prawem, obejmuje swym zasięgiem na Haiti ponad sześćdziesiąt procent społeczeństwa. Katolicyzm i voodoo spotykają się tam niemal na tym samym gruncie.

Rozdział 1

Rok 1805

W pływamy do portu!

Kirk Horner mówiąc to podniósł się i podszedł do bulaja, by spojrzeć na przystań Port - au - Prince, wypełnioną małymi łódkami i statkami, nie dorównującymi wielkością amerykańskiemu szkunerowi, którym płynął.

- Właśnie zaczyna się moja przygoda! - rozległ się głos z tyłu; wysoki Amerykanin o kwadratowej szczęce odwrócił się w stronę mówiącego.

- Zmień decyzję, Andre - poprosił z naciskiem. - Wracaj ze mną do Bostonu. Popełniasz błąd, którego możesz gorzko żałować, zakładając, że w ogóle przeżyjesz i będziesz w stanie cokolwiek odczuwać.

- Rozmawialiśmy już na ten temat wcześniej - przypomniał Andre de Villaret - a perspektywa dalszego życia w ubóstwie stanowi, zapewniam cię, zupełnie wystarczający bodziec.

- To szaleństwo! Czyste szaleństwo! - z przekonaniem wykrzyknął Kirk Horner. - Ale wygląda na to, że nie pozostaje mi nic innego, jak pomóc ci, choć moje przeczucia są jak najgorsze.

- Zanim wsiadłem na pokład, przyrzekłeś mi pomoc i mam zamiar trzymać cię za słowo - ostrzegł drugi mężczyzna. - Lepiej więc zastanówmy się nad planem działania. .

Amerykanin ponownie odwrócił się w stronę bulaja i wyjrzał na zewnątrz.

Zaraz za portem rozciągało się miasto Port - au - Prince, a za nim góry, szkarłatnogrnatowe, ponure i groźne mimo olśniewającego słońca.

Reszta krajobrazu tonęła w zieleni tak głębokiej, że aż oślepiającej. Białe domy widoczne w oddali zdawały się

emanować dziwnym światłem - zjawisko niemożliwe w innej strefie geograficznej.

- Na razie - odezwał się Kirk - nie ruszaj się z pokładu, dopóki nie skontaktuję się z pewną osobą; moim zdaniem, ona jedyna może pomóc w tym zwariowanym przedsięwzięciu.

- O kim mówisz? - zainteresował się Andre de Villaret.

- To Jacques Dejean, Mulat.

Andre wiedział, że mowa tu o osobie, której rodzice pochodzą z dwu różnych ras, białej i czarnej.

Widywał Mulatów w Ameryce, a już wcześniej Kirk poinformował go, że Mulaci na Haiti gardzą czarnymi, a ci w zamian nienawidzą Mulatów niemal tak samo jak białych.

Zdaniem Amerykanina, dla Francuza pobyt na Haiti w obecnej chwili równał się czystemu szaleństwu.

Jean - Jacques Dessalines, dowódca wojsk haitańskich, sprawca bestialsko okrutnych morderstw dokonywanych na francuskich plantatorach, a także na każdej białej osobie zamieszkującej wyspę, ogłosił się przed rokiem cesarzem Haiti.

Jedną z pierwszych decyzji, jaką podjął po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości, była zmiana kroju żołnierskich mundurów.

Firma z Bostonu przygotowała dwa tysiące sztuk uniformów, znajdujących się w tej chwili na pokładzie szkunera, którym podróżowali Andre de Villaret i jego przyjaciel Kirk Horner.

Prezydent Ameryki wysłał Kirka, by zebrał dane do raportu na temat sytuacji na wyspie.

Amerykanie zamierzali odzyskać dawną pozycję w handlu z Haiti, którą odebrał im szwagier Napoleona Bonaparte, generał Leclerc.

Jednakże francuski wicekonsul w Filadelfii ostro zaprotestował nie tylko przeciwko stosunkom handlowym z

armią Dessalines'a i przybijaniu amerykańskich statków pełnych broni i amunicji do brzegów wyspy, ale wręcz oskarżył Amerykanów o wysyłanie murzyńskich rekrutów do pomocy rebeliantom w walce z resztką Francuzów i Hiszpanów.

Haiti płaciło za usługi bawełną, miedzią, drewnem, a nawet dolarami. Nie można też było nie doceniać zasobów srebra Dessalines'a.

Kraj został całkowicie zdewastowany i inne państwa nie bardzo się orientowały, jaka właściwie sytuacja panuje na Haiti. Kirk, który odwiedził wyspę przed dwoma laty, spodziewał się zastać ją ogromnie zmienioną, głównie pod wpływem rządów przywódcy - tyrana.

Kirk, zdając sobie sprawę, jak okrutnym jest on człowiekiem, fanatykiem o sadystycznych skłonnościach, istotnie obawiał się o życie przyjaciela.

Ich znajomość trwała już kilka lat, i zawsze kiedy Amerykanin odwiedzał Anglię, zatrzymywał się u rodziny Andrego de Villareta.

Ten zaś zainteresował się Haiti, wysłuchując opowieści kolegi z zagranicy; miał również rodzinne powiązania z wyspą dzięki stryjowi, bogatemu plantatorowi, który zginął w czasie rewolucji.

Stryjowi udało się ocalić życie w czasie pierwszego powstania w 1791 roku z tej prostej przyczyny, że znakomicie zarządzał posiadłością de Villaretów, a co więcej, nie traktował niewolników w tak niehumanitarny sposób, jak to się zdarzało na innych plantacjach.

Ostatecznie jednak do Andrego dotarła informacja przesłana przez Kirka, że stryj i jego trzech synowie zostali zamordowani. Wiadomość tę Amerykanin uzyskał w czasie swojej ostatniej wizyty na Haiti.

Andre zaskoczył go więc całkowicie, kiedy przed dwoma miesiącami pojawił się w Bostonie prosząc o pomoc w przygotowaniach do wyjazdu na wyspę.

- To niemożliwe! - odpowiedział wtedy Kirk przyjacielowi. - Jean - Jacques Dessalines poprzysiągł zabić każdego białego, który pojawi się na wyspie. Jego nienawiść osiągnęła szczyt, to fanatyk, i nie dam dwóch centów za to, że przeżyjesz, jeśli twoja stopa dotknie haitańskiej ziemi.

Po czym opisał przyjacielowi dyktatora.

- Nie jest wysoki - opowiadał - ale za to zbudowany jak goryl. Szerokie ramiona podtrzymują tłusty, byczy kark. Pod ohydnie rozdętymi nozdrzami i krzywym nosem znajdują się grube, wydęte wargi. Ma niskie, cofnięte czoło, a kępki sztywnych włosów sięgają niemal brwi.

- Z pewnością nie jest specjalnie atrakcyjny, sądząc z tego opisu - żartował Andre.

- Nie ma się z czego śmiać - ostro zganił przyjaciela Kirk. - Ten człowiek wzbudza postrach wśród własnych ludzi, a w ataku hysterii potrafi podejrzewać każdego i bez końca mówi o krwi i zniszczeniu.

- Dochodziły mnie słuchy - wtrącił Andre - że używał diabelskich podstępów, przyrzekając białym mieszkańcom wyspy ochronę, jeżeli tylko się poddadzą, po czym, kiedy mu zaufali, zabijał ich bezlitośnie.

- Ulice Jeremie spłynęły krwią, kiedy wymordował czterysta pięćdziesiąt osób - mężczyzn, kobiet i dzieci - dodał Kirk. - Nawet Christophe, jego głównodowodzący, był przerażony takim okrucieństwem!

Zamilkł, by jego słowa dotarły do świadomości rozmówcy. Następnie spytał:

- Czy budzi zatem twoje zdziwienie, że prezydenta Ameryki ogarnia trwoga na wieść, iż podczas podpisywania Deklaracji Niepodległości zwolennicy Dessalines'a przy

wtórce dzikich oklasków krzyczeli: „By ustanowić tę deklarację, potrzebujemy skóry białego człowieka na pergamin, jego czaszki na kałamarz, krwi na atrament i bagnetu zamiast pióra”?

- Ciarki przebiegają mi po plecach, gdy cię słucham - rzekł Andre. - Mimo wszystko jednak zdecydowany jestem odszukać skarb, który mój stryj zakopał gdzieś na plantacji.

Kirk wiedział już, iż jest to główny cel podróży przyjaciela.

Kiedy umarł jego ojciec, Andre przejął tytuł hrabiego de Villaret, a tym samym stał się głową rodziny. Nigdy się nie spodziewał, że osiągnie tę pozycję. Jego dziadek miał trzech synów, spośród których ojciec Andrego był najmłodszy.

Wiedząc, iż we Francji nie zanoszą spokoju, a chłopcy wyrażają coraz to większe niezadowolenie, Philippe, drugi syn, u początku lat siedemdziesiątych XVIII wieku osiedlił się na Haiti, zamierzając pozostać tam na stałe.

Często pisywał do domu, donosząc rodzinie, iż stał się człowiekiem bogatym dzięki uprawie bawełny i kawy, które to produkty osiągały dobre ceny w całym Nowym Świecie.

Potem wybuchła we Francji rewolucja i hrabia de Villaret wraz z najstarszym synem znaleźli się pośród nieszczęśników skazanych na gilotynę.

To oznaczało, że Philippe de Villaret, osiadły na Haiti, został głową rodziny; jego młodszy brat, Francois, wraz z żoną Angielką i synem Andre pośpiesznie wyemigrowali do Anglii.

Andre zdobył wykształcenie w szkołach angielskich, uczęszczał na angielski uniwersytet, a większość jego znajomych stanowili Anglicy.

Jednak ojciec Andrego nie posiadał dużego majątku i tylko dzięki życzliwości krewnych matki mogli żyć we względnym komforcie.

Wiadomość od Kirka, dotycząca śmierci Philippe'a de Villaret ponownie zmieniła sytuację: teraz ojciec Andrego zyskał miano głowy rodziny, a kiedy zmarł w roku 1803, tytuł hrabiego de Villaret przypadł młodemu Andre; nie posiadał on jednak żadnych środków, by godnie piastować tę tradycyjną, honorową funkcję.

Właśnie wtedy postanowił dokładniej przeanalizować listy stryja Philippe'a z Haiti.

Ostatni z nich, napisany na kilka miesięcy przed masakrą, wydawał się Andreemu wielce znaczący.

„Sytuacja tutejsza przybiera zatrważający obrót - pisał Philippe do brata. - Codziennie dochodzą mnie wieści o straszliwych okrucieństwach, jakich dopuszczają się rebelianci na plantacjach moich przyjaciół. Mężczyźni, zanim zostaną zabici, poddawani są potwornym torturom, kobiety zaś albo gwałcone, albo wysyłane w charakterze niewolnic do pracy na plantacjach, które teraz należą do czarnych.

Czynimy plany, by uciec, ale każdy pomysł wydaje się w tej sytuacji beznadziejny. Obawiamy się, iż ściągając na siebie uwagę, możemy podzielić los innych; ta ewentualność wydaje się niestety coraz realniejsza”.

Dalej następowało bardzo istotne zdanie, które Andre odczytywał kilkakrotnie:

„Majątek mój mogę powierzyć jedynie ziemi, oczywiście pokładając ufność w Bogu, że będzie nad nim czuwał”.

- Te słowa - zwrócił uwagę Kirka Andre, pokazując mu list - stanowią w moim mniemaniu zupełnie jasną wskazówkę stryja dla mojego ojca, że pieniądze zakopane są w ziemi, gdzieś w pobliżu kościoła.

- To istotnie może być prawda - zgodził się Kirk. - Wszyscy plantatorzy zakopywali pieniądze i kosztowności. Dessalines doskonale o tym wiedział i albo tak długo torturował ofiary, aż ujawniły miejsce ukrycia skarbów, albo

też sam przeszukiwał teren; podobno zebrał z plantacji obfite łupy.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

- Kiedy Dessalines wyjeżdżał z Jeremie, podążało za nim dwadzieścia pięć mułów obładowanych srebrem stołowym i innymi drogocennymi przedmiotami. Ale słyszałem też, że to nic w porównaniu z majątkiem, jaki wywiózł z Aux Cayes; skarby te w większości zakopano właśnie w ziemi.

- Muszę zaryzykować - oświadczył Andre, - Jak dotąd, zawsze byłem optymistą.

- A więc będziesz martwym optymistą - oschle zauważył Kirk - podobnie jak tysiące twoich ziomek.

Uśmiechnął się.

- Szczęśliwie się składa, że nie wyglądasz na Francuza. Jesteś zbyt potężnie zbudowany.

- Nie zapominaj, że moja matka jest Angielką - przypomniał mu Andre.

„Nie ulega wątpliwości - pomyślał Amerykanin - że hrabina de Villaret przekazała cechy mężczyzn ze swej rodziny synowi”.

Ciemne włosy i oczy Andre odziedziczył po ojcu, ale wzrost po krewnych matki.

Szerokie ramiona, wąskie biodra i atletyczną budowę uważano w Anglii za odpowiedni wizerunek dla eleganckich młodych ludzi z otoczenia księcia Walii.

Andre również mógł się poszczycić niezłą tężyzną fizyczną, ale ta, jak pomyślał zniechęcony Kirk, nie na wiele się zda na Haiti, gdy wziąć pod uwagę jasny kolor skóry przyjaciela.

Amerykanin ponownie odwrócił się w stronę bulaja i powiedział;

- Przy odrobinie szczęścia mój przyjaciel Jacques Dejean wejdzie na pokład, gdy tylko zauważy nasz statek. Oczekuje mnie, a raczej powinien oczekiwać, już od dwóch miesięcy.

- Masz przyjaciół wszędzie - wesoło stwierdził drugi mężczyzna.

- Przy takiej pracy jak moja są mi oni niezbędni - wyjaśnił Kirk.

- Tak naprawdę chodzi o szpiegów, byś przy ich pomocy mógł wykryć, co w trawie piszczy - zażartował Francuz. - Ale nie obchodzi mnie, kim są lub czym zajmują się twoi przyjaciele, jeśli tylko mogą mi pomóc.

- Jesteś wstrętnym, zapatrzonym w siebie egoistą - roześmiał się Kirk. Amerykanin, doskonale znając przyjaciela, wiedział jednak, że kiedy ten zdecyduje się coś doprowadzić do końca, koncentruje się całkowicie na wytkniętym celu i nic nie może zmienić jego postanowienia.

Kirk wyszedł z kabiny, a Andre usiadł na krześle. Jego twarz wyrażała absolutną determinację; rodzina młodego człowieka dobrze znała ten wyraz.

Andre nie tylko musiał odeprzeć błagania matki, która prosiła go, by nie wyruszał w tę podróż, i nie tylko bez końca sprzeczać się z Kirkiem, ale też - ponieważ realnie patrzył na świat - sam uporać się ze świadomością niebezpieczeństwa, na jakie się narażał.

Cała historia z rewolucją niewolników na Haiti, spalenie miasta Le Cap na widok podpływającego do brzegów generała Leclerca, jego śmierć na żółtą febrę oraz wznowienie wojny między Francją a Wielką Brytanią - wszystko to składało się na wielką klęskę Francuzów.

Ale z tego, co Andre słyszał na temat traktowania czarnych niewolników przez francuskich plantatorów, wynikało, iż rebelii można się było spodziewać wcześniej czy później.

Niewolnicy mieli niebywale szczęście, posiadając dwóch znakomitych przywódców w osobach Jean - Jacques'a Dessalines'a i Henry'ego Christophe'a.

Pierwszy, choć znany jako brutal i sadysta, przede wszystkim wyróżniał się odwagą i żołnierskim doświadczeniem. Christophe, łagodniejszy i bardziej zrównoważony, skutecznie wynegocjował ocalenie życia niektórym Francuzom, zwłaszcza tym, co dobrze obchodzili się z czarnymi, a także księżom i medykom służącym w armii rebeliantów.

Niemniej Andre znał statystyki: dziewięć dziesiątych populacji francuskiej na wyspie po prostu zniknęło z powierzchni ziemi, Dessalines zaś nadal zabijał i torturował nielicznych, którzy jeszcze utrzymali się przy życiu.

Mężczyzna wciągnął powietrze głęboko w płuca.

- Jeżeli umrę, to trudno! - powiedział sobie w duchu. - W każdym razie warto zaryzykować, przynajmniej moja krew zmiesza się z krwią rodaków, która wsiąkła w ziemię Haiti.

Drzwi kabiny otworzyły się i pojawił się w nich Kirk.

- Pomyślne wieści! - zawołał. - Miałem rację sądząc, że Jacques Dejean będzie mnie oczekiwał. Już Jest na pokładzie, możesz się z nim zobaczyć.

Po tych słowach do pokoju wszedł nieznany mężczyzna. Andre przyjrzał mu się bardzo uważnie, wiedząc, iż wiek zależy teraz właśnie od niego.

Jacques Dejean miał skórę koloru złotego brązu, i gdyby Andre spotkał go w Anglii, pomyślałby, że jest po prostu opalony. Jednak mimo że rysy twarzy przybysza miały typowo europejski charakter, jego czarne włosy skręcały się podejrzanie mocno w loki, a oczy lśniły głębokim, ciemnym blaskiem.

Ubranie gościa nie ustępowało elegancją odzieży Andrego czy Kirka. Wytworny muślinowy krawat miał węzeł

zawiązany z niezaprzeczną maestrią, a jaskrawoniebieska marynarka leżała na właścicielu niemal za dobrze.

- Jacques - odezwał się Kirk - przedstawiam ci mojego przyjaciela Andrego, który potrzebuje twojej pomocy, a ja przyrzekłem mu, że nie odmówisz swego wsparcia.

- Każdy twój przyjaciel... - zaczął Mulat. - Wiesz przecież, że ślubowałem ci dozgonną pomoc.

Mimo trochę przesadnej retoryki słowa przybysza brzmiały prawdziwie i Francuz, przyglądając się mężczyźnie, pomyślał, iż jest to człowiek godzien zaufania.

Zerknął jednak na Kirka, szukając potwierdzenia swoich przypuszczeń. Przyjaciel, jakby rozumieli się bez słów, powiedział:

- Kiedyś na bardzo wzburzonym morzu uratowałem Jacques'owi życie. W zamian przyrzekł mi dozgonną pomoc; dotyczy to także ciebie. On nigdy nie łamie danych obietnic.

- To prawda - potwierdził Mulat. - A zatem, monsieur, co mogę dla pana zrobić?

Obydwaj, Andre i Kirk, wyglądali na zaskoczonych. Użycie przez przybysza słowa monsieur wyraźnie wskazywało, że wie on, iż ma do czynienia z Francuzem.

Amerykanin podszedł do drzwi kabiny, by sprawdzić, czy są szczelnie zamknięte. Potem zapytał:

- Czy narodowość mojego przyjaciela tak bardzo rzuca się w oczy?

- Interesuję się trochę ludzką psychiką - wyjaśnił Mulat - a poza tym fakt, że twój towarzysz potrzebuje pomocy i na dodatek nie wyszedł na pokład, by się ze mną spotkać, od razu wzbudził moje podejrzenia. Kiedy go zobaczyłem, utwierdziłem się w przekonaniu, iż nie jest Amerykaninem. Andre roześmiał się.

- Miałem właśnie zamiar oznajmić, że jestem Anglikiem. Połowa mojej krwi należy do tej nacji.

- Ja zaś w połowie jestem biały - przypomniał Jacques - ale to wcale nie oznacza, że biali mnie akceptują, no, może jedynie wtedy, kiedy jestem dla nich użyteczny.

W słowach Mulata nie słychać było żalu, były po prostu rzeczowym stwierdzeniem faktu.

- Doskonale, przyznaję, że jestem Francuzem. Nazywam się, o czym Kirk zapomniał wspomnieć, Andre de Villaret.

Po chwili zastanowienia Mulat zapytał:

- Jest pan krewnym de Villareta, którego plantacja znajdowała się w dolinie Black Mountains?

- Zgadza się.

- On nie żyje.

- To właśnie powiedział mi dwa lata temu Kirk.

- W takim razie po co pan tu przyjechał? - pytał dalej Jacques.

Czując, że nie ma nic do stracenia, Andre postanowił wyjawić prawdę.

- Jestem przekonany, że stryj zakopał gdzieś na terenie swojej posiadłości albo pieniądze, albo jakieś drogocenne przedmioty. Ponieważ jego synowie zginęli wraz z nim, ja obecnie zostałem głową rodziny i mnie należy się ten majątek.

- Będzie pan miał dużo szczęścia, jeżeli się okaże, że nasz wspaniały cesarz zostawił je tam dla pana - ironicznie zauważył Jacques.

- Istnieje chyba jakiś sposób, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście je zrabował? - zainteresował się Andre. - Jeżeli tak się nie stało, chciałbym pojechać na plantację Villaretów.

Jacques Dejean wyrzucił przed siebie ramiona w obronnym geście.

- Chciałby pan! - wykrzyknął. - Ale to wcale nie jest takie proste. Proszę mi wierzyć, że spełnienie obydwu pana próśb może okazać się bardzo kłopotliwe.

- Ależ Jacques - wtrącił się Kirk. - Wiesz dobrze, tak samo jak ja, że jeżeli ktoś może pomóc Andreemu, to tylko ty. Musi istnieć jakiś sposób sprawdzenia, co Dessalines ukradł i komu. Słyszałem, że gdzieś w górach ukrył niewyobrażalnej wartości łupy.

- To prawda - przytaknął Mulat - ale on nie umie pisać, tak więc nie posiada żadnego ich rejestru, a wątpię, by powierzył komukolwiek informację o rozmiarach zagrabionego majątku.

Andre wzruszył ramionami, jak gdyby czuł, że zabrnął w ślepej uliczce, z której nie ma wyjścia. Nagle Jacques dodał:

- Istnieje jedna osoba, która mogłaby znać zawartość skarbca Dessalines'a oraz wiedzieć, czy znajduje się w nim coś, co pochodzi z plantacji de Villareta.

- Kto to taki? - zapytał Kirk.

- Orchis - odparł krótko jego czarny przyjaciel.

- Orchis! - wykrzyknął Amerykanin. - Czy ona jest w Port-au-Prince?

Jacques skinął głową.

- Zamieszkała w domu Leclerca i pozuje na siostrę Napoleona Bonaparte, a żonę generała, która po śmierci męża wróciła do Europy i została Jej Cesarską Wysokością Pauliną Borghese.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zdumiał się Kirk.

- Kim jest ta Orchis? - zainteresował się Andre. Amerykanin roześmiał się.

- Jeżeli pozostaniesz na Haiti dostatecznie długo, pewnie dość szybko usłyszysz o Orchis!

- Kim ona jest? - powtórzył pytanie Andre.

- To jedna z kochanek Dessalines'a - wyjaśnił mu przyjaciel. - Dessalines ma ich około dwudziestu, ale ta wypełnia swoje funkcje lepiej niż cała reszta. Choć wszystkie

korzystają z regularnych i hojnych datków z cesarskiej kiesy, podejrzewa się, że Orchis ukradła sam portfel.

Jacques wybuchnął śmiechem.

- Trafiłeś w sedno, mój przyjacielu - zauważył. - Ale przez ostatni rok ekstrawagancje Orchis przekroczyły wszelkie granice. Teraz pragnie, by koronowano ją na cesarzową, tyle że tak się nieszczęśliwie składa, iż Dessalines ma już żonę.

Znowu się roześmiał, po czym dodał:

- Jednakże brak zaszczytów rekompensuje sobie, odgrywając rolę księżniczki Pauliny, co zresztą udaje jej się znakomicie.

- Mówiłeś, że przeniosła się do siedziby Leclerca? - upewnił się Kirk.

- Przyjmuje wielbicieli w czasie śniadań i wieczorem. Właśnie o tej porze monsieur de Villaret powinien się z nią spotkać.

- Sądziłem, że nie będzie to możliwe - zauważył Amerykanin.

- We własnej postaci oczywiście nie - zgodził się Jacques.
- Ale jeżeli zamierza opuścić Port - au - Prince i wyruszyć na wieś, nie może pod żadnym pozorem stanąć na brzegu jako biały człowiek.

Obydwaj, Andre i Kirk, wydawali się zaskoczeni. Mulat wyjaśnił:

- W mieście pozostało jeszcze kilku białych. Na ogół są to amerykańscy zbrojmistrze i obsługa zbrojowni, ale nawet ich Dessalines ledwie toleruje. Pokazanie się w mieście z jasną skórą to pewna śmierć. Wystarczy przejść kilka mil.

- Co w takim razie proponujesz? - rzeczowo zapytał Kirk.

Jacques spojrział na Francuza, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

- Będzie z pana bardzo przystojny Mulat.

- Mulat! - wykrzyknął Andre.

- Na szczęście ma pan czarne włosy - zauważył Jacques - chociaż będziemy musieli je trochę podkreślić. Dobrze, że pańskie oczy nie są niebieskie albo szare, bo moje zadanie stałoby się trudniejsze, ale z ciemnymi oczyma i kolorem skóry takim jak mój z pewnością zda pan egzamin, monsieur.

- Szczerze mówiąc, nie zamierzałem się maskować - wyznał nieco zdetonowany Andre.

- Ależ inaczej zginie pan! - wykrzyknął ciemny mężczyzna. - A jeżeli stanie się to za sprawą Dessalines'a lub kogoś z jego ludzi, niech mi pan wierzy, nie będzie to przyjemne doświadczenie.

- Tak, tak, rozumiem - szybko zgodził się Francuz. Przypomniawszy sobie, z jakim okrucieństwem przywódca

Haitańczyków traktował nie tylko obcokrajowców, ale i niektórych Mulatów.

Słyszał opowieść o tym, jak to Dessalines kazał wprowadzić do swojego pokoju pewnego jeńca, po czym w trakcie rozmowy dźgnął go sztyletem w serce.

Jacques Dejean miał rację. Musi się ucharakteryzować, tak żeby nikt na Haiti nie podejrzewał nawet przez moment, że jest białym człowiekiem, w dodatku francuskiego pochodzenia.

- Pójdę teraz do domu - oznajmił Mulat. - Wrócę tu z barwnikiem pochodzącym z kory pewnego drzewa, który całkowicie zmieni kolor pańskiej skóry. Jeżeli mógłbym coś zasugerować, to radziłbym wybrać najbardziej wyszukany i rzucający się w oczy ubiór. My, Mulaci, lubimy zadawać sztyku.

Odwrócił się, podszedł do drzwi i już w progu zapytał:

- Czy zna pan trochę język kreolski?

- Uczyłem się go przez ostatni rok - powiedział Andre. - Przyznaję, że w zasadzie z książek, ale na statku znalazł się Kreol, który dawał mi lekcje.

- To świetnie - ucieszył się Jacques. - Mulaci - myślę, że Kirk to potwierdzi - bywają często gruntownie wykształceni. Ja sam posiadam dyplomy na potwierdzenie swojej wiedzy, ale zazwyczaj polegam głównie na zdrowym rozsądku.

Wychodzącemu Jacques'owi towarzyszył śmiech Francuza. Kiedy Mulat zniknął z kabiny, Andre znów usiadł na krześle, by cierpliwie czekać na powrót swojego nowego przyjaciela.

Nastał już prawie wieczór i słońce znikało za górami, kiedy dwaj Mulaci zeszli ze szkunera i usadowili się w łódce mającej odwieźć ich na brzeg.

Ciało Andrego w całości pokrywał barwnik. Kiedy Jacques podsunął go Francuzowi pod nos, ten nie mógł powstrzymać się od stwierdzenia, iż maź cuchnie.

- To śmierdzi! - wykrzyknął, wskazując miskę w rękę Mulata i gąbkę, którą mężczyzna zamierzał nakładać barwnik na jego ciało.

- Gdy tylko zetknie się z ciałem, przestaje wydzielać przykry zapach - wyjaśnił Jacques. - Pan musi jednak zmienić nie tylko kolor skóry, ale również sposób myślenia.

Po raz pierwszy w głosie mówiącego zabrzmiały gorzkie nuty.

- Biali tak uporczywie spychali nas w stronę czarnych, że wprawdzie niechętnie, lecz ulegliśmy.

- Słyszałem o tym - przytaknął słowom Mulata Andre.

- Czarni nigdy nas nie lubili ani też nie ufali nam - ciągnął Jacques - ponieważ jednak jesteśmy lepiej od nich wykształceni, a często też posiadamy zdolności białych, zdobyliśmy sobie pozycję, oni zaś uznali nas za pożytecznych. Jednakże zawsze znajdujemy się jakby na ziemi niczyjej,

między białymi a czarnymi, i zapewniam, że nie jest to najprzyjemniejsze miejsce.

- Rozumiem - oświadczył Andre. - Tym większa będzie moja wdzięczność za okazaną mi przez pana pomoc.

Zanim Mulat skończył nakładać barwnik, przykry zapach zdążył wywietrzeć, a Francuz w chwilę potem stanął przed lustrem, krytycznym wzrokiem przyglądając się swojemu odbiciu.

Bez wątpienia wyglądał inaczej. Ale widywał ludzi tak ciemnych jak on w tej chwili, którzy po prostu byli opaleni. Czy rzeczywiście uda mu się kogokolwiek oszukać?

Jacques, domyślając się jego wątpliwości, poradził:

- Wczuj się w rolę. Jesteś Mulatem - zawsze trochę niepewny, trochę zażenowany.

Uśmiechnął się i dodał:

- To jest to, co Amerykanie nazywają „brzemie na ramionach”. Mulaci się z tym rodzą.

- A skąd ja pochodzę? Jaka jest moja przeszłość?

- Jesteś Haitańczykiem, ale kształciłeś się w Ameryce - wyjaśnił Jacques. - Masz na imię Andre. Tego chyba nie musimy zmieniać, Myślę też, że możesz przedstawiać się jako Villaret. Ostatecznie to ojciec był biały, a nie matka, więc wydaje się naturalne, że przyjąłeś jego nazwisko.

- Radzisz mi przedstawiać Philippe'a de Villaret jako mojego ojca, choć w rzeczywistości był on moim stryjem? - zdziwił się Francuz.

- A dlaczego by nie? Nikt nie będzie cię podejrzewał, kiedy zaczniesz zadawać pytania dotyczące posiadłości Villaretów, a w dodatku ponieważ jesteś Mulatem, nikt nie posądzi cię o chęć przejęcia majątku, jako że nic nie dziedziczysz.

- Sprytnie pomyślane - pochwalił Kirk, który wszedł do pokoju, kiedy Andre kończył się ubierać.

- Bardzo sprytnie - przyznał Francuz. - Dziękuję ci, Jacques.

- Musisz jedynie pokazać, jak dobry jesteś w udawaniu - zauważył Mulat. - Wszystko leży w twoich rękach.

- Co mam teraz robić? - zapytał Andre.

- Zejdziemy na ląd. Musisz mówić, że mieszkałeś w Ameryce i właśnie stamtąd wróciłeś. Ten scenariusz pozwoli ci na zadawanie mnóstwa pytań na temat zdarzeń, jakie się tu rozegrały podczas twojej nieobecności.

Po chwili zastanowienia dodał:

- Nigdy nie spotkałeś Orchis, ale o niej słyszałeś. Króluje w Port - au - Prince, odkąd przeprowadziła się do domu Leclerca.

- Czy to Dessalines ją tam umieścił? - zainteresował się Kirk.

- Myślę, że sama o to zadbała - rzekł Mulat. - Bardzo pragnie zostać wielką damą. Jeżeli czary voodoo, które uprawia, posiadają jakąś moc, madame Dessalines może się zdarzyć śmiertelny wypadek, a wtedy Orchis wstąpi na tron.

- Czy cesarz rzeczywiście tak za nią szaleje? - wypytywał Amerykanin.

- Podobają mu się kobiety wykształcone, ekstrawaganckie i doświadczone, a taka właśnie jest Orchis. Co więcej, wszystkie bóstwa działają w jej interesie i nie radziłbym ich lekceważyć.

- Czy mówisz o voodoo? - zaciekawiał się Andre.

- A o czymże innym? - zdziwił się mężczyzna.

- Myślałem, że uprawianie czarów jest zabronione.

- To prawda. Dessalines i Christophe zgodnie uznali je za bezprawne. Twierdzą, że voodoo przypomina o poddaństwie, jest religią niewolników.

- Ale nadal uprawia się te praktyki?

- Oczywiście, że tak - zdecydowanie potwierdził Mulat. - Voodoo stanowi nieodłączny element każdego czarnego mieszkańca Haiti. Tubylcy nie potrafią żyć bez czarów, które są tak głęboko zakorzenione w ich sercach, nawet w sercach katolików, że nie wiadomo, gdzie kończy się voodoo, a zaczyna katolicyzm.

- Zaskakujesz mnie! - wykrzyknął Andre.

- Sam się przekonasz - zapewnił go Jacques. - Ale teraz chodźmy złożyć wizytę madame Orchis, a zobaczysz, jak wygląda zmija o pięknej twarzy.

Francuz pożegnał się z Kirkiem i podniecony zszedł na ląd.

Zaczynała się jego wielka przygoda. To prawda, obawiał się miejscowego tyrana i jego zwolenników, ale Jacques twierdził, że na razie niebezpieczeństwo jest minimalne, ponieważ Dessalines prowadzi właśnie działania wojskowe w hiszpańskiej części wyspy. Andre przyjął tę wiadomość z ulgą.

- Czy wygra? - zapytał Kirk, kiedy Jacques powiadomił go, gdzie się znajduje cesarz.

- Wątpię. Hiszpanie doskonale się obwarowali, a poza tym są znakomitymi żołnierzami.

- Co się stanie, jeśli przegra? - chciał wiedzieć Amerykanin.

- Wtedy zapewne ponowi atak, ale już przy użyciu lepszej broni i większej liczby dział amerykańskich. Wówczas może mu się powieść.

Na pokładzie statku Jacques bez skrępowania wyrażał swoją niechęć i pogardę dla nowo koronowanego cesarza. Jednak kiedy znaleźli się na brzegu, Andre zauważył, że jego towarzysz bardziej zwraca uwagę na słowa.

Wsiedli do powozu stojącego na molo. Choć woźnica nie mógł ich podsłuchiwać, Mulat przez całą drogę rozmyślnie

poruszał jedynie mało ważne tematy. Jechali wąskimi uliczkami, po obu stronach których stały drewniane domki.

W końcu dotarli do domu Jacques'a, gdzie zostawili bagaże. Andre musiał przyznać, że drewniany budynek o ścianach pomalowanych na zielono robi wrażenie.

- Port - au - Prince staje się modne - zauważył gospodarz - ale ponieważ mieszkańcy obawiają się następnego ataku Francuzów, starają się nie wydawać pieniędzy na coś, co łatwo ulega zniszczeniu, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę niebezpieczeństwo ostrzału i pożarów.

Andre domyślił się, że jego towarzysz nawiązuje do znanego wydarzenia: kiedy to Christophe na widok francuskiej floty postawił w ogniu całe Le Cap - port położony po drugiej stronie wyspy.

Po przybiciu do brzegu generał Leclerc zastał jedynie ruiny, szerniałe i wypalone. Mówiono, że jego żona Paulina Bonaparte rozplakała się, ujrawszy miasto.

Szybko jednak znalazła pocieszenie, zajmując piękny dom w Port - au - Prince, zwany odtąd Habitation Leclerc, w którym teraz mieszkała Orchis.

Wreszcie powóz, który wynajęli, wjechał przez potężną żelazną bramę na podjazd zarośnięty po obu stronach tropikalną roślinnością. Ich oczom ukazał się budynek z szarego kamienia z wejściem wspartym na kolumnach.

Andre wyobraził sobie, iż niegdyś musieli tu stać francuscy wartownicy, odziani w szykowne białe - czerwone mundury, w każdej chwili gotowi postawą na baczność oddać honory gościom.

Teraz powitali przybyszów Mulaci w szkarłatnych liberiach. Uprzejmie pozdrowili obu mężczyzn, po czym wąskimi korytarzami zaprowadzili ich do pomieszczenia obok apartamentów madame Leclerc.

Jacques szeptem poinformował Andrego, że Orchis otacza się służącymi Mulatami na wzór Pauliny, która pod pewnymi względami znajdowała mieszańców o wiele bardziej interesującymi niż najbardziej ognisty francuski oficer.

Lokaje Pauliny nosili ściśle dopasowane liberie, wyraźnie podkreślające ich męskie wdzięki, a zaprojektowane przez samą madame Leclerc.

Andre mógł się przekonać, że i w tym względzie Orchis wiernie naśladowała Paulinę.

Zeszli kilka stopni w dół, potem ruszyli greckim portykiem podtrzymywanym przez jońskie kolumny, aż wreszcie znaleźli się nad ośmiokątnym basenem, do którego spienionym strumieniem wpadała krystalicznie czysta woda.

Dookoła rosły krzewy i wysokie drzewa.

Nagle drewniane podwoje uchylły się i lokaj Mulat uroczyście wprowadził przybyszów przed oblicze Orchis.

Pokój, także ozdobiony kolumnami, o nie oszklonych oknach, wpuszczających parne, gorące powietrze, dzielił się na połowy.

W jednym końcu, na wzniesieniu, dwie stopy nad ziemią, stało olbrzymie łoże w kształcie łabędzia, wysoko obłożone miękkimi poduszkami z satyny i koronek.

Orchis, usadowiona wygodnie, w jasnożółtym peniuarze z szyfonu, przejrzystym na tyle, że przeświecały spod niego krągłe piersi, przyjmowała hołdy niczym królowa.

W pobliżu posłania, poniżej wzniesienia, wśród ciężkich napoleońskich mebli z polerowanego mahoni, okutych pozłacanym brązem, kłębiła się grupka bodaj dwunastu mężczyzn.

W większości czarnych, choć było też kilku Mulatów. Wszyscy ubrani byli w szykowne, haftowane złotem mundury wojsk cesarza.

Wszyscy też z wyraźne służalczymi minami przysłuchiwali się kobiecie siedzącej na łóżku, odpychając konkurentów, byleby tylko znaleźć się jak najbliżej Orchis i zwrócić na siebie jej uwagę. Wpatrywali się w kurtyzane oczyma przepełnionymi uwielbieniem.

Lokaj zaanonsował przybycie Jacques'a, a Orchis, zadowolona, że kółko adoratorów powiększy się o dwóch mężczyzn, głośno zawołała przybysza po imieniu i wyciągnęła w jego stronę dłoń.

Mulat zbliżył się do łóżka. Za nim postępował Andre, który teraz z bliska mógł się przyjrzeć gospodyni.

Nie taki widok spodziewał się zastać. Kobieta, którą ujrzał, w pełni zasługiwała na swe niezwykle, egzotyczne imię.

Jeszcze nigdy nie widział osoby tak pięknej, a zarazem wzbudzającej równie złowieszcze przeczucia.

Skóra na ramionach, twarzy i odsłoniętych fragmentach ciała kobiety miała kolor jasnego złota o delikatnym różowym odcieniu. Pełne karminowe usta wyzywały namiętnością i tajemniczością.

Zagadkowe zielone oczy rzucały spojrzenia władcze i rozkazujące. Kiedy zatrzymywały się na mężczyźnie, wydawało się, że wnikają w jego serce, by nim zawładnąć.

Powab tej kobiety, jej zmysłowość przywodziły na myśl wijącego się węża. Przypominała też kocicę - prymitywna niby dzikie zwierzę w dżungli, kusząca jak Lilith w ogrodach raju.

- Jacques! - zawołała pieszczotliwym głosem, który w słuchających wzbudził dreszcz. - Dlaczego tak długo mnie zaniedbywałeś?

- Byłem w Le Cap - wyjaśnił Mulat. - Ale już wróciłem i oto przyprowadzam ci kogoś, kogo nigdy przedtem nie

spotkałaś, a kto może przekazać ci najświeższe wieści z Ameryki!

- Z Ameryki!

Kobieta spojrzała na Andrego. Ten natychmiast poczuł dziwne mrowienie, jak gdyby kurtyzana rozebrała go oczyma, a on stał przed nią zupełnie nagi.

Natomiast Orchis wydawała się całkowicie zadowolona z widoku, jaki ujrzała. Podała mężczyźnie rękę ze słowami:

- Musi mi pan zdradzić ostatnie nowinki w modzie i opowiedzieć, ilu nowych milionerów narodziło się na każdym milimetrze kwadratowym tego bogatego kraju.

- Jest mnóstwo tematów, które pragnąłbym z panią omówić - oświadczył hrabia de Villaret.

Orchis przyglądała się spod rzęs mówiącemu, oceniając go wzrokiem. Nagle klasnęła w dłonie i królewskim tonem rozkazała:

- Wyjdźcie - wszyscy! Muszę porozmawiać z moimi znajomymi, a wy robicie taki hałas, że nic nie słyszę. Idźcie sobie!

- Madame, jak pani może być taka okrutna? - płaczliwie poskarżył się jakiś oficer, który nosił tak duże epolety, że wydawał się niemal szerszy niż dłuższy.

- Czyż kiedykolwiek traktowałam cię okrutnie, Rene? - zapytała Orchis. - Przyjdź jutro, a może porozmawiamy na osobności.

Wszyscy doskonale wiedzieli, co naprawdę kryło się za tym zaproszeniem. Nic więc dziwnego, że Rene, kimkolwiek był, dał się ułagodzić zaszczycem, jaki miał go spotkać.

Ucałował koniuszki palców kobiety i całe towarzystwo, obawiając się sprzeciwić rozkazowi gospodyni, opuściło pokój, pozostawiając Orchis sam na sam z nowymi gośćmi.

- Usiądźcie, mes braves - zaprosiła. - Może chcecie ugasić pragnienie winem?

- I bez alkoholu uderzasz nam do głowy - szarmancko zauważył Mulat.

- Jak zawsze pochlebca, i na dodatek nieszczerzy - przekomarzała się z gościem Orchis. - Co zrobiłeś z tą małą poule, którą obdarzyłeś zamiast mnie swoimi uczuciami?

- Nikt nigdy nie zdołałby tego uczynić - zaprotestował Jacques. - Podczas mojej nieobecności znalazła sobie innego opiekuna, generała. Czyż mogę z nim współzawodniczyć?

Dowcipny sposób mówienia mężczyzny szczerze rozbawił Orchis, która raz po raz wybuchwała śmiechem.

- A więc zostałeś trompe. Cóż, nasza armia także potrzebuje jakiegoś wsparcia!

Spojrzała na Andrego i spytała:

- Nie wygląda na to, żeby pociągała pana myśl o włożeniu munduru dzielnego haitańskiego żołnierza?

- Zajmuję się interesami - stanowczo oświadczył Francuz.

- A propos mundurów! - wykrzyknął Jacques. - Andre właśnie przyплыł z Ameryki z dwoma tysiącami uniformów zaprojektowanych przez cesarza.

- A więc są na miejscu! - wykrzyknęła Orchis. - Jean - Jacques będzie zachwycony. Chciałabym, żeby dotarły do niego, gdy będzie zwyciężał Hiszpanów.

- Pole bitwy nie wydaje się najlepszym miejscem na wypróbowywanie mundurów - zauważył Mulat. - Lepiej trzymać je w pogotowiu na świętowanie zwycięstwa.

- Racja! - zgodziła się kobieta. - Mam tylko nadzieję, że spodobają się cesarzowi. W przeciwnym razie mogą spaść głowy.

Jacques podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie moja - oświadczył. - Nie mam z tym nic wspólnego. Tak jak mój przyjaciel Andre de Villaret, który po prostu przyплыł tym samym statkiem co dostawa.

Orchis przechyliła nieco głowę.

- Wydaje mi się, że znam to nazwisko.
- Przed rewolucją było całkiem popularne.
- Czy to znaczy, że na Haiti mieszkał jakiś ważny de Villaret?

- Do ojca Andrego należała jedna z najlepiej prosperujących plantacji.

- Ależ oczywiście! Stąd właśnie pamiętam to nazwisko! - wykrzyknęła kurtyzana. - No cóż, ale nie wygląda na to, żeby twój przyjaciel wybierał się do pracy na polach bawełny Villaretów, jeżeli oczywiście uprawia się tam bawełnę.

- W żadnym wypadku - zaprzeczył Andre.

Jego zdaniem, Jacques zbyt wcześnie napomknął o plantacji, więc postanowił chwilowo zmienić temat rozmowy.

- Chciałbym wyrazić uznanie dla pani wielkiej i niespotykanej piękności, madame - zaczął. - Już zanim wyruszyłem do Ameryki, dochodziły mnie słuchy o pani urodzie, a mówi się o niej nawet w Bostonie. Teraz sam mogę się przekonać, że owe opisy absolutnie nie dorównują oryginałowi.

Orchis kocim ruchem przesunęła się w stronę mówiącego i na krótką chwilę jej ręka spoczęła na dłoni mężczyzny. Andre mu zaś wydało się, że po jego skórze prześliznął się język węża.

Następnie gospodyni ponownie jęła lustrować gościa spod przymkniętych powiek. Andre czuł się zupełnie jak lokaje Mulaci odziani w obcisłe liberie.

- Zjesz ze mną kolację - spokojnie i władczo oświadczyła kurtyzana. - Wprawdzie przyrzekłam ten wieczór pewnemu oficerowi, ale zmieniłam zdanie.

Wyciągnęła rękę w stronę Jacques'a.

- Kiedy będziesz wychodził, przekaż służbie, że nie życzę sobie, by mi przeszkadzano - niech nie wpuszczają nikogo, absolutnie nikogo!

- Z przyjemnością wykonam pani polecenie, madame - usłużnie zgodził się Mulat. - Mam tylko nadzieję, że jeśli natknę się na twojego niedoszedłego gościa, nie będzie trzymał sztyletu w ręce.

- Dasz sobie radę, jak zawsze - stwierdziła Orchis. - Obydwoje wiemy, że jesteś niezastąpiony.

Mulat ucałował koniuszki jej palców, po czym ruszył w stronę drzwi. Już w progu powiedział:

- Jesteś wybrańcem losu, Andre.

- Sam nie mogę uwierzyć w swoje szczęście - wyznał Francuz.

Drzwi zamknęły się za Mulatem i w tej samej chwili Orchis odwróciła się do Andrego. Ten, domyślając się, że tak wypada, usiadł na skraju łoża.

- Jesteś ogromnie przystojny, mon ami - stwierdziła gospodyni. - Ale czy twoja męskość dorównuje twemu wyglądowi?

- Mogę tylko żywić taką nadzieję - odezwał się mężczyzna. - Ty za to, pani, niby najpiękniejsza i najoryginalniejsza orchidea, jesteś wcieleniem kobiecości.

Nagle poczuł na ciele zmysłowe dotknięcie rąk. Pochylił się do przodu, nie potrafiąc się oprzeć czarowi kobiety, odrzucić zachęty namiętnych ust, kuszącego spojrzenia.

Wargi kocicy spoczęły na jego ustach, a ostre paznokcie przez cienki materiał marynarki wbiły mu się w plecy niby pazury.

Francuz spojrział na Orchis i zobaczył siebie spadającego w bezdenną toń jej oczu. Pomyślał, że na dnie ich czerni czai się płynny ogień, którego płomienie zaczynają palić i jego wnętrze.

Potem gdzieś w głowie wystrzeliły mu ogniste race; dłużej już nie był w stanie myśleć przytomnie.

Rozdział 2

Andre powoli szedł podjazdem Habitation Leclerc patrząc, jak młody świt wygasza na niebie światła ostatnich gwiazd.

Wstał nie budząc kochanki i nieposłusznymi rękoma włożył ubranie czując, że nogi także odmawiają mu posłuszeństwa, jakby nie należały do reszty ciała.

Nigdy przedtem nie spędził nocy z taką kobietą jak Orchis. Nawet przez sen emanowała silnie wyczuwalne wibracje.

Kolację zjedli w ogrodzie, pod błyszczącymi gwiazdami, na tyłach oficjalnej jadalni, pomieszczenia o ażurowych bocznych ścianach, oświetlonego olbrzymimi kandelabrami.

Całkowitą ciszę zakłócał jedynie szum wody w fontannie tryskającej opodal i rechot żab dochodzący z tropikalnych zarośli. Odgłosy te wdzierały się wyraźnie do ogrodu, a nawet do wnętrza domu.

Uzupełnienie smakowitych kreolskich potraw stanowiły różne gatunki alkoholu. Po kolacji Orchis namówiła go na spróbowanie jednego z nich, który nazywano, jak się potem okazało, „diabelską nalewką”.

Był to likier o dziwnym zapachu i smaku, różniący się od wszystkich napojów, jakich Andre do tej pory kosztował.

Kiedy opróżnił kieliszek, poczuł, że płyn pali mu wewnątrz, docierając do każdego nerwu i ścięgna, a także do mózgu, przeszkadzając mu normalnie funkcjonować. Ogarnęła mężczyznę przemożna żądza. Zdawał sobie sprawę, że to uczucie nie ma naturalnego podłoża, ale nie potrafił go opanować.

W kilka godzin później, kiedy wyczerpani leżeli na łożu w kształcie łabędzia, Andre wielkim wysiłkiem woli powrócił myślami do celu odwiedzin u Orchis i powiedział:

- Chciałbym zawiesić ci na szyi szmaragdy, by tworzyły tło dla twych oczu, a w uszy wpiąć rubiny tak purpurowe i ogniste jak twoje usta. Ale niestety nie stać mnie na to.

- Majątek nie odgrywa roli, jeśli ktoś jest prawdziwym mężczyzną - oświadczyła kurtyzana. - A ty, mon cher, bez wątpienia możesz się tym poszczycić.

- Czy sądzisz - Andre ostrożnie formułował pytanie - że na plantacji Villaretów mogły zostać jakieś pieniądze lub inne kosztowności?

- Chodzi ci o to, czy cesarz obrał posiadłość do czysta, jak inne majątki.

Roześmiała się, ale w jej głosie pobrzmiwały nieprzyjemne nuty.

- Mój Jean - Jacques jest sprytny. Potrafi odnaleźć najmniejszą dziurkę, tajemną kryjówkę, w której biali utkali swoje bogactwa, żywiąc nadzieję, że kiedyś po nie wrócą. Ale, jak mówi cesarz, całe góry złota oczekują ich, niestety, już na tamtym świecie. W tym życiu na nic im się ono nie zda.

- Ja z pewnością umiałbym zrobić z niego użytek - zauważył Andre. - Przede wszystkim złożyłbym je w hołdzie u twoich stóp.

- W tej chwili pożądam czegoś zupełnie innego - zmysłowo przekomarzała się z nim kobieta.

Odwróciła się do kochanka, a jej usta i dłonie ponownie wzbudziły w mężczyźnie żar, o którym myślał, iż wypalił się już do cna...

Później jeszcze raz ponowił próbę.

- Pomóż mi - poprosił - odnaleźć to, co w sensie moralnym, jeśli nie prawnym, mi się należy. Dlaczego mój ojciec nie miałby zapłacić za swoją przyjemność, choć wiadomo, że nigdy nie uznałby mnie za syna?

Orchis wykrzywiła się ze wstrętem.

- Les blancs zawsze są tacy sami, les sales cochons - rzekła. - Słusznie się ich pozbyliśmy, a ci, którzy przeżyli, powinni zostać ukarani, ale gorzej niż tylko śmiercią.

Mówiła gwałtownie i porywczo, bez wątpienia naśladowując Dessalines'a. Andre jednak odnosił niemiłe wrażenie, słuchając kobiety w tak dosadny sposób wyrażającej swoje poglądy i na dodatek znajdującej przyjemność we wspomnianiu ofiar okrutnych męczarni.

Kobietą kierowała żądza krwi, podobnie jak cesarzem. Francuz upominał się w myśli, że musi udawać solidarność z nimi, pragnąc śmierci białych, gdyż ludzie u steru władzy zachłystywali się zwycięstwem nad swymi dawnymi panami.

- Pomóż mi zemścić się na człowieku, który potraktował moją matkę jak przedmiot, a ponadto sprawił, że nie będąc ani czarnym, ani białym, muszę wieść tak ciężkie i trudne życie.

- Ale ten sam człowiek wyposażył cię we wspaniałą broń, która z pewnością czyni twą egzystencję nieco znośniejszą! - przekomarzała się z nim dalej Orchis.

Przesunęła palcami po ciele mężczyzny, po czym dodała:

- Mam dobrą pamięć, a cesarz zawsze mi się zwierza, ale nie przypominam sobie, żeby mówił o jakichś zdobyczach, pochodzących z plantacji Villaretów. Jeżeli coś znalazł, na pewno nie posiadało to większej wartości.

Dokładnie takich wieści Andre się spodziewał, ale oświadczył roztropnie:

- Niech mój ojciec płonie w piekle za to, że zostawił mnie bez żadnego majątku z wyjątkiem mego rozumu.

- Dał ci też ciało - zmysłowym tonem przypomniała kochanka.

Po tych słowach zabrakło czasu na dalsze dyskusje...

Ostrożnie, by nie obudzić śpiącej, Andre zbierał się do wyjścia, ale gdy po raz ostatni spojrzął na kobietę, nagle ogarnęła go niechęć, której przyczyn nie umiał wytłumaczyć.

Nawet we śnie Orchis stanowiła cudowny widok. Ułożyła się na łóżku z wdziękiem giętkiego węża.

Mimo to na wspomnienie ostatniej nocy przeszyły mężczyznę dreszcze. Wstydził się, że kobieta rozpałała w nim ogień i że po wypiciu podejrzanego trunku zachowywał się niczym zwierzę, podobnie jak sama gospodyni.

Idąc podjazdem, czuł na twarzy wilgotne powietrze, które jednak nie orzeźwiało go naprawdę.

Niespodziewanie zapragnął ostrej angielskiej zimy z podmuchami północnego wiatru i mroźnym, przejmującym chłodem.

Zaraz za kutą bramą zauważył powóz zaprzężony w zmęczonego konia, zapewne śpiącego, podobnie jak woźnica zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu.

Andre obudził go. Mężczyzna usiadł i wykrzywiając usta w uśmiechu zapytał po kreolsku:

- Dokąd, m'sieur?

- Stoisz tu co noc? - zainteresował się Francuz. Czarny ponownie wyszczerzył zęby.

- Elegancki dżentelmen zawsze jedzie z Habitation Leclerc, jest zbyt zmęczony, żeby iść.

Andre wsiadł do powozu, który potoczył się w dół doliny, drogą prowadzącą do miasta.

Dotarł do domu Jacques'a, gdzie zatrzymał się także Kirk. W drzwiach powitał go służący.

Przybysz czuł takie zmęczenie, że wspinając się po drewnianych schodach nie wierzył, iż uda mu się dojść do przygotowanego dlań posłania.

Kiedy wreszcie dobrnął do pokoju, zdołał tylko ściągnąć buty, po czym w ubraniu rzucił się na łóżko.

Zasnął w chwili, gdy jego głowa dotknęła poduszki.

Dobiegało południe, kiedy Kirk wszedł do pokoju, by go obudzić.

- Dzień dobry, Romeo! - zażartował. - Zeszłej nocy miałeś chyba o wiele więcej wigoru.

Z ust Andrego wyrwał się jęk.

- Wczoraj, gdy odpływałeś, by spotkać się z rozkoszną Orchis, naprawdę ci zazdrościłem - ciągnął Amerykanin - ale teraz nie jestem pewien, czy dotrzymanie towarzystwa Jacques'owi nie okazało się trafniejszym wyborem. Andre usiadł na łóżku.

- Każ mi podać kawę - poprosił - i na Boga, przestań tryskać humorem o tak wczesnej porze.

Kirk wybuchnął śmiechem i rzucił się na wygodne krzesło, stojące pod oknem. Za nim było widać balkon.

- Ponieważ wyraźnie jesteś nie w sosie - zauważył - nie będę cię denerwował rozpytując, co zaszło. O wszystkim mówią sińce pod twoimi oczami.

Andre ponownie jęknął, ale nie odezwał się, dopóki służący nie przyniósł mu kawy z ciepłymi, prosto z pieca, francuskimi rogalikami.

- Mam ochotę na kąpiel - oznajmił, gdy tylko opróżnił całą filiżankę kawy, przegryzając ją kawałkiem pieczywa.

- Służący się tym zajmie - odpowiedział Kirk - ale przygotuj się na to, że nie będzie to kąpiel w stylu amerykańskim.

- Pragnę się oczyścić, a odnosi się to zarówno do mojego ciała, jak i do duszy.

- Kac, jeśli jest to odpowiednie słowo na określenie twojego stanu, wkrótce ci przejdzie, a postara się o to Jacques, który już szykuje dla ciebie nowe zadania - ze śmiechem oświadczył Kirk.

Francuz spojrzał na przyjaciela pytająco, a ten wyjaśnił:

- Wyruszasz dzisiaj w dalszą drogę. Moim zdaniem, to bardzo rozsądne. Popełniłbyś błąd, pozostając tu zbyt długo.

Choć wyglądasz jak Mulat, zawsze jednak ktoś może cię rozpoznać.

- Sam już o tym myślałem - zgodził się z nim Andre. - Wczoraj u Orchis gościli Mulaci. Na szczęście tak byli zajęci gospodynią, że nie przyglądali mi się zbyt uważnie.

- Z pewnością wyglądasz odrobinę podejrzanie - stwierdził towarzysz. - Ale Jacques przekonywał mnie wczoraj wieczorem, że najistotniejsze jest, byś rozumował jak Mulat, a to, zapewne zdajesz sobie sprawę, może okazać się trudne do wykonania.

- Spróbuję - oświadczył Andre. - Za dużo mam do stracenia, by postępować nieostrożnie. Gdybym trafił na Dessalines'a, każde najmniejsze potknięcie mogłoby pociągnąć za sobą fatalne skutki.

- Dowiedziałeś się, czy majątek twego stryja znajduje się jeszcze na plantacji? - zainteresował się Kirk.

- Tak przypuszczam. Dessalines nic nie wspominał Orchis o tym, by znalazł na plantacji coś cennego, a jak się domyślam, nasza znajoma bardzo uważnie śledzi każde jego odkrycie i na pewno ma swój udział w łupach.

- Jacques powiada, że jest ona posiadaczką zawrotnej sumy pieniędzy oraz mnóstwa biżuterii, a wszystko to ukryła gdzieś bardzo głęboko - przypomniał sobie Amerykanin. - Dowiedziałeś się jeszcze czegoś ważnego?

- Nie mieliśmy zbyt dużo czasu na rozmowy - sucho stwierdził Andre. - Jedyne podczas kolacji zdążyłem przekazać mojej gospodyni kilka ciekawostek z Ameryki, ale nie wydała się nimi specjalnie zainteresowana.

Francuz mimo dość prymitywnych warunków zdołał doprowadzić się do porządku, włożył świeże ubranie, a wtedy do domu powrócił Jacques.

- Przygotowałem twój wyjazd z Port - au - Prince na dzisiejsze popołudnie - poinformował. - Jeżeli oczywiście Orchis nie powiedziała ci, że ta podróż mija się z celem.

- Orchis oświadczyła mi, że Dessalines nigdy nie wspominał o plantacji Villaretów ani też o żadnych bogactwach tam znalezionych. Przekonywała mnie, że widocznie nic cennego tam nie odkrył.

- A mówiłem, że to sprytna kobieta - przypomniał Jacques. - Jeżeli twój stryj był bogatym człowiekiem, a jego żona posiadała kosztowną biżuterię, nasza kochana Orchis z pewnością by o niej pamiętała.

- W takim razie sam odnajdę ten skarb - oświadczył Andre.

- Ale przedtem musisz koniecznie uczynić jedną rzecz, inaczej zdołasz oddalić się od miasta zaledwie o kilka mil.

Francuz spojrział z przestrachem na mówiącego.

- Co masz na myśli?

- Koniecznie napisz do Orchis list z płomiennymi podziękowaniami oraz pošlij jej ogromny bukiet kwiatów - doradził Mulat.

Andre miał zawstydzoną minę.

- Sam powinienem o tym pamiętać.

- Paulinę Leclerc zawsze otaczało mnóstwo kwiatów. Codziennie otrzymywała taką liczbę bukietów, że służba nie miała ich gdzie pomieścić - poinformował Jacques. - Zrozumiałe, że Orchis liczy na podobne wyrazy uznania. Musisz napisać wytworny list, co nie powinno sprawić ci trudności, zważywszy, że jesteś Francuzem, a i dla Mulata nie stanowi to chyba trudności. Ale nie podpisuj go.

Andre spojrział na przyjaciela ze zdziwieniem. Tamten wyjaśnił:

- Nasza wspólna znajoma zadręcza cesarza opowieściami o swoich podbojach, wzbudzając w ten sposób jego zazdrość.

Jeżeli uda się jej przekonać Dessalines'a, że jesteś wyjątkowym człowiekiem albo lepszym kochankiem od niego, prawdopodobnie nie spocznie on, dopóki nie zetrze cię z powierzchni ziemi!

- Muszę przyznać, że jak do tej pory, Haiti kojarzy mi się jedynie z różnymi niebezpieczeństwami i zagrożeniem życia - rzekł zniechęcony Andre.

Kirk, przysłuchujący się rozmowie, roześmiał się.

- Zatem porzuć swoje plany. Wsiadaj na szkuner i czekaj na mnie, a potem razem wrócimy do Bostonu.

- Nic z tego! - sprzeciwił się jego przyjaciel. - Ale chciałbym wiedzieć, że posiadam jakieś zaplecze, na wypadek jeśli będę zmuszony uciekać z Haiti. Jakiś statek, na którym będę mógł stąd odpłynąć.

- Masz do wyboru dwie możliwości - oświadczył Jacques, zanim Kirk zdążył coś powiedzieć. - Pierwszą jest powrót do Port - au - Prince, ale jeśli pojawisz się tu ze skarbem, będzie to niepotrzebne ryzyko. Nie tylko Dessalines, ale wiele innych osób, nie wyłączając Christophe'a. uczyni wszystko, by przeszkodzić ci w wywiezieniu majątku, który - ich zdaniem - należy się im.

Francuz zdawał sobie sprawę ze słuszności słów przyjaciela i czekał na ciąg dalszy.

- Jeżeli znajdziesz coś cennego - kontynuował Jacques - twoją jedyną szansę stanowi wyjazd do Le Cap. Miasto oddalone jest od posiadłości twego stryja mniej więcej tyle samo, ile plantacja od Port - au - Prince.

- Czy myślisz, że w Le Cap znajdę amerykański statek?

- Bardzo prawdopodobne. Większość dział, a także i amunicji przywożonej na Haiti, rozładowuje się właśnie tam. Niewykluczone, że uda ci się nawet spotkać statek brytyjski.

- Brytyjski? - zdziwił się Andre.

- Marynarka brytyjska patroluje morze od Jamajki po przesmyk Windward i dalej, aż do otwartych wód Atlantyku. Dlatego też cesarz nie obawia się w tej chwili inwazji Francuzów z morza.

- Jasne! - wykrzyknął Kirk. - Teraz rozumiem, dlaczego Dessalines zdecydował się zaatakować hiszpańską część wyspy.

- Znajduje się tam teraz kilka tysięcy żołnierzy, białych i kolorowych - poinformował Mulat - a Christophe podąży z pomocą z Le Cap, posuwając się wzdłuż północnego krańca wyspy. Wynika z tego, że na razie masz przed sobą czystą drogę, zarówno stąd na plantację, jak i potem, z plantacji do Le Cap.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny za pomoc.

- Znalazłem dla ciebie konia - ciągnął Jacques - a także służącego, który będzie ci towarzyszył.

Andre zrobił zdziwioną minę, więc Mulat wyjaśnił:

- Przyda ci się ktoś, kto zna okolicę, a także dialekt miejscowej ludności. Będziecie musieli przecież kupować żywność.

- Odnoszę wrażenie, że wykorzystuję cię ponad miarę.

- Człowiek, którego wybrałem, by ci towarzyszył, jest zupełnie pewny. Możesz mu zaufać tak jak mnie. Ma na imię Tomas, i choć na własnej skórze odczuł okrucieństwo francuskiego pana, podobnie jak ja pogardza bestialskim tyranem, rządzącym obecnie naszym państwem.

Wkrótce po lekkim posiłku Andre uznał, iż jest już gotów do drogi, lecz przedtem przekazał Jacques'owi list do Orchis napisany z rozwagą, ale również z dużą dozą wyobraźni.

Kwiecisty i poetycki, zawierał, zdaniem autora, najwyższe wyrazy uznania, jakich mogłaby oczekiwać kurtyzana każdej narodowości od mężczyzny, któremu ofiarowała swe wdzięki.

Oczy Jacques'a, który przeczytał list, rozbliły zadowoleniem.

- Znakomicie - ocenił. - Trudno uwierzyć, że w twoich żyłach płynie częściowo angielska krew.

- Chcesz powiedzieć, że Anglicy nie są wylewni? - zapytał Andre. - Kiedyś, jeśli przyjedziesz do Anglii, może cię spotkać niespodzianka.

Wymawiając te słowa myślał o pewnej znajomej, która odwzajemniała jego uczucie, jeżeli nie z takim fizycznym żarem jak Orchis, to przynajmniej tak namiętnie, jak brzmiały słowa listu, który napisał.

- Kiedy tylko opuścisz miasto, pošlę do Habitation Leclerc służącego z listem i z bukietem najoryginalniejszych, najegzotyczniejszych orchidei, które sam wybiorę - zapewnił Jacques.

- Nie wydaje ci się, że Orchis może przyjść ochota na powtórne spotkanie ze mną? - zastanawiał się Francuz.

- Rzadko spędza z tym samym mężczyzną więcej niż jedną noc - wyjaśnił Mulat. - Ale kobiety są zmienne i nigdy nic nie wiadomo.

- Lepiej by było, gdybyś nie musiał na sobie sprawdzać słuszności twierdzenia naszego przyjaciela - zauważył Kirk.

- Staram się przewidzieć każdą okoliczność - uśmiechnął się Jacques. - Znam Orchis wiele lat i wiem, że trzeba z nią postępować ostrożnie i być stale w pogotowiu.

Służący zabrał z pokoju bagaże Francuza i wyniósł je na podwórze, gdzie czekał na podróżnika koń. W tym czasie Andre zwrócił się do ciemnoskórego przyjaciela:

- Bardzo proszę, pozwól zwrócić sobie pieniądze za konia, kwiaty i pozostałe rzeczy, które dla mnie kupiłeś.

Jacques uśmiechnął się.

- Spłacam tylko dług zaciągnięty u Kirka - wyjaśnił - a ponieważ zawdzięczam mu życie, to czyż mogę tę najwyższą dla mnie wartość przeliczać na pieniądze?

Trzej mężczyźni zgodnie wybuchnęli śmiechem.

Andre jeszcze raz ponowił prośbę, ale Mulat pominął ją milczeniem, i w końcu biały mężczyzna uznał, że nalegając dalej, obrazi tylko przyjaciela.

Francuz rozumiał jego postępowanie, bo już wcześniej sam Jacques wspomniał, że Mulatom brak pewności siebie, a to przez sposób, w jaki zostali wychowani, następnie zaś traktowani. Dlatego też ogromną satysfakcję sprawia im fakt, iż mogą być komuś potrzebni, a zwłaszcza białym.

Tak też przedstawiała się obecna sytuacja. Bez pomocy Mulata Andre zagubiłby się całkowicie.

Jacques rzadko pozwalał sobie na poczucie przewagi nad innymi. Teraz, włożywszy tyle starań w pomoc Francuzowi, przekonany był, że misja białego przyjaciela powiedzie się i nikomu się nie uda odkryć, kim Andre naprawdę jest.

Począł, aż służący opuści pokój, po czym powiedział:

- Do twojego bagażu włożyłem pojemnik zawierający sproszkowany barwnik, którym już raz cię wysmarowałem.

- Kiedy powinienem go użyć ponownie? - zapytał Andre.

- Za dwa lub trzy tygodnie - oświadczył Jacques. - Pierwszą warstwę nałożyłem dość grubo. Jesteś ciemniejszy niż ja i większość Mulatów, ale o jednej rzeczy musisz ciągle pamiętać i sprawdzać ją co kilka dni. O przyciemnianiu półksiężyców na paznokciach.

Podczas gdy Jacques instruował Francuza, ten spoglądał na swoje dłonie.

Przypomniawszy sobie, że rzeczywiście Mulat szczególnie starannie zajął się jego paznokciami.

- Spotkasz po drodze wielu jasnych Mulatów - wyjaśniał Jacques. - W zasadzie trudno ich odróżnić od białych, poza

jednym wyjątkiem: skórki wokół ich paznokci są zawsze nieco ciemniejsze.

- Na tej podstawie - wtrącił Kirk - można stwierdzić, czy są „ulepieni z tej samej gliny”.

Określenia tego często używano w Anglii, i kiedy Andre skinął głową na znak zrozumienia, Jacques dokończył:

- Naturalnie twoje paznokcie rosną i pamiętaj, że plamka bieli zamiast brązu przy naskórku zdradzi cię w jednej chwili.

- Będę ostrożny - przyrzekł Andre - i jeszcze raz wielkie dzięki.

Wymieniwszy z Kirkiem uścisk dłoni zapytał:

- Jeżeli dotrę do Ameryki, czy mogę zaraz na początku odwiedzić cię w Bostonie?

- Wiesz, że zawsze jesteś mile widziany - zapewnił go serdecznie przyjaciel. - Moja rodzina z utęsknieniem czeka na ponowne spotkanie z tobą. Oczarowałeś ich całkowicie. Andre zwrócił się do Jacques'a:

- Kirk powiedział mi, że to ty przekazałeś mu wiadomość o tragicznej śmierci mojego stryja i jego trzech synów. Czy wiesz może, gdzie ich pochowano?

- Doszły mnie wieści, że żołnierze zamordowali wszystkich domowników - zaczął Mulat. - Twojego stryja, stryjenkę, ich trzech synów i małą dziewczynkę, którą stryjostwo zaadoptowali i nadali jej swoje nazwisko, oraz kilku przyjaciół, którzy znaleźli u nich schronienie. Tyle zdołałem się dowiedzieć na prośbę Kirka, bym zbadał sprawę.

Następne zdanie wypowiedział przytłumionym głosem.

- Dessalines nie ma zwyczaju grzebać zmarłych. Zostawia swoje ofiary na ziemi, która niegdyś była ich własnością, bądź też, jeżeli w pobliżu znajdują się bagna albo moczary, wrzuca tam ciała.

Jacques zawahał się przed następnymi słowami.

- Przypuszczam, że ich torturowano, ale na Haiti jest to proceder tak nagminny, iż żadne szczegóły do mnie nie dotarły.

Andre mocno zacisnął usta, potem jeszcze raz pożegnał się z Kirkiem i razem z Mulatem zszedł na dół.

Na tyłach domu, na podwórzu, gdzie żaden przechodzień nie mógł zauważyć ich przygotowań do odjazdu, stały dwa konie.

Potęźnie zbudowany Murzyn, którego Jacques przedstawił jako Tomasa, trzymał je za uzdy.

Twarz służącego niezaprzeczalnie nosiła cechy negroidalne, ale mężczyzna w jakiś pogański sposób wydawał się przystojny.

Czarne włosy, niby zbity mech, ściśle przylegały do głowy. Niskie czoło osłaniało ciemne i inteligentne oczy.

Kiedy ich właściciel uśmiechnął się na przywitanie, cała jego twarz się rozpogodziła i Andre natychmiast poczuł sympatię do tego człowieka; był też przekonany, iż ma do czynienia z osobą na wskroś uczciwą.

Wyciągnął rękę do Murzyna.

- Miło mi cię poznać, Tomas - powiedział. - Bardzo się cieszę, że to ty będziesz towarzyszył mi w tej podróży.

Na krótką chwilę służący zawahał się.

Francuz domyślał się, że Murzyn wie, iż ma do czynienia z białym i dlatego dziwi się, że ten chce uścisnąć mu dłoń, czego żaden inny biały by nie zrobił.

Po chwili jednak olbrzymia dłoń zamknęła w uścisku rękę Andrego, pozwalając mu się przekonać, jaką siłą dysponuje służący.

- Tomas stanie w twojej obronie nawet za cenę własnego życia - oświadczył Jacques. - Zaufaj mu i nic przed nim nie ukrywaj.

Andre zauważył, że każdy z koni ma przytroczone do siodła okazałych rozmiarów tobołki. Domyślił się, że w środku znajdują się jego rzeczy.

Jeszcze raz potrząsnął dłonią Jacques'a, wyrażając swoją dozą wdzięczności, po czym wraz z Tomaszem dosiedli koni i stępa wyjechali z podwórza.

Prowadził Murzyn. Prawie zaraz poczeli wspinać się na wzgórze, wznoszące się za Port - au - Prince.

Mężczyzna rozumiał, że służący stara się unikać zatłoczonych ulic i targowisk, trzymając się małych zakurzonych uliczek, które wkrótce przeszły w zwykłą drogę leśną.

Jeszcze w domu Jacques'a Andre sprawdził na mapie, że aby dotrzeć do plantacji stryja, muszą najpierw podążać wzdłuż Kanału św. Marka, potem wspiąć się w górę Black Mountains, aż w końcu zjadą w dolinę, gdzie osiedlił się Philippe de Villaret, kiedy przybył na Haiti.

Mapa potwierdzała też słowa Jacques'a, iż odległość między plantacją wuja a Port - au - Prince niemal równa się drodze z posiadłości do Le Cap.

Świadomość, iż w Le Cap rządzi Christophe, przynosiła Francuzowi niejaką ulgę. To właśnie w tym mieście przywódca rewolucji kazał zbudować sobie wspaniały dom, który na widok nadpływających statków francuskich bez zastanowienia spalił.

Miał na swoim sumieniu życie wielu białych, ale Andre słyszał, że nie dorównuje okrucieństwem cesarzowi i nie tyranizuje poddanych tak bardzo jak Dessalines.

W rzeczywistości Christophe, mimo że zdecydowany obalić dominację Francuzów, zawsze uważał za rozsądne utrzymywanie dobrych stosunków z narodami białych, Amerykanami czy Brytyjczykami, którzy w każdej chwili mogą okazać się użyteczni.

Obecnie jednak Christophe i Dessalines zajęci byli podbojem hiszpańskiej części wyspy i Andre modlił się, by jego poszukiwania nie przeciągnęły się zbyt długo.

Kiedy odjechali już spory kawałek od miasta, w zupełnie dobrym tempie przemierzając nadbrzeżny trakt, Francuz zaczął rozmowę z służącym.

- Czy monsieur Jacques powiedział ci, czego szukam?

- Tak, m'sieur, ale nie będzie to proste.

- Czy mówił ci też, że mam pewne podejrzenia dotyczące miejsca ukrycia skarbu?

- Tak, m'sieur.

Andre wyjął z kieszeni list stryja i głośno odczytał najważniejsze zdanie.

- Jestem przekonany, że oznacza to, iż pieniądze ukryte są gdzieś w pobliżu kościoła - wyjaśnił.

Tomas milczał, ale po przejechaniu kilku metrów oświadczył:

- Znajdziemy kościół.

- Musi tam jakiś być - z przekonaniem stwierdził jego pan.

Pierwszą noc spędzili w małej słomianej caille na terenie wioski, która składała się z kilku chat zbudowanych z drewna i uszczelnionych błotnistą gliną. Każdą otaczało niewielkie podwórko porośnięte na obrzeżach kaktusami.

- Ludzie dobrzy - wyjaśnił Tomas. - Nie zadawać pytań.

Ściągnął lejce, zsiadł z konia i ruszył w stronę najbliższej caille, przy której zatrzymał się dłuższą chwilę, wdawszy się w rozmowę ze staruszką siedzącą przed chatą i pykającym glinianą fajkę.

Z uśmiechem na twarzy wrócił do Andrego.

- Dobre schronienie - poinformował. - Caille nowa, ale wolna.

Chata stała trochę na uboczu i - zgodnie z zapowiedzią Tomasa - najwyraźniej niedawno ją wykończono, bo słoma na dachu wyglądała świeżo, a rzadka glina uszczelniająca ściany ciągle jeszcze lśniła od wilgoci.

W środku panował porządek i czystość. Służący rozkładał koc, na którym miał spać Andre. Francuz zdawał sobie sprawę, że z pewnością mogli natrafić na o wiele gorsze warunki.

Podróżnicy mieli ze sobą zapas jedzenia, który powinien im starczyć na dwa dni.

- Pod tym względem - zapowiedział Jacques - możesz polegać na Tomasie. To, co dla ciebie przyrządzi, niekoniecznie musi okazać się smaczne, ale utrzyma cię przy życiu.

Jedli kurczaka, małe jajeczka na twardo i rybę na zimno we wspaniałym kreolskim sosie.

Andre zmiotł z talerza wszystko do ostatniej okruszyny, pamiętając o klimacie, w którym żywność szybko ulega zepsuciu. Zdawał sobie sprawę, że przez długi czas może nie mieć okazji do zjedzenia porządnego posiłku.

Po kolacji, ciągle jeszcze zmęczony po poprzedniej nocy, natychmiast położył się na kocu i zanim na dobre zasnął, już Tomas budził go, ponagłając do dalszej drogi.

Na śniadanie Andre dostał kubek kawy i szcerstwiałą francuską bułeczkę. Poprawił sobie smak posiłku, zrywając po drodze pomarańczę, która okazała się słodka i soczysta.

Wokół rosło mnóstwo drzew bananowych i Francuz uznał, że choć z pewnością nie uda mu się zdobyć pożywienia, do jakiego jest przyzwyczajony, to przynajmniej głód mu nie zagraża.

Skręcili w stronę gór i wkrótce zza drzew mogli przyglądać się rozległemu widokowi okolicy i niebieskiemu morzu w oddali.

Poruszali się bardzo powoli, a od czasu do czasu gałęzie drzew mahoniowych, cisów i cedrów zasłaniały promienie słoneczne, las zaś nabierał tajemniczego wyglądu, w dziwny sposób pobudzającego zmysły.

Nad głowami podróżnych przelatywały papugi, błyskając kolorami szkarłatu, jaspisu i żółci. Od czasu do czasu napotykali kępy żółtych, zielonych i białych orchidei.

Zwisały z gałęzi drzew, widoczne zza grubych lian, które przypominały ożywione sznury, sięgające z nieba aż do ziemi.

Na widok egzotycznych kwiatów Andre pomyślał o Orchis i przez chwilę wydawało mu się, że czuje ją przy sobie. Na wspomnienie jej zmysłowego ciała, gorących objęć i pożądliwych ust nie potrafił opanować dreszczu podniecenia.

Wysiłkiem woli zmusił się do wyrzucenia obrazu kobiety z myśli.

Orchis była właśnie jak liana, owijała się wokół mężczyzny, zamykając go w tak mocnym uścisku, iż dłużej nie był sobą, lecz tylko gotowym spełnić każde jej życzenie sługą.

Tej nocy nie powiodło im się tak jak poprzedniej.

Słomiane cailles, które mijali, nie przypadły Tomasowi do gustu, a Andre zauważył, że Murzyn niechętnie pozostawał w lesie, jakby się go obawiał.

W końcu, jadąc drogą, która jedynie miejscami przypominała utarty szlak, natknęli się na następną wioskę; pośrodku niej wbito w ziemię pał, z niego zaś, przywiązany sznurem za rogi, zwisał czarny kozioł.

Tomas już wcześniej poinformował Andrego, że skrzyżowania dróg, czyli carrefour, jak je nazywano, ludzie uważają za miejsca święte, i na potwierdzenie swoich słów pokazał towarzyszowi podróży mały ołtarzyk, bez wątpienia wzniesiony na potrzeby jakiegoś miejscowego ha.

- Chcesz powiedzieć, że ma to związek z voodoo, Tomas?
- zapytał Andre.

- Tak, m'sieur.

Sposób, w jaki wypowiadał słowa, i wyraz jego twarzy, kiedy spoglądał na loa, przekonały Andrego, że Tomas sam jest wyznawcą voodoo, więc postanowił o nic więcej nie pytać.

Teraz w oczach Murzyna patrzącego na czarnego kozła pojawiło się niemal przerażenie.

- Jakie to ma znaczenie, Tomas? - wskazując ręką pal zapytał Andre.

- Voodoo, m'sieur - odpowiedział Murzyn. - Świątynia Pedra.

- A któż to taki? - zainteresował się Francuz.

- Pedro być zły! Bóstwo Kuby, czarna magia!

Ton głosu mówiącego rozśmieszył Andrego, ale wiedział on, że Murzyn traktuje sprawę bardzo poważnie. Po chwili milczenia zapytał:

- A jakie bóstwa są dobre? Czy te, które ty czcisz? Przez chwilę wydawało mu się, że Murzyn nie odpowie, ale jednak odezwał się:

- Damballah, m'sieur. Damballah Weydo, wielki bóg. On panu pomóc.

- Mam nadzieję! - zażartował Andre.

- M'sieur nienawidzić voodoo? - sondował go Tomas.

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwił się Andre. - Wiem na ten temat bardzo niewiele, ale jestem zdania, iż każdy człowiek ma prawo wyznawać religię, jaką sam sobie wybrał.

Na twarzy służącego pojawił się wyraz ulgi, tak przynajmniej uznał Andre, po czym dodał:

- Ja sam zostałem ochrzczony w obrządku katolickim, ale mam przyjaciół, którzy są protestantami, a nawet buddystami i muzułmanami. Moim zdaniem, nie są oni ani gorsi, ani lepsi

ode mnie, a za swe postępowanie odpowiadają przed własnymi bogami.

Tomas spojrział w górę na kozła. Potem podjechał swoim koniem bliżej wierzchowca Francuza.

- Damballah pomóc panu, m'sieur. Pomóc znaleźć miejsce skarbu.

- Jeżeli mógłby mi je zdradzić - zaczął Andre - będę go słuchał z największym szacunkiem i z chęcią złożę każdą ofiarę, by wyrazić mu swą wdzięczność.

Czarny mężczyzna pokiwał głową.

- Zostawić to mnie, m'sieur - rzekł, po czym ruszyli w dalszą drogę, nie wracając już do tego tematu.

Noc spędzili w lesie, na polanie, gdzie jedyną ich osłonę stanowiły gałęzie drzew, stykające się ze sobą wysoko, tak że Andre czuł się niby pod sklepieniem olbrzymiej katedry.

Jednakże jego towarzysz zachowywał się niespokojnie, i choć przespał się trochę, o pierwszym brzasku był już aa koniu, zachęcając swego pana, by uczynił to samo.

Tym razem na śniadanie zamiast kawy spożyli po kawałku suchego chleba i jakiś owoc.

Zjechali z gór dość stromym stokiem i dotarli do wsi, gdzie Tomas znalazł kogoś, kto zagrzał im wodę na kawę, którą wieźli w bagażach przytroczonych do siodeł.

Następną noc spędzili w wiosce, ale jej mieszkańcy podejrzliwie przyglądali się przyjezdnym, najwyraźniej nie przekonani wyjaśnieniami Murzyna, dotyczącymi jego towarzysza.

- Czasami, m'sieur - tłumaczył Murzyn - Mulaci robić kłopoty. Są sprytni. Wydawać rozkazy i czekać, że czarny człowiek wykonywać. Jeżeli nie, Mulaci być okrutni.

Andre pomyślał, iż kraj ten rozdarty jest na wiele części i ogarnęło go współczucie dla ludzi, którzy nie wiedzieli, komu i w co wierzyć.

W końcu, w najmniej oczekiwanej chwili, mając poczucie, że podróżują od lat, ujrzeli przed sobą dolinę.

Kiedy zjeżdżali z gór, Tomas oświadczył, iż właśnie tego miejsca szukają.

Jeżeli lasy tego egzotycznego kraju wyglądały pięknie, to widok doliny zapierał wprost dech w piersiach!

Najpierw ujrzeli falujące pola trzcinowe, podzielone teraz na malutkie działki i uprawiane przez miejscowych chłopów.

Andre potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądały w czasach prosperity, kiedy to jego stryj z wielkim entuzjazmem pisał do Francji o olbrzymim bogactwie, jakiego się dorabia.

Przejeżdżali obok opuszczonych i rozsypujących się młynów cukrowych, w których niegdyś woły okręcały olbrzymie koła młyńskie.

W tej żyznej, urodzajnej dolinie rozciągało się pole za polem, wszystkie nawadniane krętymi strumieniami i chronione przez wysokie góry, wznoszące się wokół.

Każda piędź ziemi, po której się poruszali, była, tak piękna, że Francuz miał wrażenie, iż znalazł się w raju.

Jechali bez wytchnienia, a Andre nie pytając wiedział, że Tomas prowadzi go do domu stryja.

Przejechali przez bramę na podjazd, gdzie roślinność właśnie zaczynała rozkwitać, tak że każde drzewo zdobiły wspaniałe, ogniste kwiatostany. Widok był piękny nie do opisanania.

Zapadnięty mur oplotły bougainwile, które wspięły się także na popękane filary, zwieszając się z nich purpurowo - karmazynowymi kaskadami.

Bujny jaśmin połyskiwał w słońcu, mieszając się z białymi liliami czermieniowymi i krzewami pomarańczowymi. A cała ta roślinność wypełniała powietrze wszechobecną, słodką wonią.

Musieli przedzierać się przez wybujale zarośla, aż wreszcie, gdy skręcili zgodnie z kierunkiem dawnego podjazdu, ich oczom ukazał się budynek.

Stryj z wielką dumą opisywał w listach wzniesiony przez siebie dom, biały, o wspaniałej fasadzie. Zbudowano go bardzo solidnie, a zalety architektury czyniły go niezmiernie atrakcyjnym.

Był piętrowy, a schody przed wejściem prowadziły na taras biegnący wzdłuż całego pierwszego piętra. Teraz jednak w wielu miejscach był on popękany i zniszczony.

W ciągu lat przy każdym podmuchu wiatru z dachu spadały dachówki, które leżały porozrzucane przed domem. W ścianach ziały dziury, co mogło być sprawką wandalii.

Drzwi wejściowe wyrwano z zawiasów, a wszystko porosło zielskiem i zielonymi girlandami winorośli, spowijającymi filary i smętne pozostałości tarasu, a nawet zwieszającymi się w otworach okiennych.

Zniszczenia były tak ogromne, że miejsce wywoływało doprawdy przygnębiające wrażenie.

Obydwaj mężczyźni zsiadli z koni i Andre wszedł do domu, ostrożnie stąpając po resztkach posadzki.

Nie zdziwiło go odkrycie, iż wszelkie możliwe do wyniesienia sprzęty zostały zrabowane. Wszystkie pokoje stały puste, wałały się w nich tylko kawałki tynku odpadłego z sufitu i szczątki drewnianych okiennic.

W jednej części domu musiał chyba wybuchnąć pożar, bo ściany były okopcone i szerniałe. Podłogi pokryte grubą warstwą kurzu i zwisające wszędzie pajęczyny potęgowały smutne wrażenie dewastacji i opuszczenia.

Andre z radością wrócił do rozjarzonego barwami wybujalej roślinności ogrodu.

- Z całą pewnością mogę stwierdzić, że tu nic dla nas nie zostało - odezwał się do Tomasa.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział, odkąd przybyli do posiadłości.

Potem, nadal w milczeniu, mężczyźni przeszli w głąb ogrodu.

- Nikt tu nie przychodzić - zauważył Murzyn. - Złe czary!

- Czary? Co mogą mieć wspólnego z tym miejscem czary? - zdziwił się Francuz.

W odpowiedzi służący odwrócił się i wskazał coś palcem. Andre spojrzał w tym kierunku,

- Co to jest? Co mi pokazujesz?

Potem zauważył, że na kolumnie stojącej u stóp schodów zawieszono coś na kształt zgiętej gałęzi czy też kawałka sznura.

- Co to jest? - zapytał.

- Ouanga Pedra - czarna magia - zło! - z przerażeniem wyjaśnił Tomas.

- Bzdura! - rozzłościł się Andre. - Nie wierzę w takie nonsensy. Mogą być prawdą dla ciebie, ale nie dla mnie.

Mówił ostrym tonem. Nagle, zauważywszy smutek na twarzy towarzysza, szybko się odezwał:

- Przepraszam cię, Tomas. Nie miałem zamiaru być niemiły, ale możliwe, że przeraża mnie twój strach. W magię, białą czy czarną, łatwo uwierzyć, gdy przebywa się w tym kraju.

- Chodź zobaczyć, m'sieur - namawiał Murzyn. Podeszli do kolumny i Andre stwierdził, iż przedmiot zwisający z filaru to rzeczywiście lina.

Ufarbowana na zielono, długa na jakieś dwie stopy i prawie tak gruba jak ręka ludzka w nadgarstku. Końce sznura związane kolorową wełną, a w węzeł wetknięto kurze pióra, czerwone z jednej strony i białe z drugiej.

Część liny pokrywał jasny osad, odpadający przy dotknięciu. Dalej linę pokrywała zwarta, wyschnięta i

szerniała substancja. Przyglądający się przekonany był, że to krew.

- Co to jest? - zapytał.

- Ja powieźcie, m'sieur, zielony wąż Pedra - ouanga. Silne czary - czarna magia.

- Dlaczego to się tutaj znalazło?

- Ja nie wieźcie, m'sieur. To wieźcie, że pan przyjechać.

- Ja? Że tu jestem? Skąd ktokolwiek mógł się o tym dowieźcie? - zastanawiał się Andre.

Tomas odwrócił wzrok w stronę gór, po czym powieźiał:

- Wszystko wieźcie. Bębny mówić.

- Chcesz mi powieźcie - Francuz powoli i cierpliwie formułował pytanie - że o moim przyjeździe na tę opuszczoną i zdewastowaną plantację wieźcie już ci, którzy praktykują voodoo?

Służący twieźdząco pokiwał głową.

- Bardzo trudno uwieźcie mi w to wszystko, co mówisz - zauważył biały mężczyzna.

Przyjrzał się kawałkowi sznura i uznał, że istotnie nie mógł on tu wisieć długo. Dotknął wyschniętej części, którą, jak sądził, pokrywała krew, i stwieździł, że pod spodem była miękka i wilgotna. Tak, to była krew!

Zauważył także, że ziemia wokół kolumny, na której zawieszono linę, oczyszczona została z zarośli, choć przeciwległy filar był cały obrośnięty.

Nie ulegało wątpliwości, że linę symbolizującą węża umieszczono tu niedawno, prawdopodobnie rano lub ostatniej nocy.

- Nie wiem, o co chodzi, Tomas - powieźział Andre - ale nie podoba mi się to.

- Nie martwić się, m'sieur - pocieszał służący. - Znaleźcie dobry papaloi, wszystko być dobrze.

- A to co znowu? - zainteresował się Andre.
- Człowiek, m'sieur.
- Jaki człowiek?
- Wy nazywać kapłan - kapłan voodoo. Biały przyłożył dłoń do czoła.

- Czy mam rozumieć, że aby zdjąć zaklęcie, czy cokolwiek, twoim zdaniem, ta imitacja węża ma na mnie rzucić, musimy odnaleźć kapłana voodoo, który zajmuje się białą magią?

- Właśnie tak, m'sieur.

- Wygląda to na największe... W ostatniej chwili urwał.

Nagle przypomniał sobie Jacques'a mówiącego, iż jeśli chce udawać Mulata, musi także myśleć jak Mulat.

A ci wyznawali voodoo, podobnie jak Murzyni.

W porządku - jeśli się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”! Choćby najbardziej dziwne i zaskakujące rzeczy się wydarzyły, będzie postępował jak Haitańczyk, i jeżeli ma to oznaczać walkę między dwoma rodzajami magii, zgodzi się również na to.

- Gdzie można znaleźć tego kapłana - papaloi? - zapytał Tomasa.

- Ja znaleźć, m'sieur.

- Doskonale - zgodził się Andre. - Tymczasem pozbadźmy się tego świństwa!

Pociągnął koniec liny, zerwał ją z kolumny i z całej siły cisnął sznur w gęste, wysokie zarośla, wdzierające się na teren posiadłości.

- Przynajmniej nie wybuchło - zazartował, ale Tomasa się nie uśmiechnął.

- Przekleństwo nadal być, dopóki papaloi nie usunąć. Francuz wesoło poklepał towarzysza po ramieniu.

- W takim razie znajdź swojego papaloi - doradził - a także poszukaj w domu miejsca, w którym mógłbym się

przespać i gdzie istnieje najmniejsze ryzyko, że dach spadnie mi na głowę lub też zarwie się pode mną podłoga.

Spojrzał w stronę domu, po czym zniechęconym głosem dodał:

- Przynajmniej podczas snu mogę udawać właściciela plantacji Villaretów, nocującego w domu, który prawnie mu się należy, choć prawdopodobnie nikt w to nie zechce uwierzyć prócz ciebie.

Tomas nie odzywał się przez chwilę, po czym tak cicho, że Andre ledwo usłyszał, powiedział:

- Damballah powiedziec, m'sieur, gdzie ukryte skarby.

Rozdział 3

Andre wyszedł z domu i ostrożnie zszedł po schodach do ogrodu.

Przedtem zjadł zadziwiająco smaczny obiad przygotowany przez służącego.

Po drodze w jednej z wiosek, które mijali, kupili dwa kurczaki i Francuz, przyglądając się ptakom przytroczonym u siodła, rozmyślał, jakim też kucharzem okaże się jego towarzysz.

Mógł się przecież spodziewać, że Jacques, tak rozważny i skutecznie działający, zapewni mu służącego, który nie tylko zaprowadzi go tam, gdzie on zapragnie, ale też wykaże się umiejętnościami w wielu innych dziedzinach.

Kiedy tylko Tomas się zorientował, że Andre zamierza zatrzymać się w domu, jął naprędce skleconą z gałęzi szczotką zmiatać kurz z podłogi i ściągać ze ścian i sufitu kłęby pajęczyny.

Pracował ciężko, by uprzątnąć jeden z pokoi, który jego pan wybrał w przekonaniu, iż kiedyś musiał służyć jako mały salonik. Następnie Murzyn zabrał się do gotowania.

Nie minęło wiele czasu, kiedy do Andrego, który siedział na balkonie i obierał pomarańczę zerwaną z drzewa w ogrodzie, dotarły apetyczne zapachy.

Biały mężczyzna odłożył dokładne oględziny posiadłości na dzień następny, kiedy minie zmęczenie, które odczuwał.

Dzisiejsza jazda konna nieźle dała mu się we znaki, zwłaszcza że poprzedniej nocy spał bardzo niewiele, ponieważ Tomas śpieszył się, by jak najprędzej wyjechać z lasu.

Usiadł teraz, by porozmyślać o domu w czasach, gdy mieszkał tu stryj. Pokoje z pewnością były pięknie urządzone, a stryjenka, którą pamiętał jako bardzo przystojną kobietę, bez wątpienia kierowała gospodarstwem z wprawą i znanstwem, jakimi odznacza się niemal każda Francuzka od dnia urodzin.

Mieli zapewne wielu służących, a ponieważ stryj był człowiekiem bogatym, Andre domyślał się, że posiadłość Villaretów szczyciła się wszelkimi wygodami, możliwymi do osiągnięcia w tym kraju.

Zastanawiał się, czy podobałoby mu się życie na Haiti, musiał sobie jednak uczciwie powiedzieć, że częścią swej osobowości, choć nakłada się na nią warstwa angielskich przyzwyczajzeń i angielskiego sposobu życia, skłania się ku Francji.

Zanim on sam i jego rodzina zostali zmuszeni do ucieczki do Anglii, chroniąc się przed ekscesami Rewolucji Francuskiej, zdążył uświadomić sobie majestat i potęgę swego dziadka, grand seigneura wielkich posiadłości, w których zatrudniał setki ludzi.

Fakt, iż świetność i blask otaczające dziada nie przeszły na Andrego wraz z tytułem hrabiego de Villaret, bardzo młodzieńca bolał; podobnie rzecz się miała z majątkiem stryja, żyjącego w wielkim przepychu.

Nic zatem oprócz tytułu nie przypadło młodemu człowiekowi; postanowił wobec tego, że jeśli nie uda mu się odnaleźć skarbu, wróci do Anglii i postara się znaleźć jakąś pracę, by utrzymać przy życiu siebie i starzejącą się matkę.

Wiedział doskonale, że jego matka pragnie ponad wszystko, by się ożenił.

W normalnych warunkach każda szlachecka rodzina we Francji byłaby zachwycona perspektywą związania węzłem małżeńskim swojej córki z hrabią de Villaret. W obecnej jednak sytuacji Andre nie pozwalał sobie na plany małżeńskie, nie mając do zaoferowania nic więcej ponad pusty tytuł.

Na myśl o żonie trzymającej kiesę i swojej własnej podrzędnej pozycji w małżeństwie kurczyło mu się w ciele każde włókienko nerwów.

Posag, który wnosi ze sobą żona, to jedno, ale kobieta płacąca rachunki męża, do której musiałby się zwracać nawet po kieszonkowe, to zupełnie inna historia.

„Nie ożenię się nigdy - postanowił w duchu. - Chyba że spotkam kobietę w podobnej sytuacji”.

Ciągle jeszcze pogrążony w głębokim zamyśleniu, siedział na tarasie, kiedy Tomas zawiadomił go, że obiad jest już gotowy.

Przeszedł przez okno znajdujące się za nim, przestępując połamane okiennice i resztkę ściany, a kiedy znalazł się wewnątrz stwierdził, że służący nakrył do posiłku na drewnianej skrzyni.

Za siedzenie posłużył drewniany kloc, a talerze zastępowały duże liście zerwane z krzewu, którego gałęzie wchodziły przez okno do pokoju.

Nie zabrakło jednak noża i widelca, gdyż Francuz pamiętał, by wziąć sztucce ze sobą w podróż, i teraz posługiwał się nimi, jedząc kurczaka, który przyrządzony po kreolsku smakował wyśmienicie.

W przerośniętej dżungli otaczającej dom Tomas znalazł kolby słodkiej kukurydzy i kilka małych pomidorów.

Andre był głodny i jadł z apetytem.

Jedzenie popijali zimną wodą ze studni znajdującej się na dziedzińczyku w środku domu.

Zanim biały mężczyzna przełknął pierwszy łyk, wahał się przez chwilę, mając na uwadze oczywisty fakt, iż w czasie wojny studnie zazwyczaj się zatruwa, albo - co gorsza - wrzuca się do nich ciała zabitych.

Woda była jednak krystalicznie czysta i Andre stwierdził, że smakuje lepiej niż najdelikatniejsze francuskie wino.

- Jutro kupić jedzenie, talerze, kubki, szklanki - mamrotał Tomas - szczotkę i ręczniki.

Andre roześmiał się.

- Może sporządzą dla ciebie listę sprawunków - zaproponował.

Potem przyszło mu na myśl, że Murzyn zapewne nie umie czytać.

- Tomas wiedzieć, co potrzeba! - dumnie stwierdził służący i biały mężczyzna, wzruszywszy z uśmiechem ramionami, pozostawił mu decyzję w sprawie zakupów.

Z liściastego talerza wziął banana i obierając go wyszedł do ogrodu.

Słońce już zaszło i w półmroku wieczoru okolica wyglądała dziwnie i tajemniczo. Nad głową przelatywały nietoperze, a na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

Gorące, wilgotne powietrze przywodziło na myśl rozgrzaną skórę kobiety. Andre przypomniał sobie Orchis, po czym świadomie wyrzucił jej obraz z pamięci.

W tej samej chwili wydało mu się, że hen, w oddali słyszy uderzenia w bębny.

Wysłuchał się w ten dźwięk, ale nie był przekonany, czy to nie są jedynie igraszki jego wyobraźni.

Dochodził go tylko wysoki pisk nietoperzy i nagły, ochryply skrzek papug, ukrytych w bougainwiliach.

Wszystko to stanowiło część tajemnicy Haiti. Starał się przypomnieć sobie całą wiedzę na temat voodoo, to co na ten temat czytał, oraz okruchy informacji, które zdążył przekazać mu Kirk, kiedy płynęli statkiem wiozącym mundury dla armii Dessalines'a.

Wiedział, że w ciągu ostatniego stulecia ściągnięto z Afryki miliony Murzynów, których potem sprzedawano na targach w Santo Domingo.

Nowe życie rozpoczęło się dla nich, kiedy pękł bicz nadzorcy i nastał koniec okrucieństw, w które trudno było uwierzyć zarówno Andreemu, jak większości Anglików.

William Wilberforce, walczący o zniesienie niewolnictwa, opowiadał zdumionym członkom parlamentu historii, jak to pewien bezkarny właściciel zastrzelił niewolnika tylko dlatego, że pragnął wypróbować celność świeżo przywiezionego z Europy pistoletu, inny natomiast zakopał po szyję nie lubianego przez siebie sługę i używał jego głowy jako celu w grze sportowej.

Kirk opowiadał Andreemu, że na plantacji Gallifetów zarządca wcierał w rany wychłostanego Murzyna sól i pieprz.

Plantator z La Grande - Riviere przybił niewolnika za uszy do ściany, po czym odciął je żyłką, upiekł i zmusił mężczyznę do zjedzenia ich.

Pewien człowiek w Plaine des Gonai'ves, przezywany Pan Drewniana Noga, kiedy tylko udało mu się złapać zbiegłego niewolnika, kazał odrąbywać mu jedną nogę, a jeżeli ofiara przeżyła, co raczej się nie zdarzało, do kikuta przyczepiano drewnianą protezę.

Najpopularniejszym narzędziem tortur był długi, zrobiony z wołowej skóry bicz, a najbardziej ponure słowo w historii wyspy - *taille* - oznaczało bicie, smaganie, chłostę, aż zostawała z człowieka krwawa miazga.

Czarne kobiety biczowano tak samo często jak mężczyzn, i choć zdarzali się właściciele, którzy dobrze traktowali swoich niewolników, to i tak nie wpływało to na ogólną sytuację czarnych.

Ich jedynym pocieszeniem, jedyną nadzieją pozostawało voodoo, rytuał, który przywieźli ze sobą z Afryki.

Ta magiczna religia kazała czcić wiele duchów, a Andre słyszał, że kapłani - królowie i kapłanki - królowe, papaloi i mamaloi posiadali moc przywracania zmarłych do życia jako zombi.

W to akurat nigdy nie wierzył, ale teraz pomyślał, że w tym wilgotnym, parnym klimacie łatwo można uwierzyć w rzeczy, z których w Anglii tylko by się śmiał.

Rewolucja miała swój początek w voodoo, które stało się podstawą tajnego stowarzyszenia, łączącego niewolników ze wszystkich plantacji.

Papaloi i mamaloi automatycznie urosli do rangi przywódców, a rekrutowali się spośród służby domowej albo też spośród commandeurs.

Tak nazywano dozorców, którzy batem popędzali innych przy pracy w polu.

Właśnie jeden z owych commandeurs, brytyjskiego pochodzenia, nazwiskiem Buckman, poprowadził pierwsze powstanie na Plaine du Nord - wielkiej Równinie Północnej.

Buckman wykorzystał sieć powiązań voodoo, by powstanie wybuchło jednocześnie na terenie całej wyspy.

W czerwcu i lipcu 1791 w Prowincji Zachodniej wybuchły zamieszki. Ludzi chłostano, łamano kołem i wieszano.

Plantatorzy nie traktowali tych odosobnionych incydentów poważnie. Pod koniec lipca Buckman zebrał członków konspiracji ze wszystkich północnych posiadłości, by przekonać ich, że nadszedł czas połączyć siły.

Spotkali się w głębokim lesie, podczas burzy i łoskotu piorunów, co uznali za wyraz poparcia bogów. Buckman odprawił nabożeństwo w obrzędku voodoo.

Mamaloi poderznęła gardło czarnemu dzikowi, po czym konspiratorzy ustami czerwonymi od krwi zwierzęcia złożyli przysięgę wierności Buckmanowi i jego zastępcom. Następnie przywódca wyznaczył datę powstania na dwudziestego drugiego sierpnia.

Tejże nocy Buckman - nadzorca zebrał swoich zwolenników na plantacji Turpinów, tym razem posługując się nie biczem, lecz pochodnią jako sygnałem świetlnym, i od tej

chwili na terenie całej Równiny Północnej niewolnicy zaczęli palić, gwałcić i zabijać.

W świetle płonących domostw i pól trzcinowych Murzyni ścigali swoich okrutnych panów, by torturować i uśmiercać tych ludzi z brutalnością, którą usprawiedliwiały ich własne dotychczasowe poniżenia.

Na niektórych plantacjach niewolnicy pamiętali o dobrych właścicielach i ukrywali ich w bezpiecznych miejscach.

Ale na innych nie ostał się żaden biały człowiek, i nikt nie mógł opowiedzieć, co się tam wydarzyło.

Odeluc, zarządca posiadłości Gallifetów, wyjątkowo bezlitosny w stosowaniu chłosty, bawiąc w Le Cap usłyszał, że coś się dzieje, i natychmiast wyruszył na swoją plantację.

Wziął ze sobą kilku strażników miejskich, by przy ich pomocy stłumić zamieszki, ale gdy przybył na miejsce, stwierdził, iż jego własni niewolnicy należą do przywódców powstania, a jako znak bojowy noszą wbite na pal ciało białego dziecka.

Odeluca pojmano i zabito, a żadne alarmy nie miały sensu, gdyż triumfujące bandy niewolników, zatrute żądzą zemsty, szalały po równinie niczym pożar w lesie.

Andre czuł, że potrafi sobie wyobrazić tamte wydarzenia.

Najbardziej zaskakujący był fakt, iż zdobywszy przewagę, ustanowiwszy Deklarację Niepodległości i ogłosiwszy się cesarzem Dessalines, a wraz z nim Christophe, uznali voodoo za nielegalne, choć głównie dzięki tej religii doszli do władzy.

Andre nie potrafił tego zrozumieć, ale był przekonany, że choć raz jeszcze voodoo musiało zejść do podziemia, nigdy nie wydrze się go z serc i wyobraźni tych, którzy w nie wierzyli.

Zmierzch przemienił się w noc i Tomas wyszedł na taras, by oznajmić:

- Poślanie gotowe, m'sieur.

Z uśmiechem na twarzy Francuz wkroczył do małego salonu, spodziewając się, że tak jak poprzedniej nocy, znajdzie swój koc rozłożony na gołej podłodze.

Miał tylko nadzieję, że zielone jaszczurki śmigające po ścianach pozwolą mu zasnąć.

W świetle migotliwego płomienia świecy, ustawionej na drewnianej skrzyni, Andre zobaczył, że Murzyn znalazł gdzieś w tym pustym, ogołoconym domu łóżko, jakiego używa miejscowa ludność.

Sklecono je z czterech kawałków drewna, a puste miejsca wypełniała rzadko przetkana taśma, tworząc coś na podobieństwo hamaku.

Było to prymitywne posłanie, na jakim sypiają służący i niewolnicy, ale tej nocy równało się królewskiemu łóżu.

Kiedy Andre siedział na trawie, zdawało mu się, że dyszy stukanie młotka.

Tomas naprawiał mebel, który musiał być zepsuty, bo inaczej nie ostałby się w domu; znalazł kilka zardzewiałych gwoździ i kawałek sznurka, którym przywiązał nogi do ramy.

- M'sieur - uważać! - przestrzegł służący. - Jutro zrobić mocniejsze.

- Dziękuję, Tomas. Wykazałeś dużo inicjatywy, że w ogóle coś znalazłeś, a to łóżko z pewnością będzie wygodniejsze niż podłoga, na której spałem wczoraj.

Czarny uśmiechnął się szeroko, słysząc te pochwały, po czym ściągnął swojemu panu buty do konnej jazdy i zabrawszy resztę ubrania, szykował się do wyjścia z pokoju.

- Będziesz potrzebował świecy - zauważył Andre.

- Wystarczająco światła w kuchni - odpowiedział. - Bon nuit, dobranoc, m'sieur!

Francuz ostrożnie ułożył się na łóżku i naciągnął na gołe ciało cienki koc.

Zamyślił się nad swoją dziwną sytuacją, nad tym, że nocuje w domu stryja, a usługuje mu czarny służący. Zastanawiał się, jakie jeszcze przygody czekają go następnego dnia.

„Jak dotąd miałem dużo szczęścia, ogromnie dużo szczęścia” - powiedział sobie w duchu.

Potem przypomniał sobie przekleństwo Pedra, rzucone na zniszczoną posiadłość.

Cokolwiek by Tomas mówił, Andre nie wierzył, że klątwa ma związek z nim.

Skąd ktoś mógł wiedzieć, że on zamierza spędzić tutaj noc, że jego przyjazd na plantację Villaretów ma szczególny, konkretny cel?

„To jakieś bajki, którymi straszy się małe dzieci” - pomyślał i zasnął.

Kilka godzin później Andre obudził się i stwierdził, iż świeczka niemal się stopiła. Pomyślał, że niepotrzebnie pozwolił sobie na zbytek spania przy zapalonej świecy, którą powinien był zgasić przed zaśnięciem.

Potem przyszło mu do głowy, że może po prostu obawiał się ciemności, ale zaraz sam sobie zaprzeczył, uznając swoje postępowanie za wynik niedbalstwa.

Przez okno dostrzegał mdłe światło gwiazd. Powietrze wypełniał zapach wydawany, jak się domyślał, przez specjalny rodzaj egzotycznych kwiatów, których woń najsilniejsza stawała się nocą.

Właśnie wtedy usłyszał odgłos bębnow.

Dźwięk dochodził z bliska, z o wiele mniejszej odległości niż wcześniej tego wieczoru, kiedy wydawało mu się, że też go słyszy.

Wciąż jeszcze senny, zastanawiał się, jaką też wiadomość mogą wystukiwać werble.

Czyżby rzeczywiście mówiły o nim?

Zaciekawiony wstał z łóżka i wyszedł na taras.

Poruszał się ostrożnie, bo czuł, że mur pod jego stopami nie jest zbyt solidny i grozi w każdej chwili zawaleniem.

Teraz bardzo wyraźnie słyszał bębny. Ich rytm rozbrzmiewał jednak w dość znacznej odległości, gdzieś w lesie, z którego tu przyjechali.

Zastanawiał się, czy nie powinien obudzić Tomasa, by Murzyn posłuchał dziwnych odgłosów.

Nagle w trakcie tych rozważań jakiś szósty zmysł, jakaś wewnętrzna intuicja podpowiedziała mu, że służącego nie ma, że zostawił go w domu samego.

Nie było żadnych dowodów potwierdzających jego przeczucie, ale ponieważ i tak w końcu uznał, że nie ma potrzeby wzywać służącego, po prostu wrócił do łóżka.

Przez dłuższy czas leżał przy migoczącym płomieniu świecy, pogrążony w rozmyślaniach i ogarnięty pełną podniecenia ciekawością.

Rano obudził go zapach kawy, a po kilku minutach do pokoju wszedł Tomas, niosąc dzbanek, którego używali w podróży, napełniony parującym czarnym płynem. Andre wypił napój z rozkoszą.

Służący przyniósł też ze sobą rzeczy białego mężczyzny. Widać było, że wyczyścił i wyglansował buty, a ubranie starannie wyszczotkował.

Przygotował też czystą koszulę.

Śniadanie składało się z jajek, owoców i kawy, której Murzyn musiał ciągle dolewać.

Kiedy Francuz skończył jeść jajka podane na Uściu, tak jak kurczak poprzedniego wieczora, Tomas odezwał się:

- Iść znaleźć jedzenie, m'sieur zostać w domu.

- Dlaczego? - odruchowo zapytał Andre, choć znał odpowiedź.

- M'sieur nikt nie widzieć.

- Masz rację - zgodził się - tu są pieniądze. Jeśli ci nie starczy, weź na kredyt.

- Na kredyt?

Zorientował się, że Tomas go nie rozumie, i szybko wyjaśnił:

- No tak, kupowanie na kredyt w tym kraju nie jest najlepszym pomysłem. Weź wszystko, co uznasz za konieczne, ale pamiętaj, że jeśli będzie tego zbyt dużo, miejscowi zaczną podejrzewać, iż się tu zagospodarujemy.

Tomas szerokim uśmiechem dał znać, że pojął, o co chodzi, ale Andre pomyślał, że chociaż jego służący uznał za słuszne, aby pan nie pojawiał się we wsi czy też w innym miejscu, gdzie sam zamierzał dokonać sprawunków, to przecież okoliczna ludność wie już, iż on tu jest, w tym domu od tak dawna wymarłym i opuszczonym.

Nie miało jednak sensu zadawanie zbyt wielu pytań, dopóki Murzyn nie zorientuje się w miejscowych stosunkach.

Kiedy zniknął w oddali, Francuz bez kapelusza i z podwiniętymi rękawami koszuli ruszył do ogrodu w poszukiwaniu chłodu.

Słońce podnosiło się coraz wyżej i już teraz robiło się gorąco, ale drzewa zapewniały dużo cienia, więc Andre postanowił rozejrzeć się w najbliższym otoczeniu, pamiętając, że przyrzekł towarzyszowi, iż nikt go nie zobaczy.

Trudno było stwierdzić, od którego miejsca zaczynał się właściwy ogród lub też gdzie pośród splątanych chwastów znajdowały się kiedyś grządki z warzywami uprawianymi na potrzeby domu.

Mężczyzna rozglądał się dokoła i ze smutkiem myślał, że całą posiadłość pozostawiono na pastwę dzikiej przyrody, która nie kontrolowana, panoszyła się w bezlitosny sposób.

Zrobiło się jeszcze goręcej i Andre ponownie przeniósł się w cień drzew.

Zauważył papugi mocno bijące silnymi skrzydłami, a także tu i ówdzie kępy orchidei, choć nie było ich tak dużo, jak w głębi lasu, przez który przedzierali się poprzedniego dnia.

Piękno miejsca, po którym się przechadzał, wpływało na jego wyobraźnię. Do głowy przychodziły mu myśli niezrozumiałe, ale podniecające dzięki uczuciom, jakie w nim wzbudzały.

Szedł jakiś czas przed siebie, a jego kroki wyciszał mech rosnący pomiędzy drzewami i na ledwo widocznej dróżce wiodącej od domu.

Ciekaw był, dokąd ona prowadzi.

Raptem, kiedy odchylił się, by uniknąć smagnięcia gałęzią krzewu porośniętego kwiatami, w niewielkiej odległości zauważył białą postać.

Zatrzymał się, pomny, iż Tomas nie pozwolił mu się pokazywać, ale zastanawiało go, kto się do niego zbliża.

Po chwili zorientował się, że postać wcale się nie porusza.

Musiała to być zakonnica, bo odziana była w białe szaty, w jakich już wcześniej widywał siostry zakonne na zatłoczonych ulicach Port - au - Prince; już wówczas pomyślał, że jakoś nie pasują one do Haiti.

Dziewczyna, którą ujrzał, także miała na sobie białe odzienie, ale jej głowę zamiast tradycyjnego welonu i barbetu ściśle obejmował biały turban. '

Zaskoczony, przyglądał się zakonnicy siedzącej na zwalonym pniu drzewa i stwierdził, że wcale nie była tu sama.

Na jej rękach i ramionach usadowiły się ptaki.

Kobieta z pewnością je karmiła, bo te, które siedziały na ręku, wydziobywały coś z jej dłoni, a inne bez lęku przefruwały z ramion na głowę, by przysiąść tam na krótki odpoczynek.

Widok był tak piękny i niecodzienny, że Andre stał jak urzeczony i z odległości przyglądał się zakonnicy.

Potem powoli i bardzo cicho, tak by nie zostać usłyszanym, przysunął się nieco bliżej.

Ukryty za krzakami i pniami drzew, znajdował się na tyle blisko, że mógł dokładniej przyjrzeć się kobiecie.

Patrząc na jej twarz wzniesioną ku ptakom, których ciągle przybywało, Andre stwierdził, że jest ona bardzo piękna.

Co więcej, nieznajoma miała jasną skórę!

„Czy to możliwe - zapytał sam siebie - żeby biała kobieta żyła tu, na ziemi Villaretów?”

Potem uznał, że prawdopodobnie chroni ją habit zakonnicy.

Niemniej wydawało mu się dziwne, że cesarz i jego zwolennicy oszczędzili białą kobietę, nawet jeżeli była zakonnica.

Jednakże nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna jest biała i nad podziw piękna.

"Wygląda na bardzo młodą" - pomyślał Andre. Nie mógł sobie przypomnieć, czy w całym swoim życiu spotkał kogoś o tak wielkim uroku.

Oczy dziewczyny patrzącej na ptaki zdawały się wypełniać całą twarz, a mały zgrabny nos, linia podbródka i układ ust wskazywały, że jest to osoba szlachetnie urodzona.

Jej uroda miała w sobie wielką delikatność i Andre był przekonany, że w żyłach tej kobiety musi płynąć błękitna krew.

Nagle omal nie wybuchnął głośnym śmiechem.

Bo jacyż to arystokraci zostali na Haiti po rewolucji? I w ogóle, czy jakimkolwiek białemu człowiekowi udało się przeżyć oprócz mieszkańców północy, znieważanych przez cesarza, bądź osób zatrudnionych, jak słyszał, w Port - au - Prince?

Chciałby teraz być artystą, by móc przenieść na płótno piękno widoku, który miał przed sobą.

Do małych ptaszków, w większości upierzonych na żółto, dołączyły dwie olśniewająco barwne papugi.

Trzepotały skrzydłami nad głową zakonnicy, po czym spłynęły na jej ramiona, odpychając siedzące na nich ptaki i wydziobując ziarna kukurydzy czy też innej strawy, którą je karmiła opiekunka.

Zaśmiała się właśnie, rozbawiona.

- Obie jesteście zachłanne i nieokrzesane! - wykrzyknęła.
- Dostaniecie swoją porcję na ziemi.

Rozrzuciła wokół siebie ziarna, które czerpała z torby leżącej obok. Papugi sfrunęły na ziemię, nie okazując najmniejszego strachu, a po chwili, za nimi - reszta ptactwa.

Andre zauważył, że mniszka posługuje się czystą, poprawną francuszczyzną; w jej mowie nie dosłyszał ani jednego wyrazu kreolskiego, nie czuło się też w jej głosie rytmu kreolskiego narzecza.

Wzięła do ręki następną garść ziarna i uniosła wysoko dłoń, a małe ptaszki, które przerażone atakiem papug, na chwilę odleciały na bok, natychmiast powróciły do karmicielki.

Na jednej jej ręce usiadły trzy, na drugiej cztery.

Przyglądała się im z uśmiechem, który jeszcze dodawał jej uroku.

Andre, czując nieprzepartą ochotę porozmawiania z nieznajomą, spytania jej, kim jest, powoli wynurzył się zza krzewów.

Zdołał przejść dwa kroki, kiedy ptaki, zauważywszy jego obecność, wzbiły się całą chmarą w górę, by znaleźć schronienie pomiędzy gałęziami drzew.

Zaskoczona mniszka uniosła na chwilę wzrok w górę.

Potem odwróciła głowę w kierunku Andrego, i wtedy go zobaczyła.

Na krótko zamarła w bezruchu, niczym skamieniała. Potem mężczyzna ujrzał wyraz przerażenia na jej twarzy i nieznajoma z cichym okrzykiem, znamionującym prawdziwy strach, porwała się do ucieczki.

- Nie, mademoiselle, proszę nie odchodzić! - zawołał Francuz, ale za późno.

Zakonnica, biegnąc z niezwykle szybkością, znikła za drzewami.

Jeszcze przez chwilę Andre dostrzegł w oddali skrawek białej szaty, ale kiedy dotarł do miejsca, gdzie przedtem kobieta siedziała na pniu, już jej nie widział.

- Do diaska! - zaklął pod nosem. - Nie zamierzałem przecież jej spłoszyć.

Ale choć był zły, że stracił okazję porozmawiania z mniszka, nie dziwił go jej przestrasz.

Nie wiedziała przecież, że jest biały. Wyglądał jak Mulat, na dodatek bardzo ciemny.

„Zupełnie zapomniałem - pomyślał zniechęcony - Zapewne wie, jaki los spotykał białe kobiety na Haiti podczas rewolucji. Nic więc dziwnego, że będąc tu sama przestraszyła się, a nawet przeraziła!”

Bez wątpienia nie udawała lęku. A była tak zachwycająco piękna, kiedy niemal w uniesieniu patrzyła na ptaki, które jadły z jej dłoni!

„Muszę ją odnaleźć” - postanowił i w tej samej chwili inna myśl przyszła mu do głowy.

Jeżeli spotkał zakonnice, to muszą tu też być inne, a to znaczy, że gdzieś w pobliżu znajduje się kościół lub klasztor.

A właśnie tego szukał. Mógł zatem uczynić następny krok, zbliżający go do odnalezienia skarbu, który jego stryj ukrył pod boską opieką.

Doszedł do wniosku, że popełniłby błąd, od razu rozpoczynając poszukiwania, uznał jednak, że uczciwie postąpi, powiadamiając Tomasa o swoich zamiarach.

Wrócił do domu, w pół godziny po nim zjawił się służący.

Zarówno Murzyn, jak i jego, koń uginali się pod ciężarem zakupów, z których najdziwniejszym były cztery żywe kury i jeden kogut.

Andre roześmiał się na ten widok.

- Rozumiem, chcesz, żebyśmy mieli świeże jajka?

- Nie jajka, my jeść - poinformował Tomasz z logiczną prostotą.

Udało mu się kupić za zaskakująco niewielką sumę nie tylko żywność, ale także sznurek, gwoździe, młotek, garnki, talerze, kubki, dzbanek do kawy i duży nóż, z rodzaju tych ostrych i niebezpiecznych narzędzi, których Haitańczycy używali do cięcia trzciny.

Służący wyglądał na bardzo zadowolonego z zakupów i Andre również się uśmiechnął.

- Jeżeli rzeczywiście mamy tu pozostać przez jakiś czas - zauważył - myślę, że będziesz potrzebował więcej niż to, co przywiozłeś.

- Na początek mało - rozsądnie stwierdził Tomasz - albo ludzie zacząć pytać.

Opinia ta była niewątpliwie słuszna. Francuz niecierpliwie czekał na sposobną chwilę, by zadać kilka pytań na temat nurtujących go spraw.

- Czy wiedziałeś, że w pobliżu znajduje się klasztor? Widząc, że Tomasz chyba go nie zrozumiał, wyjaśnił:

- Zakonnice. Widziałem w lesie zakonnice.

- Przyjść z kościoła - potwierdził Murzyn. Machnął ręką w kierunku, w którym uciekła mniszka, i dodał:

- Kościół tam.

- W takim razie wybiorę się, żeby go obejrzeć - oznajmił Andre. - Mógłbyś przyprowadzić mi konia?

Wydawało mu się, że Tomas zamierza odwieść go od tego pomysłu; ale Murzyn, jak gdyby wiedząc, że biały mężczyzna powziął nieodwołalną decyzję, nic nie powiedział.

Przyprowadził konia ze stajni, Andre zaś włożył krawat, zapiął rękawy koszuli i dosiadł wierzchowca.

Ponieważ słońce prażyło bardzo mocno, miał na głowie kapelusz, ale nie włożył marynarki.

Potem odjechał zarośniętym podjazdem, kierując się tam, dokąd uciekała zakonnica.

Na końcu drogi musiał się wspiąć na niewielkie wzniesienie i odnalazł ścieżkę, którą odkrył już wcześniej.

Trzeba było jechać powoli i wciąż przytrzymywać kapelusz, który bez przerwy zaczepiał się o wystające gałęzie.

Omijał albo przejeżdżał nad konarami drzew, powalonymi przez wiatr lub czas.

Potem, szybciej niż się spodziewał, zobaczył to, czego szukał, budynek, który mógł być jedynie kościołem.

Otaczały go drzewa, a stał na łagodnym wzniesieniu nad plantacją, pomiędzy zniszczonymi chatami z błotnistej gliny, które już dawno straciły słomiane dachy.

Kościół, zbudowany z kamienia, i jak zgadywał Andre, o wiele starszy od domu stryja, obrastały pnącza, tak że budynek tonął w zieleni, nie różniąc się niemal barwą od otaczających go drzew.

Bez wątpienia na szczycie znajdowała się niegdyś strzelista wieża i mała jej część jeszcze tam została. Cały dach nosił ślady napraw, kawałki drewna przyciśnięto wielkimi kamieniami.

Nadawało to kościołowi trochę nieporządnny wygląd. Zarazem jednak Andre pomyślał, że właśnie tego szuka.

Nagle przyszło mu do głowy, że ponieważ kościół jest stary i stoi tu już co najmniej od stu lat, jego stryj z tego właśnie powodu pobudował swój dom w jego pobliżu.

Bardzo pragnął w tej chwili, tak jak wiele razy w czasie podróży do Ameryki i z Ameryki na Haiti, mieć pod ręką listy, które stryj tak często przysyłał do Francji.

Niestety, jego rodzina nie zabrała ich ze sobą, uciekając podczas rewolucji do Londynu.

Gdy ojciec Andrego zawiadomił brata o nieszczęściach, jakie stały się ich udziałem, w odpowiedzi otrzymali tylko kilka listów, po czym zapanowało całkowite milczenie.

Bez względu na to, czym kierował się stryj, kiedy przybył na Haiti, najważniejsze jest, myślał Andre jadąc przed siebie, że on odnalazł kościół, w okolicy którego tamten musiał zakopać pieniądze.

Ogarnęło go przerażenie na myśl, że kościół nie wygląda tak jak przed laty i podobnie jak wszystko dookoła, obrósł całą bujną roślinnością, może z wyjątkiem frontonu. Robił wrażenie, jakby wzniesiono go w środku lasu.

Andre wyobraził sobie poskręcane korzenie, które z pewnością utrudnią kopanie, o ile go w ogóle nie uniemożliwią. Trzeba by chyba oczyścić to miejsce z wszelkiej roślinności.

Ale w tej chwili nie można było rozwiązać tego problemu.

Andre dotarł do kościoła, a zobaczywszy otwarte drzwi, zsiadł z wierzchowca.

Przywiązał konia do słupka, który ustawiono tam prawdopodobnie właśnie w tym celu.

Ponownie rozejrzał się wokół siebie i stwierdził, że rozpadające się cailles, które spostrzegł wcześniej, znajdują się o wiele dalej od kościoła, niż przypuszczał.

Prawdopodobnie kiedyś kościół stał w samym środku wioski, ale nawet jeżeli tak było, to mieszkańcy musieli opuścić ten teren.

Został tylko kościół.

Kiedy spojrzął we wschodnim kierunku, zauważył długi, niski budynek, do tej pory niewidoczny, gdyż zasłaniało go olbrzymie drzewo uroczymi czerwonego.

Ściany ozdobione białym stiukiem, podobnie jak fasada domu stryja, znajdowały się w lepszym stanie. Okiennice zasłaniające okna nie były popękane.

Pośrodku Andre dostrzegł drzwi, a przy nich mosiężny dzwonek, wypolerowany do połysku.

„Tam zapewne mieszkają zakonnice” - powiedział sobie w duchu.

Uznał jednak, że mogą one poczekać - nawet ta piękna mniszka, karmicielka ptaków - ponieważ najpierw chciał obejrzeć kościół.

Wszedł do środka przez otwarte drzwi i zorientował się, iż nie był w błędzie, oceniając budynek jako bardzo stary.

Wewnątrz ściany wyłożono nie oszlifowanym kamieniem, ale w prezbiterium widniały wspaniałe malowidła.

W domu Jacques'a widział kilka obrazów, ale nie przypominały one nic, co dotąd oglądał, chyba że w muzeum w Anglii.

Jaskrawokolorowe, o jakby niedbale położonej farbie, przypominały nieco styl włoskich naturalistów sprzed wieków.

Kiedy wyraził zainteresowanie obrazami, Jacques wyjaśnił:

- W historii Haiti znajdziesz piratów i rzezimieszków, ale mógłby w niej zaistnieć także nurt artystyczny, gdyby tylko go rozwijano.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Andre.

- Niektórzy Mulaci, w tym i ja sam, zetknęli się z malarstwem w innych krajach i sami chcieli się sprawdzić jako artyści. A to właśnie jest rezultat tych prób.

- Są bardzo niezwykle i z pewnością ogromnie naturalne - osądził Francuz. - I choć nie można mnie uważać za eksperta, to twierdzę, iż widać, że są dziełem talentu.

- Ja też tak myślę - zgodził się Jacques - i pewnego dnia zawiozę niektóre z nich do Ameryki, albo też zrobi to za mnie Kirk.

- Wątpię, czy Amerykanie je docenią - zauważył Kirk. - Lepiej niech Andre pokaże je w Anglii.

- A jeszcze lepiej we Francji! - westchnął Andre.

Wspominając tę dyskusję, uświadomił sobie, że malowidła ściennie bardzo przypominają w stylu obrazu Jacques'a. Była tu cała galeria świętych i aniołów, Najświętsza Panienka, Dzieciątko Jezus i Chrystus ukrzyżowany.

Postacie, choć surowe i dość prymitywne w rysunku, namalowano czystymi, żywymi barwami i Andre domyślał się, że ludzie, którzy tu się modlili, mogli doznawać ekstatycznego uniesienia.

Wpatrywał się w obrazy z takim zainteresowaniem, że dopiero w ostatniej chwili spostrzegł zakonnice w dalszej części kościoła. Kobieta podeszła do niego.

- Czego szukasz, mon fils? - zapytała.

Spojrzał na mówiącą: była to Murzynka, tak stara, że jej pomarszczona skóra stała się niemal srebrna, a oczy tak głęboko zapadły, że zdawały się prawie niewidoczne.

Odziewał ją biały habit, a głowę osłaniał barbet i welon. Różaniec z dużym krzyżem opasywał talię starej kobiety.

Mówiła spokojnie, głosem prawie bez wyrazu, ale patrząc jej w oczy, Andre zrozumiał, że zakonnica się boi.

- Przyszedłem się pomodlić, ma mere - wyjaśnił, co zmniejszyło nieco jej strach.

Ponownie spojrzął na malowidła.

- Podziwiałem także wnętrze kościoła - dodał.

- Kiedy go naprawialiśmy, zabrakło nam pieniędzy, więc ostatnio jedna z sióstr próbowała upiększyć ściany - powiedziała zakonnica.

- Kiedy naprawialiście kościół? - powtórzył Francuz. - A co się takiego stało?

Pytanie mężczyzny wyraźnie zaniepokoiło staruszkę i przez moment zastanawiała się jakby, czy dać odpowiedź, czy też poradzić nieznanemu, by zajął się własnymi sprawami. W końcu rzekła:

- Ci, których oślepia płomień przemocy, nie zawsze szanują dom boży.

Andre był przekonany, że kościół zniszczono w tym samym czasie, kiedy podpalono i ograbiono dom stryja, a całą jego rodzinę bestialsko zamordowano.

- Czy mógłbym z wami porozmawiać, ma mere! - zapytał.

- O czym, mon fils?

- O tym, co wydarzyło się tu i na plantacji Villaretów - powiedział. - Pozwólcie mi się przedstawić, nazywam się Andre de Villaret, a hrabia Phillippe de Villaret był moim rodzonym ojcem.

Zakonnica uczyniła taki ruch głową, jakby - zważywszy kolor jego skóry - uznała wiadomość za prawdziwą. Potem powiedziała:

- Hrabia był życzliwym i wspaniałomyślnym opiekunem. Zbudował nam dom, kiedy przybyliśmy tu z Le Nord.

- A jak dawno to było? - dopytywał się Andre.

- W 1791 roku, na początku powstania. Mężczyzna przypomniał sobie swoje wczorajsze rozważania o początkach rewolucji Buckmana na północy.

- Byłyśmy tu bezpieczne - stwierdziła mniszka - bezpieczne do chwili, gdy dziesięć lat później nasz opiekun stracił życie.

W jej głosie zabrzmiało najprawdziwsze przerażenie; jedną drżącą ręką pochwyciła krzyż przyczepiony do różańca, jakby w nadziei, że ten poświęcony przedmiot uchroni ją przed własnymi myślami.

- Co wam się przydarzyło? - łagodnie zapytał Francuz.

- Większość mniszek uciekła i ukryła się w lesie - poinformowała staruszka.

- Większość?

Przez chwilę miał wrażenie, że kobieta nie odpowie. Ale po chwili ledwo dosłyszalnym głosem wyszeptała:

- Nie pozwolili odejść les blancs.

Domyślał się, że białe zakonnice zamordowano albo spotkało je coś jeszcze gorszego.

Ale w takim razie kim była mniszka, którą widział w lesie? Ta, która przed nim uciekła?

Zastanawiał się, czy powinien o niej wspomnieć, ale ostatecznie nie zdecydował się na to.

Kobieta przysiadła na jednej z ław w prezbiterium, jak gdyby osłabła od wspomnień, które przywołała. Andre zajął miejsce obok niej.

- To było straszne! - zwierzyła się. - Okropne! Ale le bon Dieu ochronił nas, i kiedy wszystko się skończyło, wróciliśmy. I choć kościół uległ zniszczeniu, nasz dom zastałyśmy prawie taki, jakim go zostawiłyśmy.

- Miałyście dużo szczęścia - zawyrokował mężczyzna.

- Byłyśmy ogromnie wdzięczne Panu Bogu - rzekła po prostu zakonnica.

- A teraz? Co się dzieje z wami teraz? - dopytywał się Andre.

Kobieta spojrzała na krzyż na ołtarzu. Francuz podążył za jej wzrokiem i zobaczył, że krucyfiks był bardzo prymitywny, wykonano go z kawałka zwykłego drewna.

Bez pytania wiedział, że wszystko, co kościół posiadał, krzyż, świeczniki, kielich do komunii i resztę wartościowych przedmiotów ukradziono.

- Myślę, że jesteśmy tu bezpieczne - cicho powiedziała staruszka. - Henry Christophe jest dobrym katolikiem, ale cesarz...

Zamilkła, nie chcąc, by wymknęły jej się nieostrożne słowa, ale wyschnięte, poszarzałe usta trzęsły się ze zdenerwowania.

- Cesarz brzydzi się białymi i nie lubi Mulatów - skomentował Andre - ale niektórzy z nas są mu przydatni, więc tych zachowuje przy życiu.

Choć nie chciał potęgować strachu kobiety, musiał zadać pytanie.

- Czy w waszym zgromadzeniu - zaczął - którego jesteście, jak przypuszczam, matką przełożoną, wszystkie zakonnice są Murzynkami, czy też są tu Mulatki?

Nastąpiła chwila przerwy. Potem głosem pustym, bez wyrazu zakonnica odpowiedziała:

- Wszystkie, monsieur!

Rozdział 4

Andre wracał do domu głęboko pogrążony w myślach.

Zdawał sobie sprawę, że matka przełożona kłamała, zarazem jednak trudno mu było ją powiadomić, że spotkał w lesie zakonnicę o białym kolorze skóry.

Zastanawiał się, czy przerażona mniszka opowiedziała, co ją przestraszyło, a jeśli tak, to czy reszta kobiet spodziewała się spotkać go w pobliżu.

Jednakże był prawie pewien, że matka przełożona pierwszy raz spojrzała na niego nie ze strachem, lecz ze zdziwieniem. Chociaż myśl ta i tak prowadziła go donikąd.

„Jeszcze jedna zagadka w tym zaskakującym i tajemniczym kraju” - powiedział sobie w duchu.

Przedłużał powrót do domu, rozglądając się po plantacji, zgadując gdzie stryj uprawiał bawełnę, zwracając uwagę na kilka potężnych drzew bananowych i na poletka trzciny cukrowej, teraz zupełnie zaniedbane, niegdyś przynoszące obfite zbiory.

Dziwił się, dlaczego cesarz lub Henry Christophe nie przysłali Murzynów, by zajęli się plantacją.

Potem przypomniał sobie, jak mówiono, że niewolnicy, uważając się teraz za wolnych, po zrzuceniu jarzma jednego pana nie chcą pracować dla drugiego.

Każdy eks - niewolnik pragnął jedynie małej caille, gdzie mógłby żyć ze swoją rodziną, posiadając tylko tyle gruntu, żeby wystarczyło go pod uprawę warzyw na własne potrzeby.

Zbliżało się późne popołudnie, kiedy Andre podjechał w końcu na tyły domu, gdzie znajdowały się stajnie, zniszczone i prawie zupełnie pozbawione dachu, ale stanowiące wystarczające schronienie dla dwóch koni.

Ponieważ koń Tomasa był na miejscu, wiedział, że służący jest w domu, a kiedy wszedł do środka, zastał

Murzyna rozstawiającego nową zastawę na skrzyni służącej za stół.

- Mam nadzieję, że nie przygotujesz posiłku o tak wczesnej porze? - zaciekawiał się Andre.

- M'sieur jeść teraz, potem spotkać Damballah. Francuz spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Chcesz powiedzieć, że zorganizowałeś ceremonię voodoo na dzisiejszy wieczór? - zapytał.

Nie potrzebował czekać na odpowiedź. Teraz już wiedział, gdzie podziewał się Tomas zeszłej nocy i dlaczego dźwięk bębnów wydawał się tak bliski.

Pomyślał, że przynajmniej dowie się czegoś na temat voodoo, choć mimo absolutnej pewności Murzyna nie wierzył, że magia pomoże im rozwiązać problemy i wolał pozostawić sprawy w rękach Boga.

Zgrzany po jeździe konnej, poszedł do studni i obmył się, oblewając ciało kilkoma kubłami krystalicznie czystej wody.

Potem dokładnie obejrzał swoje ciało sprawdzając, czy barwnik nie zszedł, ale z satysfakcją stwierdził, że farba od Jacques'a doskonale spełnia swoje zadanie i nikt ani przez chwilę nie powinien podejrzewać, że ma do czynienia z białym człowiekiem.

Jednocześnie nie mógł zapomnieć o tym, że gdyby w czasie ceremonii voodoo odkryto jego tajemnicę, mógłby stracić życie, nawet jeśli nie od razu przeznaczono by go na ofiarę kultu.

Przebrany w świeżą odzież, zjadł wspaniały obiad i raz jeszcze pomyślał, jakie ma szczęście, że Tomas tak wyśmienicie gotuje.

Następnie Andre, kiedy służący podprowadził obydwie konie przed front domu, nie wdając się w dyskusję, zszedł ze schodów i ruszyli. Podążali tą samą drogą, którą tu przybyli.

Wkrótce znaleźli się w gęstym lesie, a gdy przejechali około mili, już zapadła tropikalna noc.

Na niebie pojawiły się różnobarwne błyski, przechodzące z oranżu, szkarłatu, zieleni, heliotropu w niebieską poświatę, która znowu zmieniała się w smugi barwy ametystu.

W górze słyszeli piskliwe głosy nietoperzy i trzepot skrzydeł obudzonych przez nie ptaków.

Potem cicho, podstępnie, tak że Francuz nie zdążył się zorientować kiedy, zaczęły bić bębny. Mężczyźnie wydawało się, że tak naprawdę rozbrzmiewają już od jakiegoś czasu.

Dźwięk narastał, przedzierając się przez drzewa, odbijając się echem od gór wokół i spływając w dół, w czerń doliny, która rozpościerała się pod nimi niczym przepastna głębina.

Andre posuwał się za Tomaszem, a nad nimi zaczęły pojawiać się gwiazdy, mrugając do jeźdźców spomiędzy konarów drzew.

Biały mężczyzna nie miał pojęcia, dokąd jada, podczas gdy Tomas poruszał się bardzo pewnie, choć Andre uważał, że Murzyn kieruje się raczej słuchem niż wzrokiem.

Noc zaczęła żyć tętniącym, pulsującym, rozedrganym dźwiękiem i Andre mu wydawało się, że ten dźwięk niesie ze sobą jakąś wieść, ale nie rozumiał mowy bębnów.

Znajdowali się teraz wysoko w górach. Nagle Murzyn zatrzymał konia i zsiadł.

Francuz zawahał się, ale poszedł w ślady towarzysza. Służący bez słów odebrał mu cugle i odprowadził zwierzęta na bok.

Z pnia zwałonego drzewa sterczała pod kątem prostym* zeschnięta gałąź i do niej Tomas przywiązał konie. Następnie wrócił do czekającego Andre, wyminął go i bez słowa ruszył przed siebie. Andre postępował za nim.

W mroku zauważyli migoczące błyski. Odgłos bębnów stawał się coraz głośniejszy, niemal nie do zniesienia.

Nagle przed nimi zamajaczył jaśniejszy prześwit i Andre zatrzymał się. Zobaczył postaci poruszające się na tle światła, które rozbłysły na chwilę, żeby natychmiast zgasnąć, znów pograżając wszystko w ciemności.

Tomas wyczuł wahanie towarzysza i odwrócił się w jego stronę.

- Chodź! - szepnął i Francuz, zawstydzony własnym strachem, znów ruszył za przewodnikiem.

Po chwili znaleźli się na obrzeżu polany, pośrodku której stał wysoki słup albo drzewo. Andre nie potrafił tego rozpoznać. Na ziemi pobłyskiwały płytkie miski napełnione oliwą.

Nagle mężczyzna drgnął, bo płomyki świecące pod palmą zmieniły się w wielki ogień, a dźwięk bębnów począł się mieszać z ludzkimi głosami.

Przez chwilę wydawało się, że niezliczone mnóstwo osób postanowiło na całe gardło wykrzyknąć dziwne, piskliwe dźwięki, które miały być wyzwaniem dla strachu, a w rzeczywistości tylko go prowokowały.

Andre poczuł, że ręka Tomasa ściąga go w dół, i kiedy usiadł na ziemi obok Murzyna, rozpoczęły się tańce.

Płomienie znów się wzbiły i zobaczył starą kobietę nagą do pasa, która właśnie zaczęła tańczyć.

Odgadł, że ma przed sobą mamaloi. Po chwili jakiś mężczyzna, odziany jedynie w szkarłatną przepaskę, jął rozsypywać mąkę po ziemi, tworząc na niej zawile wzory.

Z miejsca, w którym Andre siedział, mógł dostrzec, że papaloi wykręca palce w skomplikowany sposób, podobny do ruchów węża.

Chociaż nic to dla niego nie znaczyło, wiedział, bo już o tym słyszał, że jest świadkiem wzywania specjalnych bóstw, których przychylności się tu dopraszano.

Wysoki śpiew tancerzy stał się jeszcze głośniejszy i przenikliwszy. Andre i Tomas nie mogli powstrzymać instynktownych ruchów ciała, zgodnych z rytmem bębnów.

Dziwne wydawało się słuchanie niezrozumiałych słów śpiewanych przez tancerzy, którzy teraz potrzęsali ciałami, wykręcali je, miotali się, pogrążeni w histerycznym, niepohamowanym transie.

Od czasu do czasu dochodził do uszu Francuza głośniejszy jęk, który odbierał jako błagalną pieśń bez słów.

Papaloi zakończył wytyczanie zawilego mącznego wzoru i muzyka stała się głośniejsza, bardziej żywiołowa.

Wzbudzała w białym dziwne emocje; zmysłowe, erotyczne, a zarazem pełne agresji.

Kapłan wkroczył w krąg światła. Na głowie miał turban zrobiony z różnobarwnych kawałków materii spiętych razem wysoko; w turbanie tkwiły kogucie pióra.

Mężczyzna najwyraźniej znajdował się na pograniczu transu, bo dziwnie potrzęsał całym ciałem i grzechotką gourd, którą trzymał w ręku.

Zdawało się, że taniec nabrał jeszcze większego tempa; mamaloi otoczyły wzniesione ramiona i tupoczące stopy, a ona trzymała w dłoniach dwa białe gołębie.

Ptaki rozpaczliwie trzepotały skrzydłami i Andre był zadowolony, że dzikie podskoki i gwałtowna gestykulacja tańczących przesłoniły mu widok.

Wiedział, że składano ofiarę, której bogowie wymagali, zanim zadośćuczynią prośbom do nich kierowanym. Mamaloi uśmierciła gołębie, przegryzając im gardła.

Wyglądało na to, że zakończono obrządek ofiarny, bo muzyka powoli cichła, mamaloi zaś, trzymając w ramionach martwe ptaki, przechadzała się wokół, tak by wszyscy patrzący mogli je zobaczyć.

Kiedy tańcząc przemknęła obok Andre, zauważył, że białe korale, które stanowiły jedyną ozdobę nagiej górnej części jej ciała, zrobiono z węzowych kręgów.

Nagle uczestnicy obrzędu zgodnie wielkim głosem krzyknęli:

- Damballah Weydo! Damballah Weydo!

Wrzawa, jaką podnieśli, zdawała się wstrząsać każdą gałęzią, a kiedy tak krzyczeli znowu i znowu, papaloi i ci, którzy mu usługiwali, napili się czegoś z czarnej butelki, po czym białymi bryzgami wypluwali napój z ust.

- To clarin - wyszeptał Tomas.

Francuz wiedział, że chodzi o miejscowy biały rum, bardzo mocny, który potrafi ogarnąć płomieniem nie tylko ludzkie wnętrzości, ale i rozum.

Papaloi poruszał się przed nimi w miejscu, wyginając się, trzęsąc. Wydawało się, że jego ciało wrosło w ziemię.

Upadł na kolana, po czym zaczął się wić i jęczeć.

Jakaś kobieta, jedna z tancerek, podeszła i zarzuciła na niego tkaninę podobną do grubego wełnianego koca. Najpierw okryła nogi kapłana, potem jego rozedrgane, szarpiące się ciało, na koniec głowę.

Nagle wrzaskliwe głosy ustały, a bicie bębnów przeszło w szept.

Oślonięta postać na ziemi stawała się coraz bardziej płaska. Przez chwilę nie poruszała się, potem koc drgnął - najpierw niemal niezauważalnie, ale stopniowo ruch stawał się coraz wyraźniejszy.

Ogień powoli wygasał i Andre niewiele widział. Nagle wydało mu się, że spod koca wysunęła się ręka.

Wyglądała prawie jak głowa węża, poruszająca się ze zmysłowym wdziękiem.

Następnie powoli począł wyłaniać się z ciemności zarys postaci, przypominającej w słabym świetle sylwetkę papaloi.

Ale teraz kapłan, mimo że był człowiekiem, przybrał formę wijącego się, bezkostnego niemal gada.

„On mnie hipnotyzuje” - powiedział sobie Andre.

Nie mógł jednak oderwać oczu od postaci stojącej na tle migoczących światełek lamp oliwnych, której twarzy nie można było dostrzec. Postać ta w niczym teraz nie przypominała człowieka.

Potem z ciemności dotarł do nich głos:

- Jesteś tutaj, Andre. To dobrze! Młody mężczyzna zmarł.

Wydawało mu się, że śni. Ale słowa wypowiedziane zostały poprawną francuszczyzną i z pewnością głosem stryja.

- Odnajdziesz to, czego szukasz - powiedział głos - Saona ci to wskaże. Saona wie, gdzie zostało ukryte... Saona... Saona!...

Słowa ucichły, przytłumione biciem bębnow.

Papaloi - a może wąż - nie stał już, lecz leżał na ziemi okryty kocem, pod którym na koniec zniknęła ręka przypominająca głowę gada.

Na chwilę Andreemu zabrakło tchu. Potem na nowo rozpoczęły się tańce, bębny huczały coraz głośniejsze, tancerze skakali przez ogień lub w sam środek płomieni, ponownie zbudzonych do życia.

Wspinały się one coraz wyżej po palu, na który wdrapywał się jakiś mężczyzna, krzycząc w ekstazie.

Francuz siedział w miejscu jak przykuty, ale zarazem starał się myśleć jasno, próbując tłumaczyć sobie, że to, co usłyszał, nie było tylko dziwnym wytworem wyobraźni.

Słyszał stryja, to był jego głos, jego sposób mówienia, dosadny i władczy, słowa wypowiedziane poprawną francuszczyzną.

Niemożliwe, by któryś z tych na wpół nagich Murzynów, przybyłych, by odprawić starodawny obrządek przeniesiony tu z Afryki, mógł przemawiać w ten sposób.

Papaloi wstał z ziemi.

Podszedł do Andrego i wyciągnął rękę.

Ten zrozumiał i potrząsnął dłonią czarownika. Następnie kapłan odwrócił się do Tomasa i zrobił to samo, ale z inną gestykulacją, używając, o czym Andre dowiedział się później, sekretnego znaku, znanego jedynie tym, którzy praktykują voodoo.

Papaloi powiedział coś, czego Andre nie usłyszał, po czym przeszedł do następnej osoby.

Murzyn dotknął ramienia swego pana.

- My iść, m'sieur - wyszeptał.

Francuz trochę niechętnie podniósł się z ziemi.

Pragnął zostać, chciał usłyszeć więcej, przekonać się, że to, co się zdarzyło, było realne.

Spostrzegł, że zachowanie tancerzy stawało się coraz dzikie, nieopanowane, gwałtowne. Jakiś mężczyzna rzucił kobietę na ziemię i przykrył ją swoim ciałem.

Tomas odciągnął Andrego i wyprowadził go z lasu, pewnie krocząc ścieżką, prowadzącą do oczekujących ich koni.

Dopiero kiedy tam dotarli, młody mężczyzna odzyskał głos.

- Czy słyszałeś, co powiedział kapłan? - zapytał.

- Nie, m'sieur - zaprzeczył jego towarzysz. - Nic nie słyszeć.

- Nic nie słyszałeś? - zdziwił się Francuz. - Przecież to niemożliwe. Papaloi, kiedy wynurzył się spod koca, przemówił do mnie.

Służący odwiązał cugle.

- Nic nie słyszeć, m'sieur.

Andre dosiadł konia i skierował się za Murzynem w stronę równiny. Postanowił o nic więcej nie pytać.

Kiedy wyjechali z lasu, dotarwszy na obrzeże plantacji, Tomas powiedział:

- M'sieur pobłogosławić przez Damballah, Damballah pomóc m'sieur.

- Jeżeli nic nie słyszałeś, skąd możesz to wiedzieć? - ostro osadził go Francuz.

- Papaloi mówić, pan być pod opieką Damballah. Teraz wszystko być dobrze.

- Nie wiedziałeś, że papaloi mówił mi o tym, czego szukamy? - zapytał Andre.

- Damballah mówić do serca, m'sieur. Do podobnego wniosku doszedł i Francuz. Wierzył już Tomasowi, że ten nic nie słyszał, a intuicja podpowiadała mu, że głos stryja naprawdę docierał tylko do niego.

Ale czy to możliwe? Czy jakikolwiek cywilizowany człowiek może uwierzyć, że rozmawiał ze zmarłym?

Uświadomił sobie, że walczy z wewnętrznym przeświadczeniem, iż to, co usłyszał, było prawdziwe; to, co się wydarzyło - prawdopodobne.

Ale jeśli tak, zbyt go zaskoczyło, by mógł coś z tego zrozumieć.

Potem uprzytomnił sobie, że nigdy nie poświęcił większej uwagi dziewczynce, którą, jak twierdził Jacques, zaadoptował jego stryj, a która zginęła wraz z resztą rodziny.

Przypominał sobie mętnie, że jego matka wspominała coś na temat zawodu stryja Phillippe'a i jego żony, kiedy ich trzecim dzieckiem okazał się syn, a nie córka.

Hrabia z pewnością nie wspominał o dziewczynce w listach do Anglii, ale tych listów było przecież tak niewiele!

Nie pisał także dużo o synach, więcej miejsca poświęcał swojej trosce o przyszłość kraju.

- Saona - powtórzył w myśli Andre. - Dziwne imię i z pewnością nie francuskie.

Do Tomasa zaś powiedział:

- Słyszałeś o osobie imieniem Saona? O kobiecie?

- Nie, m'sieur.

Andre wydał cichy okrzyk.

- Ja słyszałem - stwierdził. - I wiem już gdzie! To nazwa małej wyspy koło Santo Domingo.

- Tak, m'sieur - potwierdził służący, jakby też sobie przypomniał tę nazwę. - Zgadza się.

- Saona! - powtórzył Francuz. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

A jeżeli zakonnica, którą widział, biała dziewczyna karmiąca ptaki, to właśnie Saona?

Opowiadano historie o niewolnikach, którzy ratowali życie swoim panom lub ich dzieciom przed pałającym żądzą zemsty tłumem.

Czy właśnie tak się rzecz miała z Saoną?

Stryj zmarł dziesięć lat temu. Saona musiała mieć wtedy jakieś osiem lub dziewięć lat. W takim razie teraz musiała być w wieku dziewczyny, którą spotkał w lesie.

To także tłumaczyło, dlaczego matka przełożona kłamała; dlaczego obawiała się jego, Mulata, który mógł zagrażać białej zakonnicy.

- Mam nadzieję, że rozwiążemy wszystkie nasze problemy - oznajmił podniecony.

Tomas uśmiechnął się.

- Damballah potężny bóg, m'sieur.

Andre miał kłopoty z zaśnięciem po tym wszystkim, co usłyszał i zobaczył. Szalały w nim emocje.

Kiedy się wsłuchał uważnie, nadal słyszał bicie bębnow, gdzieś bardzo daleko, i czuł, że ich rytm wciąż pulsuje w jego mózgu - hucząc, waląc, uderzając.

A wtórował im głos stryja, który mówił mu o tym, o czym chciał się dowiedzieć.

Wszystko wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, ale mimo to wiedział, że nie będzie mógł się doczekać świtu, kiedy sprawdzi nie tylko, czy to, co usłyszał, jest zgodne z prawdą, ale czy Saona jest naprawdę ową zakonnica i czy mu powie, gdzie znajduje się ukryty skarb.

Wstał wcześniej, nim jeszcze Tomas zdążył go obudzić, i wyszedł na taras, by rzucić okiem na przepych ogrodu. Jaskrawokolorowe kwiaty, zarośla, krzewy zdawały się płynąć przed jego oczami niby w cudownym kalejdoskopie.

Czuł, że w jakiś niewytłumaczalny sposób poprzedniej nocy narodził się na nowo, że przybyło mu jakby świeżych sił, witalności i odwagi.

Parne powietrze już go nie osłabiało, lecz przeciwnie, pobudzało, i był przekonany, że mógłby bez wysiłku wspiąć się na najwyższą górę lub dać nurka w największą głębinę.

Poszedł na podwórko, do studni, by się umyć, a kiedy się ubierał, Murzyn podał śniadanie.

Na skrzyni czekały jajka i kawa.

- Dziękuję ci, Tomas, że zabrałeś mnie wczoraj na ceremonię voodoo - odezwał się. - Mam nadzieję, że ouanga Pedra nie zrobi nam już krzywdy.

- Damballah chronić m'sieur - zapewnił służący i jego twarz rozjaśnił uśmiech na dowód, jaki jest szczęśliwy.

- Teraz muszę sprawdzić, czy to, co mówił wczoraj Damballah, jest prawdą - oznajmił biały mężczyzna. - Dawaj konia. Nie mogę się doczekać, kiedy odnajdę Saonę.

Bez zbędnych słów Tomas przyprowadził konia. Z uśmiechem obserwował odjazd swego pana.

Następnie powoli uwił z gałęzi i liści opiekuńczy znak Damballaha i oparł go o filar, na którym wcześniej wisiała ouanga Pedra.

Andre szybko jechał w stronę kościoła, a kiedy już dotarł na miejsce, myślał chwilę, czy wypada od razu wejść do klasztoru i zażądać widzenia z białą zakonnica.

Uznał jednak, że jeśli tak postąpi, może się spotkać z odmową, dziewczyna przestraszy się, on zaś już nigdy jej nie odnajdzie.

Rozsądek nakazywał zachowywać się ostrożnie i nie zapominać, że zarówno biała dziewczyna, jak i sama matka przełożona uważają go za wroga: po pierwsze dlatego, że jest mężczyzną, po drugie, że ma brązową skórę.

Przywiązał konia do pala, tak jak poprzednio, i skierował się do kościoła, wciąż zastanawiając się, co należy uczynić.

Również i dziś drzwi stały otworem.

Kiedy wszedł, spostrzegł sylwetki dwóch kobiet stojących w prezbiterium.

Z nagłym podnieceniem uświadomił sobie, że jedna z nich ubrana jest na biało i że - choć odwrócona do niego plecami - to z pewnością ta sama zakonnica, którą spotkał w lesie.

Druga kobieta, o wiele starsza, Murzynka, tak jak matka przełożona miała na sobie barbet i welon.

Obie przyglądały się malowidłom ściennym. Mniszka w bieli powiedziała:

- Wydaje mi się, że farba zaczyna trochę odchodzić. Dobrze by było załatwić lepsze materiały z Port - au - Prince.

- Kogo by tu wysłać? - zastanawiała się druga zakonnica.

- To długa droga - stwierdziła kobieta w bieli - ale w Le Cap nie mają nic, co mogłoby się nadawać.

- Muszę sobie poradzić z tym, co mam - zrezygnowanym głosem obwieściła starsza.

- Przynieś farby - zaproponowała biała zakonnica - a ja pomogę ci je zmieszać.

- Dobrze - zgodziła się starsza kobieta.

Z tymi słowami wyszła z prezbiterium, znikając za drzwiami, które, jak zgadywał Andre, prowadziły do klasztoru.

Zakonnica w bieli pozostała na miejscu, dalej przyglądając się malowidłom.

Bardzo cicho Francuz przeszedł wzdłuż nawy, i dopiero kiedy znalazł się o kilka kroków od dziewczyny, ta usłyszała go i szybko odwróciła się w stronę przybysza.

I znowu Andre musiał stwierdzić, że jest piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie spotkał w życiu. Dostrzegłszy przerażenie na jej twarzy, powiedział śpiesznie:

- Błagam, mademoiselle, proszę się nie obawiać. Nie skrzywdzę pani, przeciwnie, potrzebuję pani pomocy.

Wyczuł, że dziewczyna jest napięta, i zdawał sobie sprawę, że chciałaby umknąć, tak jak to zrobiła poprzednim razem. Ale teraz on stał na drodze jej ucieczki, która mogła wieść albo przez drzwi, którymi wyszła starsza zakonnica, albo przez prezbiterium.

Ciałem kobiety wstrząsnął lekki dreszcz. Widząc to Francuz szybko powtórzył:

- Proszę mi pomóc, błagam.

Z wyraźnym wysiłkiem dziewczyna zmusiła się do pozostania. Potem drżącym głosem powiedziała:

- J... jak mogę... panu pomóc?

- Nazywam się Andre de Villaret i przyszedłem tu w bardzo szczególnej sprawie.

Oddech mniszki stał się szybki i mężczyzna domyślał się, że jej serce mocno uderza w piersi, ale pomimo zdenerwowania wykrztusiła:

- Nikt z... Villaretów... nie żyje.

- Hrabia Phillippe de Villaret był moim rodzonym ojcem.

Czuł się podle, kłamiąc tej pięknej dziewczynie, ale przecież musiał w jakiś sposób przyciągnąć jej uwagę, inaczej uciekłaby mu; z pewnością miała taki zamiar.

Zakonnica oblała się rumieńcem, kiedy tylko pojęte znaczenie słów nieznajomego. Jej oczy rozbłysły, po czym przymknęły się, a ciemne rzęsy rzuciły cień na poblądłe znowu policzki.

Ponieważ Andre nie chciał zawstydzić dziewczyny, dodał:

- Czuję po prostu, że jest pani jedyną osobą zdolną mi pomóc, dlatego też powierzam się jej łasce i błagam o wysłuchanie?

- W jaki... sposób... mogłabym pomóc?

- Może usiądziemy i porozmawiamy - zaproponował.

Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna odmówi, ale kiedy ich oczy się spotkały, zrozumiał, że wbrew pierwszemu odruchowi piękna nieznajoma postanowiła mu zaufać.

Odsunął się nieco, wskazując ławkę, na której siedział wczoraj z matką przełożoną.

Usiadł i położył swój wysoki kapelusz obok siebie na podłodze. Po chwili zastanowienia zakonnica również zajęła miejsce w ławce.

Usiadła jak najdalej od nieznajomego, zaciskając dłonie tak mocno, aż pobielaly jej kostki palców, jakby w ten sposób chciała zachować kontrolę nad swoimi czynami.

- Zatrzymałem się w posiadłości Villaretów - cichym głosem zaczął mężczyzna. - Przyjechałem z Port - au - Prince dwa dni temu.

Zamilkł, a choć zakonnica nie okazywała zainteresowania, wiedział, że go słucha.

- Z opowiadań wiedziałem, że dom jest wspaniały, podobnie jak jego otoczenie - ciągnął. - Bardzo przykre było

zastać go zupełnie zniszczonym i obrabowanym, a plantację zarośniętą i zaniedbaną.

Westchnął i odniósł wrażenie, że zakonnica zawtórowała mu cichym westchnieniem.

- Bardzo się zdziwiłem - kontynuował - kiedy zobaczyłem siostrę w lesie. Nie przypuszczałem, że spotkam białą kobietę, a zwłaszcza taką, której ufają nawet najmniejsze ptaki.

Zamilkł, by po chwili dorzucić:

- Może jest siostra świętym Franciszkiem w kobiecym wydaniu. Jakie siostra nosi imię?

Zakonnica gwałtownie zaczerpnęła powietrza, jakby trudno jej było mówić. W końcu bardzo cicho rzekła:

- Nazywają mnie... siostrą Devotee.

- Piękne imię - pochwalił Andre. - A jak udaje się siostrze tak obłaskawić ptaki, że siadają jej na ramionach i jedzą z ręki?

Bardzo się zawiódł, słysząc, iż nie ma na imię Saona. Ale, pomyślał, wszystko potoczyłoby się zbyt łatwo, gdyby okazała się dziewczyną, której szukał.

- Ptaki wiedzą, że... je kocham - odpowiedziała po chwili milczenia - i chociaż mają dookoła mnóstwo pokarmu, są leniwe i wolą wziąć ziarno ode mnie niż szukać go w polu.

- Rozumiem - przytaknął mężczyzna. - Ale muszę powiedzieć, iż tworzyła siostra piękny widok, otoczona ptakami trzepoczącymi wokół. Pragnąłem wtedy, a zresztą teraz też, posiadać zdolności artystyczne jak przyjaciółka siostry i namalować jej podobiznę, obraz zaś zatytułować Siostra Devotee od ptaków.

Zakonnica uśmiechnęła się lekko, co sprawiło, że stała się jeszcze piękniejsza.

- Nie jestem... świętą - zauważyła - a matka przełożona byłaby wstrząśnięta, gdyby dowiedziała się, że któraś z nas tak uważa.

- Rozmawiałem wczoraj z matką przełożoną - poinformował Andre - i mówiła mi, że od czasu, kiedy przywiozła tu siostry z północy, jesteście bezpieczne.

Na twarzy dziewczyny pojawił się dziwny wyraz. Po chwili przypomniała mu:

- Nie powiedział mi pan... jak mogę panu... pomóc.

- A czy jest siostra gotowa udzielić mi pomocy?

- To zależy. Skąd mogę wiedzieć, czy... na coś się przydam, jeśli nie dowiem się... o co chodzi?

Mężczyzna spostrzegł, że zarówno w oczach, jak i w głosie mówiącej znowu pojawił się strach. Po chwili powiedział:

- Chciałbym z całą szczerością i uczciwością przyrzec siostrze przed tym ołtarzem, że nie leży w moim zamiarze uczynienie niczego, co przestraszyłoby siostrę lub zasmuciło. Zakonnica po chwili milczenia odparła;

- Chciałabym panu wierzyć... ale nie wydaje mi się właściwe, że rozmawiam tu z panem... sam na sam.

- A cóż to ma za znaczenie? - zdziwił się Andre. - Za kilka minut powróci tu pani towarzyszka z farbami, nie widzę więc w tej sytuacji nic niewłaściwego, tym bardziej że jesteśmy w kościele.

Omal nie dodał: „A kto mógłby być lepszą przyzwoitką niż sam Pan Bóg?”

Ale przestraszył się, że zakonnica uzna go za świętokradcę, i powstrzymał się przed dokończeniem myśli.

- Przybyłem do posiadłości Villaretów - ciągnął - ponieważ myślę, iż hrabia przed śmiercią zostawił coś dla mnie.

- Dom jest pusty... wszystko zabrano, kiedy hrabia został... zabity - przypomniała mniszka.

Mężczyzna nic nie powiedział, więc jego rozmówczyni dodała:

- Zniszczono, spalono i rozkradziono obrazy... meble... wszystko, co się tam znajdowało.

- A skąd siostra może to wiedzieć? - zapytał Andree znienacka.

- Tak mi... opowiadano - szybko wyjaśniła kobieta - no i kiedy uciekałyśmy do lasu... słyszałyśmy... odgłosy... to było okropne! Okropne!...

W jej głosie zabrzmiała ostra nuta, co przekonało mężczyznę, że tamte wydarzenia wywarły na nią silny wpływ.

Potrafił sobie wyobrazić tragizm sytuacji, bez względu na to, czy była wtedy razem z innymi siostrami, czy może z Villaretami, kiedy ci szykowali się na śmierć.

- Musiała siostra być bardzo młoda, kiedy się to wydarzyło - powiedział. - Jak to się stało, że znalazła się siostra w klasztorze?

Specjalnie zadał to pytanie, by sprawdzić jej reakcję.

- Pozostawiono mnie pod opieką matki przełożonej - wyjaśniła. - Mój... ojciec i matka... nie żyją.

- I przybyła tu pani z północy wraz z innymi siostrami?

- Właśnie tam mieszkali moi... rodzice. Andre szybko analizował zasłyszane wiadomości. Chciał spytać ją wprost, czy jest, czy też nie jest adoptowaną córką stryja. Ale obawiał się, że jeśli tak uczyni, ich rozmowa skończy się raz na zawsze.

Bez względu na to, jak jest naprawdę, zakonnica może odpowiedzieć przecząco, a jeśli odejdzie, ponowne spotkanie może okazać się niemożliwe.

- Przygnębia mnie myśl o tamtych wydarzeniach - stwierdził Andre. - Tak wiele strat, tak dużo przelanej krwi, tyle śmierci!...

- I czy to się w ogóle kiedyś skończy? - dodała jego towarzyszka. - Jeśli Francuzi wrócą, znowu zacznie się wojna... znów będą ginąć ludzie.

Mówiła łagodnym, cichym, smutnym głosem, tak że Andre zapragnął w jakiś sposób ją pocieszyć. I odruchowo, nie zastanawiając się, jaka może paść odpowiedź, rzekł:

- Mówi siostra tak, jakby Francuzi byli wrogami. Jakiej siostra jest narodowości?

Odwróciła twarz, by na niego spojrzeć, po czym powoli i wyraźnie oświadczyła:

- Jestem Haitanką. Czy nie zauważyłeś, że... jestem ... oktoronką?

Przez chwilę Francuz wpatrywał się w nią nieufnie, potem spojrzął na jej paznokcie z brązową obwódka skórek.

Później wspominał dreszcz zaskoczenia, który przebiegi mu po plecach na tę zaskakującą wiadomość. Nie potrafił wydobyć z siebie słowa, zbyt zdumiony, by odpowiedzieć.

Wpatrywał się tylko w jej paznokcie, piękne, o migdałowym kształcie i brązowym zabarwieniu.

Chciało mu się krzyczeć, że to niemożliwe, że to nieprawda. Nagle przypomniał sobie Kirka mówiącego:

- Właśnie po tym poznajesz, z jakiej ulepieni są gliny. Przekonanie, iż zakonnica należy do białej rasy, tak mocno utkwiło mu w głowie już przy pierwszym ich spotkaniu, a także wczorajszej nocy, kiedy tak mocno wierzył, że jest Saoną, iż teraz dosłownie czuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg.

Oktoronką! Miała więc w sobie jedną ósmą murzyńskiej krwi!

Zarówno Kirk, jak i Jacques twierdzili, że nie sposób czasem odróżnić Mulatów i Mulatki od białych, i oto teraz miał przed oczyma oczywisty dowód na prawdziwość ich słów.

Mówiono mu też jeszcze w Londynie i Ameryce, choć specjalnie go to wówczas nie interesowało, że oktoroni, jako

dzieci miłości, często są o wiele ładniejsze od legalnego potomstwa.

Zakonnica stanowiła żywe świadectwo tej teorii, a prosty fakt, iż swoją piękność przynajmniej w części zawdzięczała mieszanej krwi, wprawiał Andrego w przerażenie.

Nie chodziło tylko o to, że był zawiedziony, ponieważ nie okazała się Saoną, której szukał.

W zakonnicy wyczuwało się tyle delikatności, wrażliwości, piękna, że mężczyzna najchętniej postawiłby ją za szkłem, by się do niej modlono jak do świętej od ptaków - tak przecież chciał ją nazywać.

A przecież choć jej ojciec zapewne był biały, matka musiała być kwarteronką.

Nie mógł wykrztusić słowa, nie wiedział, co powiedzieć, więc po chwili, jakby zdając sobie sprawę, że wprawiała go w zakłopotanie, zakonnica rzekła:

- Nadal... czekam, by usłyszeć, jak mogę panu... pomóc.

Ponieważ teraz nie miało to już znaczenia, Andre odpowiedział:

- Prawdopodobnie byłem w błędzie. Chyba nikt tutaj nie będzie w stanie mi pomóc. Podchodziłem do sprawy zbyt optymistycznie, a to dlatego, że kiedyś hrabia wypowiedział słowa, które pozwoliły mi sądzić, że zadbał o moją przyszłość.

- Cóż takiego mógł uczynić?

- Mógł zostawić dla mnie pieniądze lub kosztowności.

- Czy... przeszukiwał pan... dom?

- A co tam można znaleźć? - zdziwił się Francuz. - Puste pokoje, przegniłe, obruszone podłogi. Wydaje mi się, że złodzieje nie omieszkali przeszukać wszystkich ewentualnych kryjówek - pod posadzką, na dachu - a przecież nie ma żadnych mebli, które mogłyby coś w sobie zawierać, tylko skrzynia, na której spożywam posiłki.

- Jest pan pewien, że... hrabia... chciał przekazać majątek właśnie w pańskie ręce?

- Najzupełniej - potwierdził Andre. - A gdybym nawet żywił jakieś wątpliwości, rozwiały się one po wczorajszej nocy, podczas ceremonii voodoo.

Kiedy to mówił, zorientował się, że nie powinien wspominać o tym białej kobiecie, ale zakonnica nie była biała.

Płynęła w niej ta sama czarna krew co w wyznawcach Damballaha, których serca zaczynały bić szybciej na odgłos bicia w bębny.

Jednak, jak gdyby rzeczywiście zgorszyły ją jego słowa, zakonnica wstała z ławki, na której siedzieli, i stanęła naprzeciw ołtarza.

- Voodoo nie jest odpowiednie dla chrześcijan - stwierdziła - a mimo to Haitańczycy nie potrafią bez niego... istnieć.

- Ich przywódcy wyjęli je spod prawa - ostro zauważył Andre.

Czekał, aż dziewczyna coś odpowie, ale ponieważ milczała, ciągnął dalej:

- Zapewne wie siostra, że ludzie niezbyt przejmują się zakazami. Musi siostra słyszeć bębny bijące noc w noc i domyślać się, co się dzieje w górach.

- Voodoo to temat, na który nie powinniśmy... rozmawiać - oświadczyła kobieta. - Jeżeli nie potrafi mi pan powiedzieć, jak mogę pomóc... w takim razie zrozumie pan, że... czekają na mnie inne obowiązki.

Usłyszał w jej głosie chłód, którego przedtem nie było, i czuł, że jest na niego zagniewana, ale nie pojmował dlaczego.

- Bardzo dobrze - oznajmił. - Powiem siostrze, czego chcę. Chcę, żeby siostra powiedziała mi, czy słyszała kiedyś o kimś imieniem Saona.

Stała odwrócona do niego plecami, ale zauważył, że jakby zmartwiała, choć nie mógł być tego zupełnie pewien.

- Saona?

Powtórzyła imię; w jej ustach zabrzmiało ono łagodnie i miło.

- Tak, Saona - potwierdził mężczyzna. - Była dzieckiem adoptowanym przez hrabiego. Słyszałem, że zginęła tragicznie wraz z resztą rodziny, ale wczoraj na ceremonii voodoo mówiono o niej tak, jakby nadal żyła.

- A skąd... ci, którzy praktykują voodoo... mogą cokolwiek wiedzieć... o Saonie? - zapytała zakonnica.

- Nie mam pojęcia - odparł Andre - ale jak mi powiedziano, bębny znają różne tajemnice i jeśli rozumie się ich mowę, dużo można się dowiedzieć.

- Tym razem... myliły się - stwierdziła z przekonaniem zakonnica po chwili namysłu.

Mężczyzna wstał.

- Skąd siostra to wie? - dociekał.

Mówił ostrym, podniesionym głosem, który odbijał się od pustego wnętrza kościoła. Mniszka odwróciła się.

- Ona nie żyje! - rzekła stanowczo. - Saona nie żyje!

Wróciwszy do domu Andre usiadł na tarasie, by spokojnie pomyśleć. W tym czasie Tomas, taktownie nie zadając pytań, pośpieszył przyrzadzić mu zimny napój. Francuz uznał, że służący musiał się domyślać, iż jego wycieczka do kościoła okazała się bezowocna i że nie dowiedział się tam tego, co chciał.

Wyjechał rano w wielkim podnieceniu, całkowicie przekonany po przeżyciach poprzedniej nocy, że odnajdzie Saonę i jego wyprawa skończy się odnalezieniem majątku, który pozostawił dla niego stryj.

„Jestem głupcem wierząc, że cokolwiek może być aż tak proste” - uświadomił sobie brutalną prawdę Andre.

Wczoraj w nocy dał się opanować złudnym nadziejom i robił sobie wyrzuty, że nierozważnie uwierzył, iż voodoo jest czymś więcej niż tylko czczą gadaniną.

Kiedy wróci do Londynu, rozśmieszy może przyjaciół opowieścią o tym, jaki był naiwny i jak to papaloi wysunął się spod koca, przybierając kształt węża, znak Damballaha.

- Voodoo, węże i oktoroni! - wykrzyknął. - Czarna czy biała magia, cała ta sprawa to nonsens od początku do końca. Jakimże jestem idiotą, że dałem się wciągnąć w te dziecinne niedorzeczności!

Nadszedł Tomas, niosąc napój, który spragniony Andre szybko wypił.

Murzyn zmieszał ze sobą sok z kilku różnych owoców i dodał do niego wody ze studni, co sprawiło, że napój miał wyśmienity smak.

- Podaj mi jeszcze jedną - polecił Francuz, oddając służącemu pustą szklankę.

- M'sieur zawiedziony? - odważył się zapytać Tomas.

- Absolutnie zawiedziony - sucho odpowiedział mężczyzna. - Jeśli chcesz znać prawdę, uwierzyłem w tego twojego Damballaha, a on mnie zawiódł.

Murzyn pokręcił głową.

- Damballah nigdy nie zawodzić! M'sieur mylić się! Odszedł, a Andre odprowadził go ponurym spojrzeniem.

„Racja, m'sieur od początku się mylił - powiedział sobie w duchu. - I nie może nikogo winić za to, że okazał się takim łatwowiernym głupcem”.

Westchnął.

„Przypuszczam - pomyślał - że powinienem teraz zacząć kopać, ale jeden tylko Pan Bóg wie, jak mam to zrobić i gdzie!”

Stał wpatrując się w jaszczurki przemykające pod jego stopami, dopóki nie nadszedł Tomas z drugą szklanką napoju.

Andre wziął ją od niego, mówiąc:

- Zeszłej nocy, Tomas, twój papaloi zahipnotyzował mnie. Nakazał mi szukać kogoś o imieniu Saona. Ale jak się dzisiaj dowiedziałem, Saona nie żyje. Wobec tego może ty mi powiesz, jak mogę się z nią skontaktować?

Mówił sarkastycznym tonem, ale rozkoszował się wspaniałym napojem, myśląc zarazem, że to nie wina służącego, iż jego bóg jest zawodny.

- Damballah powiedział, że pan znaleźć Saona? - zapytał czarny mężczyzna.

Wolno cedził słowa, jakby próbował rozwikłać jakiś nurtujący go problem.

- Otóż to - potwierdził Francuz. - I powiem ci jeszcze coś, czego nie powiedziałem wcześniej. Wczoraj w lesie spotkałem zakonnice i myślałem, że jest biała. Wydawało mi się dziwne, że biała kobieta uszła z życiem z tej rzezi, a rzeczywiście wyglądała na naturalnie białą. - Zauważywszy, że Tomas go słucha z zainteresowaniem, kontynuował: - Po tym, co usłyszałem zeszłego wieczoru, byłem przekonany, że ta zakonnica to Saona, adoptowana córka stryja, ale okazało się, że ona jest oktoronką. Ma brązowo zabarwione paznokcie, tak jak ja.

A to mi przypomina, że jutro muszę na nowo pomalować własne, inaczej mogę się znaleźć w opałach.

Tomas nie się odezwał.

Stał bez ruchu, zamyślony, i Andre uznał, że Murzynowi trudno zrozumieć wszystkie zasłyszane rewelacje.

Westchnął i łagodniejszym tonem powiedział:

- Ale nic takiego się nie stało. Mamy dość czasu na załatwienie naszych spraw w taki czy inny sposób.

Tomas nadal nic nie mówił, więc biały mężczyzna zagadnął go:

- Czy nie powinieneś zająć się obiadem? Prawdę mówiąc, jestem głodny.

- Myśleć o Saona, m'sieur.

- Powtarzam ci, że ona nie żyje - oświadczył Francuz. - I tylko jedna osoba może do niej dotrzeć, twój przyjaciel Damballah. Więc jeśli wybierasz się dzisiaj na spotkanie voodoo, zapytaj, gdzie mogę ją odnaleźć.

Nie mógł powściągnąć lekko szyderczego tonu. Nagle powoli, dobitnie, tak jakby ktoś dyktował mu słowa, Tomas powiedział:

- Damballah znaleźć Saona!

Rozdział 5

Andre zszedł po schodach do ogrodu.

Mgła nadal unosiła się nad krzewami, a ostatnie gwiazdy migotały wysoko na niebie.

Mężczyzna nie mógł zasnąć i wreszcie, zniechęcony daremnymi usiłowaniami, gdy tylko nastał świt, ubrał się i wyszedł na dwór.

Całą noc analizował drobiazgowo wydarzenia dnia, uporczywie usiłując dojść, dlaczego żywił tak silne przekonanie, że zakonnica jest Saoną. Nie rozumiał, czemu tak go przytłoczyła wiadomość, że posiada ona w sobie jedną ósmą murzyńskiej krwi.

W istocie rzeczy była to przecież tylko zakonnica, nie mogąca odegrać w jego życiu większej roli, chyba że udzieliłaby mu pomocy, tak jak początkowo zakładał.

Zastanawiające było jednak, dlaczego prześladował go wyraz przerażenia w oczach dziewczyny i niepokój, który ją ogarniał w jego obecności?

Gdyby otwarcie spojrzął prawdzie w oczy, doszedłby do wniosku, że cały szkopuł leży w fakcie, iż mniszka jest oktoronką.

„To musi mieć coś wspólnego z tym przeklętym klimatem, z voodoo i resztą tych bajek, z którymi się tutaj zetknąłem” - ze złością wyjaśnił sobie Andre.

Starał się wyrzucić to wszystko z myśli, odpocząć, ale ciągle stała mu przed oczyma twarz zakonnicy, jej olbrzymie oczy, łagodna linia ust i mały, zgrabny nosek, świadczący - jego zdaniem - o arystokratycznym pochodzeniu dziewczyny.

Chciał przestać o niej myśleć, ale okazało się to niemożliwe, więc w końcu wyszedł do ogrodu, mając nadzieję, że wiatr zdoła ochłodzić jego rozgorączkowany umysł.

„Przejdę się - postanowił. - Potrzebuję wyczerpującego wysiłku”.

Zdawał sobie sprawę, że gdy tylko wzejdzie słońce, upał zmusi go, by się poruszał wolniej, tak jak to mieli w zwyczaju tubylcy.

Jednak zdecydowanym krokiem, szybko i sprężysto wyszedł z ogrodu na ścieżkę, która prowadziła do lasu.

Wiedział, choć nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą, że przyciąga go miejsce, w którym po raz pierwszy ujrzał zakonnice. Nie potrafił wymazać z pamięci jej obrazu.

Ciągle widział ją z odchyłoną do tyłu głową, kiedy patrzyła w górę na ptaki. Słyszał miękki głos dziewczyny, przemawiającej do swych małych przyjaciół.

Szedł przed siebie, próbując myśleć o czymś innym; o domu, Ameryce i swoim przyjeździe na Haiti.

Przypomniał sobie wizytę w Habitation Leclerc i pierwsze spotkanie z Orchis.

Zadziwiające, ale w tej chwili jej obraz nie poruszał go tak jak przez pierwsze dwa dni po opuszczeniu Port - au - Prince.

Wtedy musiał zmuszać się, by wyrzucić z myśli jej wizerunek, zapomnieć o jej ramionach, ustach, giętkim wężowym ciele.

Teraz wspomnienie kochanki zlewało się jakby z mgłą falującą pomiędzy drzewami.

Myśli o Orchis nie wzbudzały w nim żadnego podniecenia. Z krzywym uśmiechem pomyślał, że może jeśli chodzi o tamtą kobietę, pomoc Damballaha okazała się skuteczna.

Jakąś tajemną cząstką duszy wierzył, że ouanga Pedra, którą po przyjeździe do posiadłości zastali zawieszoną przed wejściem, miała związek z Orchis.

Jeżeli tak wyglądała prawda, to biała magia pokonała czarną i moc ouanga rozwiała się, tak jak moc Orchis.

Szedł między krzewami, ale teraz ich egzotyczna woń i bujne kwiecie przywodziły mu na myśl jedynie zakonnice.

„Tylko widok lilii powinien mi ją przypominać” - myślał.

Jednak uroda dziewczyny miała w sobie coś, co nakazywało kojarzyć ją ze wszystkimi kwiatami świata. Z jaskrawością bougainwili, z delikatnością jaśminu i oczywiście z miękkimi pąkami drzew pomarańczowych, emanujących taką samą niewinnością, jaką wyczuwało się u małej świętej od ptaków.

Kwiat pomarańczy na ślubny wianek.

Jeżeli nie odnajdzie majątku, którego szuka, nigdy nie będzie mógł się ożenić i mimo protestów matki pozostanie samotny do końca życia.

Mała zakonnica także na zawsze pozostanie samotna; możliwe, że mądrze zrobiła, wybierając czystość i niewinność.

Była bardzo piękna, delikatna i - zdaniem Andrego - tak uduchowiona, jak żadna inna kobieta spośród tych, które znał.

Rozmyślając tak, odsuwał na bok grube gałęzie, które przeszkadzały mu iść, i nagle ujrzał spełnienie swoich marzeń - zakonnica siedziała na tym samym miejscu co poprzednio!

Przez chwilę myślał, że to wytwór jego wyobraźni, gdyż rozsnuwały się między nimi firany mgły unoszącej się z ziemi i sprawiającej, że okolica wyglądała baśniowo i tajemniczo.

Ale zakonnica była prawdziwa, podobnie jak ptaki trzepoczące wokół niej skrzydłami, siadające na jej dłoniach, dziobiące ziarno, które rozsypała u swych stóp.

Andre ogarnięty przemożną chęcią porozmawiania z dziewczyną nie przystanął, by rozkoszować się pięknym widokiem.

Na odgłos kroków ptaki odfrunęły, ale kobieta nie poruszyła się, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma, w których gościł dziwny, niezrozumiały dla Francuza wyraz.

Zbliżył się do dziewczyny i w tej samej chwili wszystko, co pragnął jej powiedzieć, uleciało mu z głowy; mógł jedynie stać i wpatrywać się w nią, tak jak ona wpatrywała się w niego.

Wydawało się, choć to absurdalne, że mimo milczenia porozumiewają się ze sobą bez słów. W końcu Andre z wysiłkiem przerwał milczenie.

- Jest tu siostra tak wcześnie.

- Nie mogłam... zasnąć.

- Tak samo jak ja.

Odwróciła wzrok, po czym zawstydzonym głosem szepnęła:

- Miałam nadzieję, że... może... przyjdzie pan tutaj.

- Powinienem był wiedzieć, że siostra czeka, bo pragnąłem ją spotkać.

Bez pytania o zgodę usiadł obok niej na zwałonym grubym pniu drzewa.

Po chwili milczenia ponownie się odezwał:

- Czy ptaki wrócą, mimo że tu jestem?

- Możliwe - powiedziała - ale musi pan siedzieć zupełnie bez ruchu.

- Chciałbym je karmić tak jak siostra. Uśmiechnęła się do niego lekko, po czym podniosła torbę, leżącą obok niej na pniu.

- Proszę wysunąć dłonie - rzekła.

Andre zrobił, jak kazała, i dziewczyna wsypała garść ziaren kukurydzy w jego ręce.

- Teraz proszę je unieść - poleciała. Sama również podniosła drugą dłoń, w której trzymała ziarna.

Przez kilka sekund nic się nie działo, potem usłyszeli trzepot skrzydeł i jeden mały ptaszek, odważniejszy niż reszta, usiadł na ręce zakonnicy, podczas gdy pozostałe krążyły nad ich głowami.

Po chwili jeszcze jeden ptak podfrunął do mniszki, która podniosła wolną rękę i podparła dłoń Andrego.

Mężczyznę przeszły dziwne uczucie, niby błyskawica.

Dziewczyna nie poruszyła się, nie cofnęła dłoni, ale Andre wiedział, że i ona doznała podobnego wrażenia.

Jego serce biło szybkim rytmem. Czuł wyraźnie wibracje między sobą a dziewczyną, ale nie potrafił wytłumaczyć, skąd się biorą.

Ptaki pikowały w dół, wydziobywały ziarna kukurydzy z jego dłoni i odfruwały.

Kilka z nich powtórzyło ten sam manewr, aż wreszcie któryś usiadł na palcu Andrego i począł łapczywie dziobać pokarm. Zakonnica cały czas podtrzymywała rękę towarzysza.

Sprawiło mu to przyjemność, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie zaznał. Zdawał sobie sprawę, że nie chodzi tylko o obecność ptaków, ale też o fakt, że obok siedzi piękna dziewczyna i trzyma go za rękę. Wywierało to na nim niezwykle wrażenie.

- Chcę z siostrą porozmawiać - wyszeptał. Chociaż mówił naprawdę cicho, ptaki usłyszały go i odleciały.

Opuścił rękę, zakonnica także cofnęła dłoń; sypnął resztki ziarna na ziemię.

Potem odwrócił się, tak że teraz patrzył wprost na dziewczynę.

- Dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? - zapytał. Bezpośredniość pytania sprawiła, że krew napłynęła do policzków zakonnicy.

Zawstydzona odwróciła głowę.

- Uważam, że wczoraj wieczorem - zaczęła - zachowałam się... niegrzecznie i nie do końca panu... próbowałam pomóc. Wstyd mi było z tego powodu i... chciałam prosić o... wybaczenie.

- Przeczuwała siostra, że mnie tu spotka?

- Jeżeli nawet nie... pomyślałam sobie, że... kiedyś... jeszcze raz... odwiedzi pan kościół.

- Na pewno bym się tam zjawił, nie potrafiłbym się powstrzymać - zapewnił Andre. - Pragnąłem siostrę zobaczyć i myślałem o siostrze całą noc.

Jego słowa zaskoczyły dziewczynę.

Rzuciła szybkie spojrzenie na mówiącego, po czym ponownie odwróciła twarz, ale mężczyzna zdążył zauważyć, że w jej oczach nie ma już strachu.

- Jest siostra ostatnią osobą, którą spodziewałbym się znaleźć w tej okolicy - zauważył.

- Dlaczego... pan tak mówi?

- Szukałem kościoła. Zakładałem, że w okolicy z pewnością jakiś się znajduje, ale nie myślałem, że trafię tu na klasztor.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Klasztor nie należy do największych.

- Ale jednak macie tu zgromadzenie zakonne. Jego usta mówiły jedno, ale myśli zupełnie różniły się od słów.

Nagle, jak gdyby nie potrafił się dłużej powstrzymać, zapytał:

- Jak siostra mogła pozwolić zamknąć się przed światem? Jak można poświęcić się życiu, w którym nie wolno wyjść za mąż, być kochaną przez żadnego mężczyznę?

Przez chwilę zakonnica nie odzywała się, potem cicho wyrzekła:

- Ja mam... Pana Boga.

- Czy to wystarczy? - zdziwił się Andre. - Wystarczy na długie lata, w ciągu których pozbawiona będziesz miłości mężczyzny, nigdy nie przytulisz do piersi własnego dziecka?

Spostrzegł, że dziewczyną przebiegł dreszcz, i jakby broniąc się przed jego agresywnym tonem wyjaśniła:

- Tu przynajmniej... jestem bezpieczna!

- Czy na pewno? - nie ustępował. - W tym kraju mieszka wielu chrześcijan, ale wiara nie powstrzymała ich przed zabijaniem się nawzajem oraz przed zabijaniem Mulatów, znienawidzonych przez cesarza.

Zakonnica zadrżała, czyniąc rękami gest, którym próbowała jakby powstrzymać jego dalsze słowa.

- Stara się pan mnie... przestraszyć - poskarżyła się.

- Jest to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął - zaprzeczył Andre - ale zdumiewa mnie, a nawet boli, że ktoś tak piękny marnuje życie, kiedy jest w nim tyle do zrobienia.

Zakonnica lekko się poruszyła.

- Modlitwa nie jest... marnotrawstwem.

- Można się modlić i czynić jeszcze wiele innych rzeczy - odparł Andre. - Sam jestem katolikiem. Modlę się, kiedy spotykają mnie niepowodzenia, a także kiedy jestem wdzięczny Bogu, modlę się o pomoc, ale zarazem jestem przygotowany do życia, do walki ze światem takim, jaki jest, nie zamykam się, próbując uciec od rzeczywistości.

- Czasami jest ona... zbyt realna... by ją znieść - szepnęła zakonnica jakby sama do siebie.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytał mężczyzna. Kiedy dziewczyna odwróciła się w jego stronę na znak, że słucha, kontynuował rozpoczętą myśl:

- Gdy po raz pierwszy siostrę ujrzałem, pomyślałem, że spotkało mnie niewiarygodne szczęście, bo oto odnalazłem dziewczynkę imieniem Saona, którą zaadoptował mój stryj.

- Dlaczego pan tak... pomyślał? - zapytała mniszka.

- Po pierwsze, ze względu na siostry cudowną urodę, po drugie, dlatego, że siostra należy do białej rasy, po trzecie, ponieważ podczas ceremonii voodoo jakiś głos nakazał mi szukać Saony, a ja jak głupiec uwierzyłem, iż okaże się to bardzo proste.

- A gdyby ją pan odnalazł? - zaciekała się. - Co wtedy?

- Mam nadzieję, że wskazałaby mi miejsce, gdzie stryj ukrył skarb. A potem zamierzałem zabrać ją ze sobą do Anglii, by zamieszkała wraz z moją matką.

- I uważa pan... że spodobałby się jej ten plan... gdyby żyła?

- Niemożliwe, by pragnęła pozostać w tym kraju po tym, co tu przeżyła - oświadczył z przekonaniem Francuz.

- To racja - zgodziła się. Po chwili milczenia zapytała:

- Mieszka pan w Anglii? Myślałam, że na Haiti.

W chwili gdy kończyła zdanie, Andre przypomniał sobie, że dziewczyna uważa go za Mulata.

Siedząc tuż przy niej, blisko, stracił głowę i pozwolił sobie na nieostrożność.

Zupełnie zapomniał o obecnym kolorze swojej skóry, dlatego otworzył się i mówił prawdę.

Zbyt późno przypomniał sobie słowa Jacques'a, że nie tylko musi wyglądać jak Mulat, ale też jak on myśleć. A myślał wszakże jak Andre de Villaret!

Dopiero teraz uświadomił sobie, jaki był nieroztropny.

- Mieszkałem w Anglii kilka lat - odparł, zastanawiając się, jak zakonnica odbierze jego słowa - i prawdę mówiąc, przyjechałem tu, by sprawdzić, czy nie warto powrócić do własnego kraju.

Dziewczyna nic na to nie odpowiedziała, ale po chwili zapytała:

- Jaka jest Anglia?

- To bardzo sympatyczny kraj - stwierdził Andre. - Czy nigdy nie zdarzyło się siostrze spotkać Anglika na Haiti?

Potrząsnęła przecząco głową, a mężczyzna pomyślał, że rzeczywiście tych kilku Anglików przebywających na Haiti nie jest katolikami, więc nie mogła ich spotkać nawet w kościele.

- Christophe lubi Anglików - dodał - a to dlatego, że każdą nację woli od znienawidzonych Francuzów.

- Mój ojciec był Francuzem - miękko przypomniała zakonnica.

- Tak jak mój - odparł Andre. - To jeszcze jedna rzecz, która nas łączy.

Spojrzała na niego pytająco, więc szybko wyjaśnił:

- Miłość do ptaków, zainteresowanie malarstwem. Niech siostra nie zapomina, że spotkałem ją, kiedy przyglądała się malowidłom swojej przyjaciółki. No a przede wszystkim - w naszych żyłach płynie ta sama krew.

Czuł, że jego ostatnie słowa zabrzmiały fałszywie, ale pragnął uspokoić towarzyszkę; przede wszystkim zaś chciał, by go polubiła.

Nagle słońce, które zdążyło wzejść na niebo, przedarło się przez gałęzie, obejmując wszystko złocistymi promieniami.

Rośliny dookoła nich rozświetliły się niemal niebiańskim blaskiem i pod wpływem nagłego impulsu Andre zapytał:

- Jaki kolor mają siostry włosy? Chciałbym zobaczyć w nich promienie słoneczne.

Zanim dokończył, zrozumiał, że ją przestraszył. Odsunęła się trochę od niego i po chwili rzekła:

- Robi się... późno... Muszę... wracać do klasztoru.

- Wydaje mi się - ciągnął Francuz - że siostra zrobiła sobie małe wagary i tak naprawdę nikt nie wie, że siostra wyszła.

Z wyrazu jej twarzy poznał, że jego domysł jest słuszny.

- Chciałam nakarmić ptaki - broniła się zakonnica.
- A także zobaczyć się ze mną - naciskał Andre. Nie odpowiedziała, a jego ogarnął nagły strach, że naprawdę go opuści.

- Mam pewien pomysł - oświadczył. - Zbliża się pora śniadania. Dlaczego by nie miała siostra pójść ze mną do mojego domu, żeby coś przegryźć?

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Nie mogłabym tego zrobić.

- Dlaczego nie? - zapytał. - Jest jeszcze bardzo wcześnie i sądzę, że inne siostry domyśla się, iż wybrałaś się pani karmić ptaki, więc nie będą się niepotrzebnie niepokoić.

- Ale... - zaczęła.

- Proszę choć raz zdobyć się na odwagę! - nalegał Andre.
- I nie uciekać od świata, ale wejść w sam jego środek. Chodźmy obejrzeć dom, w którym się zatrzymałem, a mój służący, Tomas, przygotowuje nam wspaniały posiłek z jajek zniesionych przez cztery posłuszne małe kurki, które kupiliśmy w okolicy.

Zakonnica nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Andre wstał.

- Pójdzie siostra ze mną? - zapytał.

Podniosła się także, ale jej oczy zdradzały niezdecydowanie.

- Powinnam... wracać.

- Proszę pomyśleć, jakie to będzie nudne. Przynajmniej proszę sobie wyobrazić, jak siostra będzie żałowała, że zrezygnowała z małej przygody; chociaż raz trzeba zrobić coś, czego się nie powinno.

Uśmiechnął się i dodał:

- Potem siostra może to przecież odpokutować. Zakonnica nadal stała bez ruchu. Przyglądała się

mówiącemu, który odniósł wrażenie, że dziewczyna kolejny raz zadaje sobie pytanie, czy może zaufać nieznanemu.

- Błagam, niech siostra mi towarzyszy - poprosił gorąco, i zakonnica poddała się.

- Matka przełożona byłaby... niezadowolona, gdyby się dowiedziała.

- W takim razie dopóki nie zapyta o to siostry wprost, nie trzeba jej nic mówić - doradził Andre. - W Anglii istnieje przysłowie: czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Zakonnica roześmiała się.

- Kusi mnie pan - stwierdziła. - Będę musiała zmówić mnóstwo modlitw jako pokutę za samo słuchanie pana.

- Może uzna siostra, że warto.

Ruszył w kierunku, z którego przyszedł, a wraz z nim jego towarzysza.

Po paru metrach ścieżka zwęziła się i nie mogli dalej iść nią obok siebie. Mężczyzna wysunął się do przodu i pod wpływem przemożnego impulsu ujął dziewczynę za rękę.

- Trochę tu nierówny teren - zauważył. - Trzeba uważać, żeby się nie przewrócić.

Powiedział to na usprawiedliwienie swojej chęci dotknięcia kobiety, a kiedy zamknął jej dłoń w swojej, poczuł znów dreszcz w całym ciele: zarazem mógłby przysiąc, że dziewczyna czuje to samo.

Szli w milczeniu, aż zobaczyli przed sobą dom i cudowną, bujną roślinność, krzewy i kwiaty zarastające całą okolicę. Zakonnica westchnęła głęboko.

- Jakież to piękne!

- Chciałbym widzieć tę posiadłość w przeszłości - zwierzył się Andre. - Jak ona wyglądała?

Jego towarzyszka nie odpowiedziała, a kiedy doszli do końca ścieżki i przystanęli na dawnym dziedzińcu, uwolniła rękę z jego uścisku i zapatrzyła się na dom.

- Pamiętasz go? - zapytał, nie bardzo wiedząc dlaczego to czyni.

Nie wyobrażał sobie, żeby mieszkając tak blisko posiadłości Villaretów, nie zaglądała tu nigdy.

- Nie... nie byłam tu od... - szeptała tak cicho, że trudno było uchwycić słowa.

- Od czasu zamordowania hrabiego i jego rodziny? - dokończył za nią Andre.

- Tak...

Jej twarz stała się bardzo blada, tak blada, że Andre przeraził się, iż dziewczyna zemdleje, i znowu ujął ją za rękę.

- Chodźmy - powiedział - jeżeli krążą tu gdzieś duchy zmarłych, pozwólmy im odpoczywać w spokoju. Nie zapominajmy, że żyjemy teraz, a nie w przeszłości czy przyszłości.

Uśmiechnął się do towarzyszki.

- To jest przygoda, którą siostrze przyrzekłem, i nie wolno teraz myśleć o niczym innym.

Zakonnica z wysiłkiem odwróciła wzrok od domu i spojrzała na niego. Potem, jakby usiłując naśladować jego lekki ton, powiedziała:

- Jak pan mówi... jesteśmy tu i... teraz.

- Jesteśmy tu - powtórzył - a ja jestem głodny i domyślam się, że siostra także.

Poprowadził ją nierówną dróżką pomiędzy krzewami do stopni prowadzących do wejścia.

Kiedy do nich dotarli, dziewczyna objęła spojrzeniem splekany taras i rozbite okiennice, po których wspinały się pnącza i bougainwylie. W tej samej chwili ich oczom ukazał się Tomas.

- Witaj, Tomas! - zawołał Andre. - Przyprowadziłem ci gościa na śniadanie!

Służący uśmiechnął się, jego twarz rozkwitła zadowoleniem. Szybko ruszył, by poczynić przygotowania do posiłku.

Francuz, nadal trzymając zakonnice za rękę, wprowadził ją po stopniach na taras.

- Obawiam się, że nasze umeblowanie nie przedstawia się zbyt efektownie - zażartował. - Jak do tej pory, Tomas zdążył uprzątnąć tylko jeden pokój, który służy nam jako salon, jadalnia i sypialnia równocześnie.

Zakonnica roześmiała się i przez wybite okno weszła do wnętrza domu.

Na samym środku pomieszczenia stała skrzynia, a na niej zwyczajne białe talerze, kupione przez Murzyna gdzieś w okolicy, oraz filiżanka bez spodka, z której Andre pijał kawę.

Dziewczyna bez słowa rozglądała się dokoła, po czym podeszła do otworu w ścianie, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi prowadzące do następnego pokoju.

- Uwaga! - ostrzegł Andre. - Te resztki podłogi, które zostały w tamtym pokoju, niegdyś zapewne dużym salonie, nie budzą wielkiego zaufania.

Zakonnica przez chwile stała u wejścia, w końcu wróciła do towarzysza.

- To bardzo... smutne.

- Bardzo - zgodził się - ale nic nie możemy na to poradzić, więc porozmawiajmy o czym innym, chyba że zechciałaby siostra opowiedzieć mi, jak urządzony był ten pokój, kiedy siostra widziała go po raz ostatni.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Byłam... w klasztorze - stwierdziła po krótkiej chwili milczenia.

- Tak, oczywiście, ale po waszej ucieczce z północy, kiedy hrabia budował klasztor, musiałyście chyba gdzieś mieszkać?

Zakonnica nie odpowiedziała i mężczyzna pomyślał, że celowo utrudnia rozmowę, a może wspomnienie masakry, która nastąpiła w cztery lata po przyjeździe dziewczyny, nadal budziło ból i przerażenie, i przypominało o strachu, jaki przeżyła, zmuszona uciekać do lasu.

Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo właśnie pojawił się Tomas, niosąc spory pień, który ustawił przy stole.

- Siedzenie dla pani - oznajmił, uśmiechając się życzliwie do gościa.

- Dziękuję, Tomas - powiedziała mniszka. - Bardzo to miło z twojej strony.

Służący zniknął ponownie, a zakonnica siadając przy stole zauważyła:

- Wygląda na bardzo sympatycznego człowieka.

- Jest żarliwym wyznawcą voodoo - z naciskiem oświadczył Andre, ciekaw jej reakcji.

Rzuciła w jego stronę niemal łobuzerskie spojrzenie.

- Tak jak oni wszyscy - skomentowała. - Kiedy do kościoła przybywa ksiądz, raz w miesiącu, a czasami częściej, zawsze wygłasza kazanie przeciwko voodoo. W jej oczach pojawił się blask.

- Obserwuję wszystkich na mszy i widzę, jak wiercą się na miejscach w poczuciu winy, ale wiadomo, że dzisiaj uczestniczą w nabożeństwie, a wczoraj odprawiali czary voodoo!

- Tomas jest całkowicie przekonany, że Damballah odszuka dla mnie Saonę.

- A czy pan mu wierzy?

- Już byłem bliski uwierzenia, ale wczoraj, kiedy przekonała mnie siostra, że nie jest Saoną, czułem się bardzo zawiedziony i zniechęcony.

- Co robi pan teraz?

- Postaram się odnaleźć to, co, jak sędzę, hrabia pozostawił dla mnie - stwierdził.

- A jeżeli okaże się to niemożliwe?

- Pogodzę się z porażką i zapomnę o całym przedsięwzięciu jak o złym śnie.

- Gdzie pan się uda potem? Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie do Port - au - Prince. Może do Anglii. Jak mówiłem wcześniej, mieszka tam moja matka.

- I nie wróci pan tutaj?

- Przypuszczalnie nie. Haiti nie wydaje mi się najlepszym miejscem dla Mulata, sama siostra to wie.

- Pana francuski jest znakomity - nieoczekiwanie zauważyła zakonnica.

- Dziękuję. Przyjmuję pani uwagę za komplement, choć naprawdę myślę, że my, którzy mamy mieszaną krew, zazwyczaj dziedziczymy po naszych przodkach najlepsze cechy, mimo że są i tacy, którzy biorą najgorsze.

Mniszka rozglądała się dokoła z uśmiechem, ale bez słowa. Tymczasem do pokoju wszedł Tomas, niosąc tacę z jajkami i różnymi warzywami.

Parowała też na niej kawa i leżały apetyczne małe bułeczki, które Murzyn musiał upiec jako prawdziwy przysmak.

Zakonnica klasnęła w dłonie.

- Wszystko wygląda tak smacznie! - zawołała. - Teraz muszę przyznać, że prawie umieram z głodu!

- W takim razie na co czekamy?...

Andre usiadł przy skrzyni, a mniszka powiedziała:

- Powinniśmy zmówić modlitwę.

- Więc proszę to zrobić - zgodził się.

Złożyła ręce gestem małego dziecka, zmówiła pacierz po łacinie, po czym z lekką pretensją zauważyła:

- Nie przyłączył się pan.

- Patrzyłem na siostrę - przyznał się mężczyzna - i myślałem, że jej modlitwa zapewni nam wszystkie błogosławieństwa, jakich wymaga ta wyjątkowa sytuacja.

- Jeżeli żartuje pan sobie ze mnie, znów zacznę się czuć winna i natychmiast wrócę do klasztoru! - postraszyła go.

- Proszę pomyśleć, jakie wspaniałe śniadanie by siostrę ominęło - żartował dalej Andre. Roześmieli się obydwaj.

Śmiech przychodził łatwo; przez cały czas jedli, a Tomas pośpiesznie dolewał ubywającej kawy i przynosił coraz to nowe dania, między innymi podał dwie kolby kukurydzy.

Kiedy zakonnica skończyła swoją, oblizwała palce i oświadczyła:

- Nigdy nie jadłam tak obfitego śniadania! Nie będę głodna co najmniej przez następny rok!

Andre podał jej swoją chusteczkę.

- Czy jedzenie klasztorne jest takie skromne? - zaciekawił się.

- Jest bardzo proste... i raczej monotonne - przyznała.

Oddając chusteczkę dodała:

- Ale to nieładnie, że tak powiedziałam. Siostra Marie bardzo się stara gotować to, co lubimy, ale obawiam się, że brak jej wyobraźni.

- W takim razie dopóki tu jestem - zaproponował Francuz - proszę korzystać z mojej, a raczej Tomasa gościnności. Potrafi tak apetycznie przyrządzić kurczaka, że muszę przyznać, nie jadłem takiego nigdy dotąd, a wiele bywałem w świecie.

- To wielkie szczęście móc podróżować.

- Wielkie. Jednakże chciałbym, żeby stać mnie było na posiadanie domu i rodziny, o jakich zawsze marzyłem.

- I potrzebuje pan na to pieniędzy?

- Właśnie tutaj miałem nadzieję je znaleźć. Ale możliwe, że się myliłem.

Zapadło milczenie, ale po chwili zakonnica odezwała się:

- Czy bardzo... trudno... niewygodnie... żyć w... Anglii, będąc... Mulatem?

Andre zapragnął powiedzieć jej prawdę; wyznać, że jest Francuzem i białym człowiekiem.

Przypomniawszy sobie jednak, że rozmawia z oktoronką i że mogłoby ją to wprowadzić w zakłopotanie, albo co gorsza, on sam wystawiłby się na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

Ani przez chwilę nie sądził, że próbowałyby go zdradzić, mogła jednak powierzyć jego tajemnicę innym zakonnicom, a te, będąc Murzynkami, pewnie całym sercem popierały przywódców kraju. Po chwili zastanowienia powiedział zatem:

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o siostrze. Proszę opowiedzieć mi o swojej rodzinie.

- Jestem sierotą - odpowiedziała dziewczyna - i wolę raczej nie mówić o sobie. Zakonnice z klasztoru poświęcają się Chrystusowi. On stanowi całą naszą rodzinę i całe nasze życie.

Andre wstał od stołu.

- Chodźmy obejrzyć ogród - zaproponował. - Chyba że życzy sobie siostra zwiedzić resztę pokoi, które znajdują się w jeszcze gorszym stanie, są znacznie bardziej spustoszone i zdevastowane niż ten.

- Z chęcią przejdę się po ogrodzie - zgodziła się zakonnica. - Potem będę musiała wracać.

- Proszę uważać przy przechodzeniu przez okno - ostrzegł.

Wyszedł na taras, odwrócił się i wyciągnął w jej stronę pomocne ramię.

Oparła się na nim na moment, a mężczyznę ogarnęła nieodparta chęć, by objąć kobietę i mocno przytulić.

„Muszę być ostrożny - ostrzegł się w duchu. - Jeżeli zachowam się zbyt poufale, mogę ją przestraszyć, i umknie mi”.

Rozumiał, dlaczego uciekła przed nim przerażona za pierwszym razem.

Jej uroda poruszyłaby, oszołomiła i przyciągnęła każdego mężczyznę, inaczej jednak niż zmysłowość Orchis, w o wiele subtelniejszy, a zarazem poważniejszy sposób.

Ogarnęło go szaleńcze przekonanie, że dziewczyna należy do niego i że nie może pozwolić jej odejść, choć przecież zna ją tak krótko.

Pragnął ją za wszelką cenę zatrzymać, do głowy przychodziły mu dzikie i zwariowane pomysły: chciał ją zabrać z Haiti i wywieźć do Anglii, co niewątpliwie zrobiłby, gdyby chodziło o Saonę.

Schodzili po schodach do ogrodu i Andre raz jeszcze usiłował przekonać sam siebie, że to klimat tak go odurza i dlatego nie potrafi jasno myśleć.

Jest przecież hrabią de Villaret, głową starej, znakomitej i szanowanej rodziny. Ciężą na nim obowiązki nie tylko wobec matki, ale też wobec Villaretów nadal mieszkających we Francji.

Wielu z nich zginęło w czasie rewolucji, ale zostali kuzyni i dalsi krewni noszący to samo nazwisko, którzy, Andre w to nie wątpił, radzą sobie jakoś mimo rządów Napoleona.

Pewnego dnia, gdy nastanie pokój, musi odnaleźć tych ludzi i udzielić im pomocy, bo takie są z pewnością ich oczekiwania związane z jego pozycją.

Był to następny powód, dla którego tak pilnie potrzebował pieniędzy. Pragnął, podobnie jak jego przodkowie, wywiązać się z powinności narzuconych przez szlchetne pochodzenie.

Takie zamiary dyktował mu rozsądek, ale nadal coś, nad czym nie potrafił zapanować, pociągało go do tej wspaniałej dziewczyny, zakonnicy i, najgorsze ze wszystkiego, oktoronki.

Szli przez ogród i w pewnej chwili Andre zorientował się, że nie on, lecz ona go prowadzi.

Odsunęła na bok rozrośnięte krzaki i przywiodła zdumionego towarzysza do miejsca, w którym kiedyś musiał znajdować się mały ogródek, otoczony niskim ogrodzeniem.

Jego ściany niemal zniknęły pod ciężarem pnączy i kwiatów, niegdyś rosnących na rabatach, a teraz przypominających dżunglę.

Pośrodku widniał niewielki okrągły basen, w którym umieszczono rzeźbę amorka z delfinem na rękach.

Andre domyślał się, że niegdyś z paszczy delfina tryskała woda, a w basenie pływały złote rybki, tak jak we Francji, w ogrodzie, gdzie się bawił i pluskał w ogrodowej fontannie.

Ale tutaj nie było rybek ani wody, tylko jaszczurki prześlizgiwały się po spękanych kamiennych ściankach.

Fontanna jednak świadczyła o dobrym goście i elegancji dawnych właścicieli. Andre przekonany był, że jego ciotka i Saona lubiły piękne otoczenie.

- Nie widziałem wcześniej tego miejsca - powiedział.

- Jest... bardzo piękne - rzekła zakonnica, spoglądając na kwiaty i na amorka.

- Podobnie jak i ty.

Dziewczyna zaskoczona spojrzała na mówiącego, ale kiedy ich oczy spotkały się, żadne nie potrafiło odwrócić wzroku. Stali tak, wpatrując się w siebie. Wydawało się, że mały ogródek drga cały w nagrzanym gorącym słońcem

powietrzu, tak że po chwili nie widzieli już nic, nic na całym świecie, tylko swoje oczy, wpatrzone w siebie wzajem, a zarazem w wieczność.

- Co się z nami dzieje? - zapytał szeptem mężczyzna.

Zakonnica nie odpowiedziała.

- Chcę cię dotknąć, pragnę cię pocałować, ale wiem, że nie wolno mi tego zrobić. Jedno jest pewne, od chwili kiedy cię ujrzałem, odczuwam coś, czego nigdy wcześniej nie przeżywałem.

- Nie... nie rozumiem.

Jej usta poruszały się, ale słowa, które z nich wybiegały, nie miały jak gdyby właściwego znaczenia.

- Rozumiesz - sprzeciwił się Andre. - Zakochałem się. Kocham cię i nie potrafię dłużej zapanować nad tym, co czuję, zdaje mi się, że się uniosę w powietrze niby któryś z twoich ptaków. I teraz, kiedy tu jesteś, kiedy spędziliśmy ze sobą cały ranek, nie mogę dłużej udawać. Musiałaś usłyszeć prawdę.

- Ty... mnie kochasz?

- Kocham cię! - powtórzył. - Kocham cię tak, że nie umiem tego wytłumaczyć nawet sam sobie. Jest to uczucie tak wielkie, tak przytłaczające, że nie mam sił z nim walczyć.

- Ja... nie powinnam tego... słuchać!

- Tak dyktuje ci rozum - wyjaśnił mężczyzna. - Ale serce radzi zupełnie co innego. Kiedy dotknąłem twojej dłoni, od razu zrozumiałem, że czujesz to samo co ja. Należysz do mnie, bez względu na przeciwności losu i różnice między nami. Jedyne, o co cię proszę, to żebyś powiedziała mi, co zrobić, by nasza miłość mogła trwać?

Zakonnica krzyknęła cicho i podniosła dłonie, by zakryć nimi twarz.

- Nie mogę... pana... słuchać - oświadczyła. - Nie mogę... słuchać! Proszę pozwolić mi... odejść!

- Możesz iść, dokąd tylko sobie życzysz - oświadczył Andre. - Wiesz, że cię nie zatrzymam. Za bardzo cię kocham, by uczynić coś, co mogłoby cię zranić lub zasmucić.

Stała przed nim z twarzą zakrytą rękoma, z głową opuszczoną, tak że widział tylko delikatną, białą skórę szyi.

Pohamował instynktowne pragnienie, by nachylić się i pocałować ją. Jak gdyby nagle odzyskał zmysły, przyłożył dłoń do czoła.

- Co ja tu wygaduję? - przeraził się. - Zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, brzmi niestosownie. Pewnie w ogóle nie wypada rozmawiać z zakonnica, a już w taki sposób!... Ale co zrobić, o Boże, nie mogę się opanować!

Wydawało mu się, że dziewczyna płacze, i w pierwszym odruchu wyciągnął do niej ramiona, ale szybko je opuścił.

- Chodźmy - powiedział głosem, który nagle nabrał surowego brzmienia. - Muszę cię odprowadzić. Chyba nie ma sensu dłużej się tak torturować.

W jego słowach pojawiło się rozżalenie, którego wcześniej tam nie było.

Zakonnica uniosła twarz i Andre zobaczył, że w jej oczach nie ma łez, ale jakiś mroczny smutek, którego nie spodziewał się tam ujrzeć.

- Ja... ja nie wiem ... co powiedzieć - wyszeptała po chwili.

- Nie musisz nic mówić - zapewnił mężczyzna. - Wstydzę się swego zachowania. Powinienem bardziej nad sobą panować, nie okazywać tego, co czuję.

Ruszył w stronę wyjścia z ogrodu, a kiedy już tam dotarł, stwierdził, że dziewczyna postępuje za nim, ale jakoś powoli, jakby niechętnie..

Przecisnął się między krzewami i koło domu przystanął, czekając, aż dziewczyna do niego dołączy.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie... ma potrzeby.

- Jest, i to wielka - sprzeciwił się. - Zachowałem się bezwstydnie i dobrze o tym wiem. Jesteś zakonnica, a także moim gościem.

- Nie chcę, żebyś... winił siebie - poprosiła kobieta. - To moja wina. Nie powinnam tu przychodzić, ale... wydawało mi się, że będzie to przygoda.

- Bo też i miało tak być.

Zacisnął zęby, jakby nie chciał powiedzieć nic więcej.

Naprawdę własne zachowanie budziło w nim odrazę.

Jak mógł mówić takie rzeczy? Jak mógł sobie pozwolić na zasmucanie tej pięknej dziewczyny, skoro wiedział, że ich miłość nie może się spełnić, ba, nie powinna się nawet zacząć?

„Muszę stąd wyjechać” - postanowił w duchu.

Jakby odgadując jego myśli, zakonnica zapytała:

- Czy... jeszcze pana zobaczę?

- Wątpię - odpowiedział Francuz. - Uważam, że im szybciej wrócę do normalnego życia i do rozsądku, tym lepiej.

Dziewczyna wydała lekki okrzyk.

- Pan jest załamany... nieszczęśliwy, a ja nie chciałam, żeby... tak się stało.

- To bardzo wspaniałomyślnie z siostry strony - rzekł ze smutkiem Andre. - Wszystko, co się wydarzyło, pozostaje moją winą, a jedynym siostry wykroczeniem jest jej uroda, która musi uderzyć mężczyźnie do głowy.

Wypowiadał słowa na wpół kpiąco i wiedział, że ten ton dotykał ją bardziej niż wszystko, co zrobił do tej pory.

- Jest mi... przykro - powtórzyła przeprosiny.

Spojrzał w jej oczy i natychmiast jego rozgoryczenie znikło.

Kolejny raz wydało mu się, że dziewczyna pragnie jego bliskości, i każdy nerw w jego ciele pragnął odpowiedzieć na wyzwanie.

- To, co robimy, jest w pani oczach niestosowne - stwierdził cicho. - Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, miałbym siostrze bardzo wiele do powiedzenia; lecz teraz najgrzeczniej i najlepiej będzie, jeśli zamilknę.

- Dla... dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył. - Znasz pani część odpowiedzi i ja znam ją również. Nie ma dla nas przyszłości, dlatego też udręką byłoby spotykać się, czując do siebie to, co teraz czujemy, a zarazem wiedząc, że musimy o sobie zapomnieć.

Wydawało mu się, że dojrzał w jej oczach wyraz bólu, i przez moment myślał, że gdyby tylko nie była zakonnica, zostałaby jego kochanką.

Mogliby iść razem dokądkolwiek, ale zdawał sobie sprawę, że już choćby wypowiedzenie na głos tej myśli zbezczęściłoby jej czystość, która opromieniała ją jak światło.

Nie chodziło tylko o to, że poświęciła się Bogu, ale o to, że miała w sobie jakieś natchnione uduchowanie; zdawało mu się, że jest o wiele bardziej niewinna niż jej rówieśnice z Londynu czy z Ameryki.

Najwyraźniej posiadając skromną wiedzę na temat różnicy płci, nie obawiała się go jako mężczyzny, który mógłby próbować zmusić ją do miłości cielesnej, lecz jako zagrożenia dla życia, a to stanowiło ogromną różnicę.

Andre głęboko wciągnął powietrze w płuca.

W tej chwili czuł się ogromnie stary, ale i mądrzejszy.

- Posłuchaj, moja mała święta od ptaków - zaczął. - Chcę, abyś przyrzekła mi, że zapomnisz o wszystkim, co się wydarzyło od chwili, gdy przyszłaś zjeść ze mną śniadanie, a myśmy zaśmiewali się wspólnie nad posiłkiem, który przygotował dla nas Tomas. Dziewczyna spojrzała na niego.

- Pragnę, byś zapamiętała ten ranek tylko jako małą przygodę, z której czerpaliśmy radość i z której powodu pozwoliłaś sobie na oderwanie się od bezpiecznego życia, jakie do tej pory wiodłaś.

Mówił dalej, ale jego głos brzmiał teraz poważniej:

- Chcę, byś przyrzekła mi jeszcze jedno.

- Co?... - zapytała.

- Że nigdy, ale to nigdy nie pozostaniesz sam na sam z żadnym mężczyzną, tak jak teraz tu ze mną.

Jej oczy rozszerzyło zdziwienie i Andre czuł się w obowiązku wyjaśnić to zaskakujące dla niej żądanie.

- Jesteś zbyt piękna, zbyt cudowna, zbyt godna pożądania, by ryzykować. Czy mnie rozumiesz?

- Tak... mi się wydaje - wyszeptała.

- Zachowałem się w sposób odrażający dla mnie samego, ale inny mężczyzna może postąpić jeszcze wstrętniej, a ty nie będziesz umiała go pohamować.

Przy tych słowach na policzki dziewczyny wypłynął rumieniec, co sprawiło, że wyglądała bardzo młodo i bezradnie.

Ponownie Andre gorąco zapragnął przytulić ją do siebie, dodać jej otuchy, przyrzec, że będzie ją chronił.

Następnie zadał sobie pytanie, przed kim, jeśli nie przed sobą samym, miałby ją osłaniać?

Wyglądała przepięknie, odziana w biały habit, w otoczeniu kwiatów, i mężczyzna przyrzekł sobie, że na zawsze zapamięta tę chwilę.

Nagle zorientował się, że dziewczyna stoi na tle kępy białych lilii, przeświecających między zielonym listowiem - kwiatów czystości, kwiatów Madonny.

Zrozumiał, że nie wolno mu skrzywdzić swojego gościa najmniejszym słowem ani czynem.

Dłuższy czas wpatrywał się w dziewczynę, po czym uklęknął na jedno kolano i ująwszy dłoń zakonnicy, złożył na niej pocałunek.

- Przebacz mi - błagał, zupełnie załamany. - Jestem twoim pokornym sługą i możliwe, że pewnego dnia zrozumiesz, jak trudno mi w tej chwili postępować z honorem.

- Nie powinien... pan... klękać przede mną - zaprotestowała zakonnica wystraszonym głosem.

- Klęczę, ponieważ czczę i kocham panią - odpowiedział Andre. - Gdziekolwiek się znajdę, cokolwiek przytrafi mi się w przyszłości, w moim sercu zawsze zostanie specjalne miejsce, świątynia przeznaczona dla mojej świętej od ptaków. Świętej, która wyprosiła swoją modlitwą błogosławieństwo dla mnie.

Ucałował jej dłoń jeszcze raz i jeszcze, po czym wstał.

- Chodźmy - powiedział miękko - odprowadzę siostrę.

Zbliżali się do wejścia do domu, i kiedy tak szli, Andre uprzytomnił sobie, że właśnie przeżył doświadczenie, które pozostawiło go pustym i do cna wyczerpanym emocjonalnie.

Czuł nierealność sytuacji, ale z drugiej strony miał całkowitą świadomość, że jego słowa były szczerze i płynęły z głębi serca.

Pokochał zakonnice, którą przedtem spotkał tylko dwa razy, i uczucie to owładnęło nim zupełnie, tak że nie wątpił, iż stracił serce na zawsze.

Kiedy mijali fronton domu, kierując się w stronę ścieżki prowadzącej do lasu, na tarasie pojawił się Tomas i krzyknął:

- M'sieur! Andre odwrócił się.

- Co się stało, Tomas?

- M'sieur zaczekać!

Mężczyzna patrząc na Murzyna zastanawiał się, o co może mu chodzić.

Służący szybko zbiegł po schodach, trzymając w ręku małą miseczkę; z jednego jego ramienia zwieszał się biały ręcznik.

- O co chodzi, Tomas? - zapytał Andre zirytowany.

- Pani umyć ręce - przypomniał służący, podsuwając zakonnicy miseczkę.

Andre pamiętał, że po zjedzeniu kukurydzy pożyczył dziewczynie swoją chusteczkę, by otarła palce.

Tomas trochę późno przypomniał sobie, iż powinien postawić na stole miseczki z wodą do umycia rąk, zresztą chyba nie mieli takich w swoim wyposażeniu.

Zakonnica uśmiechnęła się mile do Murzyna.

- Dziękuję ci, Tomas - powiedziała. - Bardzo jesteś uprzejmy, że o tym pomyślałeś.

Zanurzyła palce w wodzie, po czym sięgnęła po ręcznik, który zaraz po użyciu zwróciła służącemu. Ten zaś podsunął teraz miseczkę z wodą swemu pana.

- Uważam, że to zupełnie niepotrzebne... - zaczął ten, ale urwał sądząc, że może służący obrazi się, jeśli on nie spełni jego prośby.

Zanurzył ręce w wodzie, potem je wytarł.

- Dziękuję, Tomas - powiedział i już miał się odwrócić.

- M'sieur!

- Co znowu? - zniecierpliwił się mężczyzna.

- Patrzeć na palce pani - odpowiedział służący. - Patrzeć na swoje, m'sieur.

Andre rzucił na niego zdziwione spojrzenie, następnie zerknął na swoje paznokcie.

Przez chwilę nie zastanawiał się, na co patrzy. Potem zauważył, że nie tylko skórki, ale i same paznokcie zbieleły.

Przez mgnienie przyglądał im się skonsternowany.

Nagle pochwycił wzrok Tomasa wpatzonego w dłoń zakonnicy, która przyglądała się swoim dłoniom z takim samym zaskoczeniem.

Ciemne skórki, stanowiące dowód jej mieszanego pochodzenia, także zmieniły swój kolor!

Rozdział 6

Andre z uporem wpatrywał się w zakonnice, aż ta podniosła wzrok i spojrzała na niego.

Dziewczynę otaczała aureola olśniewającego światła. Francuz odezwał się zmienionym głosem:

- Ty jesteś Saoną!

Widział, jak ciężko jej odpowiedzieć, a na jej twarzy ujrzął wyraz, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Z wahaniem w głosie zakonnica oświadczyła:

- T... tak... nazywam się... Saona... a ty... ty nie jesteś... Mulatem!

- To prawda, teraz, kiedy mój stryj nie żyje, mnie przypadł tytuł hrabiego de Villaret!

Oczy słuchającej rozświeciły się nagłym błyskiem. Andre ochryłym głosem, który wydawał się dochodzić z bardzo daleka, zapytał:

- Czy jesteś zakonnice? Złożyłaś śluby? Uśmiechnęła się, i w tej samej chwili słońce nabrało jaśniejszego blasku. Spojrzała towarzyszowi prosto w oczy.

- Nie - przyznała - nie mogłam... tego... zrobić.

Mężczyzna pochwycił ją za ramię. Tomas gdzieś zniknął.

Andre, omijając kępę lilii, leśną ścieżką poprowadził swą towarzyszkę do małego ogrodu z kamienną rzeźbą.

Kiedy tam doszli, Saona podniosła wzrok i zapytała szeptem:

- Dlaczego... przyprowadziłeś mnie... tutaj?

- Myślę, że znasz odpowiedź - oznajmił Francuz. Puścił ramię dziewczyny i zaczął się jej przyglądać: szczupłej twarzy, zgrabnemu noskowi, wielkim oczom wpatrzonych w niego. Bardzo powoli, jakby rozkoszował się chwilą, a zarazem nadal trochę się obawiał, że dziewczyna jest świętą, której dotąd nie ważył się tknąć, powoli wziął ją w ramiona.

Nie powstrzymała go, choć czuł, że drży, ale wiedział, że nie ze strachu.

- Powiedziałem ci, że cię kocham - zaczął głębokim głosem - chociaż wtedy istniały jeszcze powody, dla których nie mogłaś mi odpowiedzieć, podobnie jak ja nie miałem prawa deklarować swojej miłości. Ale w tej chwili wszystko to jest nieważne.

Jego uścisk wzmocnił się, i Andre dodał:

- Kocham cię, Saono! Kocham cię, kimkolwiek jesteś. Ale teraz musisz powiedzieć mi, co ty czujesz do mnie.

Dziewczyna spuściła wzrok. Andre pomyślał, że żadna kobieta na świecie nie może być tak piękna.

- Bałam się... - wyszeptwała - bo myślałam, że jesteś... Mulatem.

- Mogę to zrozumieć - zgodził się mężczyzna - ale ja pokochałem cię, nie bacząc na to, że jesteś oktoronką i że w twoich żyłach płynie murzyńska krew. Wiedziałem, że musisz należeć do mnie. Teraz nic nie powstrzyma mojego uczucia.

Mówiąc to, delikatnie uniósł dłonią jej podbródek w górę.

Dotykając dziewczyny miał wrażenie, że muska kwiat, białą lilię, tak czystą, tak doskonałą, że obawiał się ją zbrukać.

Potem, nie potrafiąc się dłużej opanować, nachylił się i pocałował ukochaną.

Całował ją bardzo delikatnie, niemal jak motyl trzepoczący nad kielichem kwiatu. Miętkość jej ust, ich niewinność i słodycz wzbudziły w nim uczucie, jakiego nie przeżywał nigdy, całując inne kobiety.

To miłość, myślał, miłość, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył, boskie uczucie, tak cudowne i potężne jak sam Pan Bóg.

Coraz mocniej, z coraz większym pożądaniem jego usta przywierały do jej warg; nie pytając wiedział, że Saona go kocha i z równą namiętnością odpowiada na jego pocałunki.

Całował ją, aż stali się częścią światła słonecznego, kwiatami, brzęczeniem pszczoł, trzepotem ptaków i szumem drzew rosnących dokoła.

Podniósł głowę.

- Kocham cię, moja najśłodsza, moja cudowna mała święta! I myślę, że ty też darzysz mnie odrobiną uczucia.

Dziewczyna szepnęła coś niezrozumiale i oparła twarz na jego ramieniu.

- Powiedziałaś mi - zaczął - że tak naprawdę nie jesteś zakonnica i dlatego też, moja złota, zrobię to, o czym zawsze marzyłem, i zdejmę turban z twojej głowy.

Mówiąc to, bardzo ostrożnie zsunął go z jej włosów. A wówczas włosy Saony opadły w dół i rozsypały się na ramionach.

Były jasne, koloru słońca, takie właśnie, jakie spodziewał się ujrzeć Andre.

Dotknął głowy dziewczyny i zapytał:

- Dlaczego nie przyznałaś się, kim jesteś?

Zanim odpowiedziała, gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Chciałam... moje serce podpowiadało mi, że mogę ci... zaufać... ale... bałam się.

- Rozumiem - miękko stwierdził Andre.

- To właśnie... Mulaci przyszli potem, kiedy już ich wszystkich... z... zabito. Przeszukiwali... dom, kopali... w ogrodzie, myśląc, że coś tam znajdą.

Francuz domyślał się, że to Mulaci z armii Dessalines'a, jako bystrzejsi i sprytniejsi, znajdowali miejsca, w których plantatorzy ukrywali drogocenne przedmioty.

Murzyni, opętani i żądzą krwi zemsty, pragnęli jedynie zabijać i palić.

- Dlatego uciekłaś przede mną, kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy? - zapytał, wspominając wyraz przerażenia na jej twarzy.

- Nikt nie zjawiał się w domu ani na plantacji od... tak dawna - odparła Saona - że zapomniałam o... niebezpieczeństwie.

- Nie mogę spokojnie myśleć o tym, przez co przeszłaś.

- Czy... naprawdę jesteś hrabią de Villaret? - zapyła, jakby w obawie, iż źle go zrozumiała.

- Przysięgam ci, że jestem tak biały jak ty - zaklinał się Andre. - Ale kiedy przybyłem do Port - au - Prince, przyjaciel, który udzielił mi pomocy, był prawdziwym Mulatem. Uznał on, że szaleństwem byłoby próbować dotrzeć tu bez tej maskarady.

- Nawet w tej chwili jest to niebezpieczne - zauważyła Saona z lekkim przestrawieniem w głosie. - Zawsze znajdzie się ktoś, kto uważnie patrzy i wyda białego człowieka.

Rozejrzała się po ogrodzie, jak gdyby w obawie, że dojrzy tam jakąś postać, kryjącą się w krzakach lub kwiatach.

- Cesarz... wszędzie ma swoich szpiegów - dodała prawie bez tchu.

- Do tej pory jakoś miałem szczęście - pocieszył ją Andre - zresztą bez względu na niebezpieczeństwo, opłacało się ryzykować, bo znalazłem cię, moja bezcenna miłości.

Uniosła twarz, spoglądając na niego z takim szczęściem w oczach, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Ponownie ją pocałował, tym razem władczo i pożądliwie.

- Kocham cię! - powtórzył. - Kocham cię tak, że nie mogę myśleć o niczym innym. A teraz muszę cię zabrać do Anglii, moje kochanie, do mojej matki.

- To nie będzie proste - zwróciła jego uwagę Saona - no i najpierw musisz odnaleźć skarb pozostawiony dla ciebie przez stryja.

Ponieważ Andre był zakochany i tak cudownie czuł się, trzymając ukochaną w ramionach, na chwilę zapomniał zupełnie, po co przyjechał na plantację.

- Damballah powiedział mi, że to właśnie Saona wskaże mi skarb - przypomniał sobie. - Po to właśnie jej szukałem.

- A teraz... kiedy ją... odnalazłeś?

- Wiem, że znalazłem skarb o wiele cenniejszy niż wszystkie pieniądze świata.

Z ust dziewczyny wyrwał się cichy okrzyk prawdziwej radości.

- Czy... naprawdę.. tak uważasz?

- Nadal wątpisz w moje słowa? - zdziwił się. Oparła policzek o ramię ukochanego, pieszczotliwie jak dziecko, które nie może się oprzeć, by nie dotknąć tego, co kocha.

- Moja złota, moja cudna - pieścił ją słowami. - Jak szybko możemy stąd odjechać?

Pytanie przypomniało jej o czyhających na nich niebezpieczeństwach.

- Jak najprędzej, ale nie bardzo sobie wyobrażam, jak możemy to zrobić - odpowiedziała.

- Zostaw to mnie - pocieszył ją. - Porozmawiam z Tomaszem, a potem pojedziemy do Le Cap i tam znajdziemy statek, który zawiezie nas do Ameryki.

- To brzmi tak... pięknie... tak cudownie! - wykrzyknęła Saona. - Ale jeśli zostaniemy... schwytani?

- Wtedy umrzemy! - stwierdził Andre. - Ale sądzę, moja ukochana, że Pan Bóg nas ochroni, nasz Bóg, twój i mój, który bezpiecznie prowadził nas aż dotąd. A także bóstwa voodoo, które za pomocą swoich czarów przemówiły do mnie głosem mojego stryja.

- Czy... słyszałeś go?

- Choć wydaje się to niemożliwe i w Anglii chyba nikt by mi nie uwierzył, rzeczywiście słyszałem stryja Phillippe'a, przemawiającego przez papaloi.

- Podobno takie rzeczy się zdarzają - potwierdziła Saona - i rozumiem, dlaczego papaloi chciał ci pomóc.

- Dlaczego?

- Ponieważ hrabia zawsze ze zrozumieniem i dobrocią odnosił się do tych, którzy praktykowali voodoo. Niektórzy plantatorzy bardzo surowo karali swoich ludzi, jeżeli słyszeli bicie bębnów albo podejrzewali, że doszło do złożenia ofiary. Ale hrabia mawiał, że ludzie nie mogą żyć bez religii i bez względu na to, jakiego boga czczą, wcześniej czy później zaprowadzi on ich do prawdziwego Boga.

- Tak, to cały stryj - potwierdził Francuz. - Był bardzo tolerancyjnym człowiekiem.

- Dlatego też okoliczni mieszkańcy wierzący w Damballaha pomogą ci - zapewniła z całą powagą dziewczyna.

- Bardzo byłbym wdzięczny - rzekł Andre - choć nie zdołali uratować stryja ani jego rodziny. Ale przynajmniej uchronili ciebie.

- Zrobiły to zakonnice - wyjaśniła - w zamian za dobroć hrabiego, którą im okazał, kiedy przybyły tu po wybuchu rewolucji. Użyczył im schronienia i wybudował dla nich klasztor.

Westchnęła lekko.

- Nikt wtedy nie zdawał sobie sprawy, że sytuacja jest tak poważna i że wydarzenia, do jakich doszło na północy, ogarną całe Haiti.

- Słyszałem o tym - potwierdził Andre.

- Zakonnice czuły się wielce zobowiązane wobec hrabiego - ciągnęła Saona - i kiedy wieści na temat sytuacji były coraz bardziej alarmujące, zaproponowały twemu stryjowi pomoc.

Mężczyzna rozumiał, że opowiadanie tej historii jest dla dziewczyny przykre, ale musiała to z siebie wyrzucić, więc po prostu przytulił ją mocniej do siebie, lekko całując jej włosy, a ona mówiła dalej:

- Hrabia powiedział, że w wypadku gdyby jego niewolnicy przyłączyli się do rebelii, co nam wszystkim wydawało się raczej niemożliwe, to zakonnice muszą spróbować ocalić kobiety, w tym oczywiście również mnie.

- Ale reszta nie zdążyła umknąć na czas?

- Wszyscy nieustannie mówili o ucieczce - tłumaczyła. - Hrabina pakowała się z tuzin razy, ale ponieważ potem nadal panował spokój, doszli do wniosku, że nie ma sensu się narazić, niepotrzebnie zwracając na siebie uwagę wyjazdem.

- To zrozumiałe - potwierdził Andre.

- Tak więc hrabia i hrabina nie opuszczali posiadłości... aż pewnego dnia...

Przestała mówić, bo głos odmówił jej posłuszeństwa.

- Co się potem stało?

- Było popołudnie, siedzieliśmy na tarasie, kiedy jakiś niewolnik przybiegł do domu. Krzyczał, że wielka armia zbliża się do plantacji, podpalając po drodze pola trzcinowe.

- Z pewnością ogromnie się przeraziłaś.

- Myślę że... wszyscy... byli... przestraszeni... chociaż hrabia zachowywał się bardzo... spokojnie i odważnie.

- Co wtedy zrobiłaś?

- Hrabia powiedział do hrabiny: „Musisz natychmiast schronić się w klasztorze!” Ale ona tylko pokręciła głową na znak odmowy. „Nie zostawię cię, Philippe - oświadczyła. - Moje miejsce jest przy twoim boku”. Następnie zwróciła się do dwóch kobiet mieszkających z nami: „Wy idźcie” - nalegała, ale one były stare i też odmówiły. „Jeżeli mamy umrzeć - oświadczyła stanowczo jedna z nich - zginiemy razem z wami”.

- Tak właśnie zachowywała się arystokracja w czasie rewolucji we Francji - zauważył Andre, mówiąc jakby sam do siebie.

- Tak... i myśmy o tym słyszeli - potwierdziła Saona. - Ale ja się bałam. Przywarłam do hrabiny i pamiętam, że myślałam wtedy, że nie chcę umierać, że chcę żyć.

- Byłaś tylko dzieckiem.

- Miałam zaledwie dziewięć lat - wyjaśniła dziewczyna. - Tydzień wcześniej obchodziłam urodziny.

- Co się wydarzyło potem?

- Hrabia nakazał starej służącej Murzynce, która opiekowała się mną, odkąd pojawiłam się w domu, żeby zaprowadziła mnie do klasztoru.

Nagle Saona zaczęła łkać, ale nie przerywała opowieści:

- Nie miałam nawet... czasu... normalnie się pożegnać. „Szybko! Szybko! - popędzał hrabia. - Dziecko będzie tam bezpieczne, nie ma czasu do stracenia!”

Saona zamilkła na chwilę, lecz ze łzami w głosie kontynuowała:

- Dowiedziałam się... później... co się wydarzyło... kiedy odeszłam...

- Chciałbym o tym usłyszeć - poprosił Francuz - ale nie chcę, byś się zadręczała, moja ukochana.

- Powinieneś znać tę historię - przyznała. - Hrabia wraz z trzema synami stał u wejścia do domu. Kiedy nadeszli ludzie Dessalines'a, wrzeszcząc mściwie, oni musieli zdawać sobie sprawę, że nie ma już dla nich nadziei.

Saona zachłystywała się łzami, mówiąc:

- Żołnierze mieli bagnety... a na nich nieśli wbite... głowy białych kobiet i dzieci.

Teraz już dziewczyna płakała rozpaczliwie. Andre całował jej policzki i czoło, by ją uspokoić. Po chwili słabym głosem dokończyła:

- Mówiono, że potem... hrabia odwrócił się, wyciągnął pistolet... z kabury i... zastrzelił... hrabinę... a jego synowie...

zrobili to samo z dwiema... kobietami. Później dziki tłum napadł na nich i wszystkich pozabijał.

Andre czuł coś w rodzaju dumy słysząc, że jego stryj i kuzyni zachowali się dokładnie tak, jak mógłby się tego spodziewać.

Nie chciał, by Saona dłużej przeżywała tę udrękę wspomnień. Pocałunkiem starł łzy z jej policzków i wilgotnych oczu.

- To się już skończyło - pocieszał ją - a ty ocalałaś.

- Żołnierze zaczęli... plądrować kościół i... zakonnice uciekły do lasu, oprócz... kilku młodych... które zostały schwytane i... nie wiem, co się z nimi stało.

Mężczyzna oczywiście domyślał się tego. Nie zdziwiło go, że Dessalines pozwolił swoim żołnierzom zbezczcić święte miejsce. Postąpił zgodnie ze swoim charakterem.

Zarówno Toussaint, jak i Christophe byli dobrymi katolikami i robili, co mogli, by ratować księży, nawet białych.

- Czy stryj, zanim zginął - zaczął Andre - powiedział ci, gdzie ukrył majątek?

- Zdradził to... tylko mnie.

- Dlaczego?

- Wiedział, że w wielu przypadkach torturowano plantatorów, którzy przed śmiercią zazwyczaj ukrywali gdzieś swoje rodziny, więc mnie powierzył tajemnicę, wierząc, że jeśli rebelianci napadną na posiadłość, ja w jakiś sposób zdołam się ocalić.

Uśmiechnęła się lekko wypowiadając następne słowa:

- Może miał jakieś... przeczucie. Może Pan Bóg powiedział mu, że ja zostanę... oszczędzona.

- Mogę tylko dziękować Bogu, że cię ochronił - oświadczył Francuz.

Z nagłą desperacją pocałował ją ponownie, jakby bał się, że mu ją ktoś zabierze.

- Kocham cię! - wyznał po raz wtóry. - Słuchając, przez co przeszłaś, przeżywam tortury.

- Zakonnice okazały mi wiele dobroci - rzekła Saona - ale w całym klasztorze tylko matka przełożona i dwie starsze siostry wiedzą, że jestem biała.

- Czy to matka przełożona wpadła na pomysł zabarwienia twoich paznokci i kazała ci się przedstawiać jako oktoronka? - zainteresował się Andre.

- Słyszała, że generał Dessalines fanatycznie nie znosi białych, i uznała, że to jedyny sposób, bym przeżyła i była bezpieczna.

Andre spojrział na nią zaskoczony.

- Zakonnica także może ulec pokusie i w zamian za pewne względy zdradzić miejsce pobytu białego zbiega - cicho wyjaśniła dziewczyna.

- Rozumiem.

- Matka przełożona uznała, że nawet ksiądz nie może znać mojej tajemnicy, więc kiedy raz w miesiącu przyjeżdżał do nas, musiałam się chować.

Andre wydawał się zdziwiony, dlatego też dodała:

- Jak mogłabym przyjąć komunię, nie spowiadając się przedtem? A przy spowiedzi musiałabym powiedzieć prawdę.

- Oczywiście - zgodził się. - Więc przez wszystkie te lata moje słońce pozbawione było dobrodziejstwa komunii.

- Przysłuchiwałam się mszy w miejscu, gdzie nikt nie mógł mnie zobaczyć, i zawsze kiedy byłam sama, bardzo gorąco się modliłam.

- Dlatego też już przy pierwszym spotkaniu, gdy karmiłaś ptaki, wiedziałem, że jesteś świętą.

- Przy nich nie musiałam udawać ani też kłamać - zauważyła Saona. - One nie zwracały uwagi na kolor mojej skóry.

Andre znowu ją pocałował.

- Musimy stąd uciekać, moje serce - zapowiedział. - Nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiozę cię bezpiecznie do Anglii. I może pewnego dnia, jeśli Bóg pozwoli, będziemy mogli powrócić do Francji, która jest naszą prawdziwą ojczyzną.

Saona roześmiała się wesoło, po czym stwierdziła:

- Powiedziałaś ci, że mój ojciec był Francuzem, ale moja matka była Angielką.

- Tak jak moja - dodał mężczyzna. - A kolor twoich włosów, moja słodka, świadczy o prawdziwości twoich słów.

- Jestem bardzo podobna do mamy - powiedziała. - Czuła się tak nieszczęśliwa, kiedy tata zginął na morzu, że jedyne, czego pragnęła, to połączyć się z nim w niebie.

- Twój ojciec był marynarzem?

- Tak, dlatego właśnie matka przeniosła się na Haiti, by być blisko niego. Urodziłam się tutaj. Ale po śmierci taty tak trudno było się przenieść, a mama tak bardzo... chorowała.

Oczy Saony ponownie wypełniły się łzami, ale zwalczyła je i mówiła dalej:

- Tatuś przyjaźnił się z hrabią, i kiedy tylko hrabia dowiedział się o śmierci mamy, przywiózł mnie tutaj, mówiąc, że zostanę jego... córką, której zawsze... pragnął.

- Musiał cię bardzo kochać i być z ciebie ogromnie dumny, tak jak ja.

Andre długo patrzył na towarzyszkę, po czym powiedział:

- Chciałbym spędzić tu cały dzień, mówiąc ci, jak bardzo cię kocham, ale musimy postępować rozsądnie i naszkicować plan działania.

- Czy naprawdę... mogę jechać z tobą? - upewniła się Saona.

- Myślisz, że mógłbym cię tu zostawić? Moja ukochana, w twoich rękach leży całe moje szczęście i przysięgam, że to prawda, kiedy mówię, że nie potrafię żyć bez ciebie.

Podniosła ku niemu twarz, tak jak kwiat zwraca się w stronę słońca. Mężczyzna pocałował ją; ogród zafalował pod nimi, a ich stopy oderwały się od ziemi, i płynęli hen, w górę, do nieba.

Nadludzkiem wysiłkiem Andre zmusił się do powrotu na ziemię.

- Włóż na głowę turban, moja piękna - doradził - tak żeby nikt nie zobaczył twoich włosów. Wrócimy teraz do domu, a ja poproszę Tomasa, aby przygotował barwnik, którym na nowo przyciemnimy paznokcie.

Saona podniosła zwój materii, rzucony przez ukochanego na ziemię, po czym związała go wokół głowy.

Ponownie stała się małą białą zakonnica, tą, którą spotkał po raz pierwszy.

- Wyglądasz w nim uroczo - powiedział - ale pragnę obdarować cię jedwabiami, aksamitem i naszyjnikami z pereł, a przede wszystkim chciałbym kupić ci pierścień zaręczynowy, który miałby blask równie oślepiający jak twoje oczy.

Uśmiechnął się gorzko.

- Niestety, jeżeli nie przekażesz mi skarbu, który, jak mówisz, stryj pozostawił dla mnie, nie zdołam kupić ci żadnej z tych rzeczy.

- Skarb znajduje się tam - wskazała ręką Saona - ale bezpieczniej będzie, jeżeli przyjdiesz po niego późnym popołudniem, tuż przed zmrokiem.

- Dlaczego nie w nocy? - spytał Andre.

- Ponieważ potrzebne nam będzie światło dzienne, bo jeżeli ktoś zauważy, że się świeci w kościele, może przyjść, chcąc sprawdzić, co się dzieje.

- Skarb znajduje się w kościele? Dziewczyna twierdząco kiwnęła głową.

- Stryj w liście do ojca - wyjaśnił Francuz - pisał, że schował dobytek w ziemi, pod opieką Pana Boga.

- Właśnie tak uczynił - potwierdziła Saona - a ja pokażę ci, gdzie się znajduje.

- Dziękuję ci, kochanie - rzekł Andre. - A teraz zajmijmy się naszymi dłońmi. Potem odprowadzę cię do klasztoru.

- Matka przełożona z pewnością zastanawia się, co się ze mną stało - uśmiechnęła się - ale ja często wybieram się na długo do lasu.

- Musisz być ostrożna, bardzo ostrożna - pośpiesznie ostrzegł ją mężczyzna. - W końcu mogłem okazać się Mulatem, który nie wahałby się ciebie skrzywdzić.

- Kiedy... rozmawiałam z tobą w kościele... wiedziałam, mimo strachu, że nigdy nie... zrobiłbyś mi nic złego.

- Skąd to przeczucie? - dopytywał się.

- Myślę, że powiedziała mi to miłość - oświadczyła z prostotą Saona.

Znów ją pocałował, po czym ruszyli w stronę domu i weszli na schody. Tomas już na nich czekał, i kiedy tylko Andre poczuł zapach unoszący się z miseczki, którą służący trzymał w ręku, wiedział, że Murzyn sam wpadł na pomysł podgrzania barwnika do przyciemnienia paznokci.

- Przebiegły z ciebie lis, Tomas - powiedział Andre z uznaniem do służącego. - Skąd wiedziałeś, że mademoiselle Saona tak jak ja zmieniła swój wygląd?

- Damballah przyrzec znaleźć m'nselle - wyjaśnił tamten.

- Przypuszczam, że ta odpowiedź jest najbliższa prawdy, która kiedykolwiek zostanie nam wyjawiona - szepnął Andre

do ukochanej. - Ale latami będę się zastanawiał, czy Tomas zgadł, że nie jesteś tą, za którą się podajesz, czy też słyszał jakieś plotki we wsi, czy może rzeczywiście bębny Damballaha powiedziały mu prawdę.

- Jak sam powiedziałaś, prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy - przyznała Saona - ale postąpił na tyle mądrze, że zdradził mi twoją tajemnicę.

- Nie. powinien tego robić! - zaprotestował mężczyzna, ale mówił te słowa z uśmiechem.

Tomas z wielką zręcznością zabarwił skórki Saony, po czym przywrócił brązowy kolor również paznokciom Andrego.

- Nie podejrzewałem, że tak łatwo można zetrzeć ten barwnik.

- Jedne drzewa malować na brązowe, inne na białe - wyjaśnił Tomas. - Białe drzewa bardzo tajemne. Mało ludzi je znać.

- Haiti kryje zbyt wiele tajemnic - rzekł Francuz. - A tak przy okazji, jeżeli białe drzewo tu rośnie, proszę, byś zaopatrzył się w dużą ilość tego barwnika, bo weźmiemy go ze sobą.

Tomas pokiwał tylko głową, tak jakby już sam o tym pomyślał.

- Muszę już iść - przypomniała Saona, sprawdzając, czy jej paznokcie zdążyły wyschnąć.

- Odprowadzę cię przez las - zaproponował Andre. Podeszli do okna, ale mężczyzna zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Tomas - zwrócił się do służącego - cała nasza trójka musi jak najszybciej dotrzeć do Le Cap. Będziemy potrzebowali jeszcze jednego konia. .

- Nic trudnego - zapewnił Murzyn.

- Ale musi być dobry - podkreślił z naciskiem Francuz. - I najrozsądniej będzie, jeżeli powiesz, że jeden z naszych koni okulał. Inaczej ktoś zacznie się zastanawiać, dlaczego nas dwóch potrzebuje trzech koni.

Murzyn znowu kiwnął głową i Andre, trzymając Saonę za rękę, opuścił dom. Wspinali się dróżką prowadzącą przez las.

Podczas drogi dziewczyna opowiadała o uroku plantacji Villaretów, zanim posiadłość została zniszczona i spalona.

Choć Andre wiele lat nie widział stryja i stryjenki, przysłuchując się opowieści Saony miał ich jak żywych przed oczyma.

Trzej synowie stryjostwa byli bardzo przystojni, wiele czasu poświęcali plantacji, a najmłodszy z nich, zdaniem Saony, zapowiadał się ponadto na utalentowanego artystę.

- Właśnie pod wpływem jego obrazów - dodała dziewczyna - wpadłam na pomysł, że mogłybyśmy ozdobić malowidłami prezbiterium.

- To był twój pomysł? - zdziwił się Andre.

- Zauważyłam, że siostra Teresa lubi rysować i malować, i jak miałeś okazję się przekonać, nieźle jej to wychodzi.

- Uważam, że te malowidła, choć prymitywne, posiadają w sobie niezaprzeczalny urok.

- Myślę tak samo - przytaknęła Saona - tym bardziej że były malowane z miłością, co. z pewnością ma wielkie znaczenie.

- Na pewno - zgodził się jej towarzysz. Pomyślał, że z niej samej emanowały dwie cnoty, miłość i wiara, i trudno było uwierzyć, że jakakolwiek kobieta na świecie, przeżywszy tyle, ile ona, mogłaby pozostać tak piękną, nie tylko fizycznie, ale i duchowo.

Długo całowali się pod drzewem migdałowym, po czym Andre zawrócił, głęboko przekonany, iż jest najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

- Przyjdę do kościoła - powiedział na odchodnym - około czwartej. Będę czekał udając, że się modlę, aż uznasz, że bez przeszkód możesz do mnie podejść.

- Czy... będziesz się modlił naprawdę? - zapytała go.

- Muszę podziękować Bogu za wiele rzeczy - zaczął - i o jeszcze więcej go prosić. Dotyczy to naszej najbliższej przyszłości.

Dziewczyna westchnęła lekko.

- Odmówię dużo, dużo nowenn, byśmy dojechali bezpiecznie.

- Nie wierzę, by twoje modlitwy mogły zostać nie wysłuchane - rzekł stanowczo Andre. I mówił to z całym przekonaniem.

Wróciwszy do domu, począł się zastanawiać nad niespodziewanym obrotem spraw i nad swoim niewiarygodnym szczęściem, które pozwoliło mu bez szwanku dotrzeć do posiadłości Villaretów, a przede wszystkim odnaleźć dziewczynę, której szukał.

Miał nadzieję, że skarb stryja, który ten tak sprytnie ukrył, wystarczy w przyszłości dla nich dwojga.

Martwiło go jedno, z czego nie zwierzył się Saonie: jeżeli pakunek okaże się duży, nie tylko trudno go będzie dowieźć do Le Cap, ale może także zwiększyć niebezpieczeństwo.

W czasach rozruchów i zamieszek ciężkie toboły, które mogą zawierać pieniądze i wartościowe przedmioty, zawsze wzbudzają podejrzenia, a złoto niełatwo przewieźć z jednego miejsca w drugie, chyba że jest go niewielka ilość.

- Będę musiał wymyślić jakiś sposób, żeby ukryć ładunek - pomyślał Andre.

Jednak trudno było coś konkretnego postanowić. Wpierw musi się przekonać, jak duże jest to, co stryj zakopał.

Dotarł do posiadłości, ale nie zastał tam Tomasa ani też śladu obiadu, a dopiero teraz uświadomił sobie, że odczuwa straszliwy głód.

Targające nim od samego ranka emocje wyczerpały go, choć nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek w życiu czuł się tak szczęśliwy i zadowolony.

Zawsze śmieszyły go rozmowy o miłości od pierwszego wejrzenia, a także mężczyźni, którzy twierdzili, iż od czasu kiedy spotkali tę wymarzoną kobietę, ich życie uległo całkowitej odmianie.

A przecież to właśnie spotkało teraz jego samego.

Choć znał Saonę zaledwie dwa dni, wydawało mu się, że tak naprawdę są to miliony. Tkwiała w jego sercu i duszy od zawsze.

Należała do niego, całkowicie i absolutnie, jakby byli małżeństwem od pół wieku.

Ich myśli biegły tym samym torem, serca biły wspólnym rytmem, ich dusze połączyło, jakby powiedziała Saona, błogosławieństwo Boga.

Andre spojrział na pełen uroku ogród, potem w górę na niebo.

- Merci, mon Dieu! - powiedział na głos.

Było to najbardziej szczere i płynące z serca dziękczynienie, jakie złożył w swym życiu.

Kilka minut później pojawił się Tomasz z wiadomością, iż udało mu się znaleźć dobrego konia, takiego właśnie, jakiego potrzebowali, a na dodatek niedrogi. Jeżeli Andre da mu pieniądze, to on pójdzie i przyprowadzi go już teraz.

- Im szybciej, tym lepiej! - rzekł Francuz. - Znalazłem już wszystko, czego szukałem, Tomasz, i musimy ruszać stąd jak najprędzej.

- Kupić konia i pojechać - zaproponował służący.

- Powiem mademoiselle, żeby przygotowała się na jutro rano - oznajmił Andre. - Znasz drogę do Le Cap?

Tomas skinął głową.

Nigdy nie marnował słów bez potrzeby. Skierował się do studni, gdzie trzymał w chłodzie napój owocowy dla pana.

Ponieważ obiad był znacznie opóźniony, Francuz miał niewiele czasu na odpoczynek. Zaraz trzeba było iść do kościoła.

Rozwagał w myślach, czy powinien pojechać konno, czy też pójść pieszo.

Gdyby pojechał konno, mógłby od razu zabrać ze sobą do domu część skarbu.

Z drugiej jednak strony, musiałby wówczas pozostawić zwierzę koło kościoła, na widoku, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Od czasu kiedy przybył do posiadłość Villaretów, widział bardzo niewiele ludzi, ale zdawał sobie sprawę, że plantację otacza kilka małych wiosek, a ich mieszkańcy pracują na polach trzcinowych i w lasach bananowych.

Bez wątpienia zainteresowali się nieznanym, zatem Andre stwierdził, że byłoby wysoce nieroztropne zwracać teraz ich uwagę.

„Pójdę pieszo - zdecydował - najwyżej później, może wczesnym rankiem, kiedy już zacznie świtać, wybiorę się razem z Tomaszem, by zabrać cięższe przedmioty, których sam nie dam rady udźwignąć!”

Dotarł do kościoła wkrótce po godzinie czwartej, po czym wszedł do środka zachodnimi drzwiami, jak zawsze otwartymi, i ukląkł, by się pomodlić.

Wewnątrz starego kościoła panowała cisza i miły chłód. Andre zastanawiał się, jak wielu ludzi przez wieki przychodziło tu ze swoimi kłopotami, zmartwieniami i

problemami, by złożyć je u stóp Pana, żywiąc nadzieję, że On im pomoże.

Do tej pory martwił się tylko o swoje bezpieczeństwo. Teraz uświadomił sobie, że jego niepokój wzrośnie ze względu na Saonę.

Wydawało się niewiarygodne, że w swym krótkim życiu zdążyła już zaznać tylu nieszczęść i być świadkiem tak wielu prawdziwie groźnych sytuacji, okrucieństw i zbrodni.

Francuz jednak przekonany był, że te przeżycia, tak różne od normalnych zdarzeń dnia codziennego, uczyniły dziewczynę dojrzałą, zahartowały ją.

Obudziły w niej także współczucie i wrażliwość, jakich Andre nie spotkał u żadnej innej kobiety.

Tak głęboko pogрузił się w rozmyślaniach o ukochanej, że nie usłyszał, kiedy stanęła u jego boku. Dopiero gdy dotknęła jego ramienia, podniósł się z kolan.

Spojrzał w twarz ukochanej i pomyślał, że miłość w jej oczach i delikatny uśmiech na ustach promieniowały blaskiem, do którego garnał się całym sobą.

Dziewczyna nie odzywała się; Andre uniósł jej rękę i ucałował.

Saona odwróciła się, by zamknąć drzwi i zasunąć drewniany skobel. Potem włożyła rękę w jego dłoń i poprowadziła go wzdłuż nawy.

Obydwoje padli na kolana przed ołtarzem, nad którym królował drewniany krzyż. Andre podniósł wzrok, by spojrzeć na malowidła zdobiące ściany.

Ich koloryt i zadziwiające piękno przepelniały go poczuciem bezpieczeństwa i nadziei.

Nie potrafił wytłumaczyć sobie, skąd się ono bierze, ale było przemożne.

Saona pociągnęła go za ramię i przeszli na tyły ołtarza, gdzie znajdowały się dwa kamienne stopnie. Zeszli po nich na niższy poziom.

Ołtarz nie stykał się ze wschodnią ścianą kościoła, więc można było go obejść bardzo wąskim przejściem, wyłożonym wielkimi kamiennymi płytami.

Dziewczyna szła przodem i zatrzymała się dokładnie na wprost centralnego punktu ołtarza.

Na poziomie ich głów stały wazony z kwiatami i świeczniki, a nad nimi górował prosty drewniany krzyż, na który Andre zwrócił uwagę już podczas pierwszej wizyty w kościele.

Saona zerknęła do góry, po czym pochyliła się i wskazała palcem dużą, płaską, kwadratową płytę, usytuowaną dokładnie za ołtarzem, jak z drzeniem serca zauważył Francuz, w cieniu krzyża, a więc pod opiekę opatrności!

Rozumiał, że dziewczyna chce, by podniósł kamień, ale nie wiedział, jak to zrobić. Wtedy jego towarzyszka wyciągnęła zza ołtarza łom i mały rydel.

Podąła mężczyźnie żelazny drąg, a on bez większego wysiłku wsunął go pod kamień i uniósł płytę do góry.

Dalej już odsuwał przeszkodę gołymi rękami.

Zajrzał do wewnątrz i stwierdził, że pod chodnikiem znajduje się tylko ziemia. Otwór, który odsłonił, był niewielki, więc Andre z rozczarowaniem pomyślał, że cokolwiek tam zakopano, nie może to być duże.

Ale Saona, uśmiechając się do niego zachęcająco, podała mu rydel.

Ukląkł i począł odwalać ciężką ziemię.

Dokopał się na głębokość pół metra w głąb, kiedy usłyszał, że narzędzie w coś uderza.

Wsunął rękę w otwór i wyciągnął z niego niewielki skórzany woreczek, w którym coś pobrzękiwało przy potrząśnięciu.

Francuz z trudem powstrzymał okrzyk rozczarowania, a nawet przerażenia.

Taki mały mieszek nie mógł pomieścić dużej ilości pieniędzy. Andre przypuszczał, że wartość ludwików znajdujących się w środku nie przewyższa kilku tysięcy franków.

Nie próbując nawet otworzyć woreczka, mężczyzna usiadł obok wykopu i spoglądając na Saonę zapytał:

- Czy mam zasypać dziurę?

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego jak do niezbyt rozgarniętego dziecka.

- Kop głębiej - rozkazała szeptem. - To tutaj miało na celu jedynie oszukanie złodziei.

- Więc jest coś jeszcze? - zdziwił się Andre z nowym błyskiem w oku.

- Sam się przekonasz - padła odpowiedź.

Przystąpił zatem do pracy ze zdwojoną energią, a musiał kopać o wiele głębiej - kupka ziemi obok niego coraz bardziej rosła.

Potem znów rydel uderzył w jakiś przedmiot, mężczyzna zaś musiał wsunąć do dołu rękę aż po ramię, by wyciągnąć następny skórzany woreczek.

Był nieco większy niż poprzedni, ale niewiele. Towarzysz Saony ponownie stracił zapal.

Spojrzał pytająco na dziewczynę myśląc, że może powinien kopać dalej, ale powstrzymała go, mówiąc łagodnie:

- Zajrzyj do środka.

Udało mu się rozsypać ściągnięte troczki sakiewki. „Jeżeli znajdują się w niej ludwiki - myślał - to ich wartość nie może być duża”.

W końcu otworzył woreczek i zajrzał do środka.

Przez chwilę nie rozumiał, na co patrzy. Nagle promień słońca przedarł się przez okienko nad nimi i w woreczku coś zabłysło.

Z ust Andrego wyrwał się lekki okrzyk, po czym mężczyzna wsunął rękę do środka.

- Brylanty! - stwierdził i bez wątpienia w jego głosie brzmiało zaskoczenie.

- Tak, brylanty - wyszeptała Saona. - Kiedy twój stryj pokazał mi kryjówkę, powiedział, że od dłuższego czasu skupował właśnie te kamienie, w nadziei, że łatwiej je będzie przewieźć, jeżeli rodzina miałaby w pośpiechu opuszczać kraj.

- Brylanty - powtórzył Francuz zdławionym głosem.

Niektóre z kamieni były duże, bardzo duże, niektóre małe, ale kiedy ich dotykał, błyszczały tak, jakby w ich wnętrzu uwieczono słoneczne promienie. Wiedział, że każdy kamień posiada znaczną wartość, a cała kolekcja tworzy ogromną fortunę.

Zrozumiał teraz, o ile sprytniejszy okazał się jego stryj od innych plantatorów, których majątek składał się ze złotych i srebrnych serwisów; te niemal w całości Dessalines wywiózł jako łup do Port - au - Prince, załadowawszy je na dwadzieścia pięć mułów.

Majątek, który Andre miał przed sobą i który, jego zdaniem, nie miał ceny, nietrudno będzie przewieźć, trzeba się jedynie postarać o ochronę przed złodziejami.

Uświadomiwszy sobie wartość znaleziska, Andre uznał, że musi postępować nad wyraz ostrożnie. Dlatego też śpiesznie podał woreczek Saonie, po czym zasypał otwór.

Uważał, by nie pozostawić ani odrobiny ziemi; dopiero gdy ją w całości uprzętnął, położył kamienną płytę na miejsce.

Następnie zabrał drugi woreczek, zawierający złote monety, i oboje wyszli z za ołtarza do prezbiterium.

Tu ponownie najpierw przyklękli, po czym cicho podeszli do zaryglowanych drzwi.

Wówczas Andre stłumionym głosem zapytał:

- Jak mam ci dziękować?

- Podziękuj Bogu, który ochraniał cię tak długo.

- Zrobię to - przyrzekł - a czy ty będziesz gotowa jutro wczesnym rankiem, by wyjechać ze mną?

- Już powiadomiłam matkę przełożoną. Wszystko zrozumiała - zapewniła Saona. - Dała mi adres w Le Cap, gdzie będziemy bezpieczni, dopóki nie znajdziemy statku.

- Czy podziękujesz jej w moim imieniu? - zapytał.

- Już to zrobiłam - odparła dziewczyna - ale jeśli spotkasz ją tu jutro, nie wspominaj, cośmy znaleźli.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło - obruszył się Andre.

- Rozumiem, że skarb pozostawał pod twoją specjalną opieką, a ponieważ stryj ci zaufał, nie ważyłbym się mówić o tym nikomu.

- Nikomu - powtórzyła dziewczyna. - Ale czasami zastanawiałam się, co by się stało, gdybym się zestarzała i umarła, a żaden Villaret nie zgłosiłby się po swoją schedę.

- Na szczęście nic takiego się nie stało - rzekł Andre - a my, kochanie, w przyszłości możemy wspólnie korzystać z bogactwa. Będę mógł ofiarować ci wszystkie rzeczy, jakie pragnąłbym, byś posiadała.

Saona wyglądała przecudownie, kiedy uniosła twarz, by złożyć pocałunek na jego ustach.

- Pragnę tylko... ciebie - wyszeptała.

Wróciwszy do domu późnym wieczorem, Andre usiadł na łóżku i oglądając zawartość woreczka, starał się ocenić wartość kamieni.

Niewiele o nich wiedział. Jego matka przed rewolucją posiadała kolekcję cennej biżuterii, ale teraz pozostało jej zaledwie kilka sztuk.

Ceniła szczególnie jeden pierścień, którego nie pozwoliła sprzedać mimo trudności materialnych, gdyż, jak mówiła, pragnęła go zachować dla jego żony.

- Jest on w naszej rodzinie od dwustu lat - wyjaśniła - i nie mogę znieść myśli, że moglibyśmy zamienić go na coś tak przyziemnego jak chleb powszedni, tylko dlatego, że jesteśmy głodni!

- Ten klejnot mógłby nam zapewnić o wiele smakowitsze kąski niż chleb! - roześmiał się Andre.

- Wiem o tym - odpowiedziała jego matka. - Czy wiesz, że kiedy zaniósłam go do naprawy, jubiler z Bond Street oferował mi za niego tysiąc funtów?

- Tysiąc funtów! - wykrzyknął wtedy Andre.

- Jest przeznaczony dla twojej żony - zdecydowała matka. - Nie posiadasz wiele więcej do zaoferowania, ale nie chcę, byś starał się o jakąś kobietę z zupełnie pustymi rękami.

Syn zrozumiał, jak bardzo matka poświęca się dla niego, i ucałował ją gorąco.

- Dziękuję ci - powiedział - ale jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pieniędzy dla siebie, nalegam, byś sprzedała pierścień.

Brylant w pierścieniu matki nie mógł się równać z większością klejnotów w woreczku.

„Jestem bogaty” - pomyślał Andre.

Potem przyszło mu do głowy, że prawdziwym bogactwem jest jego miłość do Saony.

- Boże, błagam, pozwól nam bezpiecznie dotrzeć do Anglii! - modlił się przed snem.

Kiedy zamykał oczy, oba woreczki leżały tuż obok niego.

Obudziło go nerwowe szarpnięcie za ramię. Zdziwiony był, że Tomas budzi go w ten sposób z głębokiego, pozbawionego marzeń snu.

- Obudzić się, m'sieur, obudzić! - ponaglał go służący.
Andre usiadł.

- O co chodzi, Tomas?

- Wyjeżdżać teraz - szybko!

- Dlaczego?

- Bębny mówić, żołnierze iść z Port - au - Prince!

- Żołnierze?

- Żołnierze szukać m'sieur.

Był głupcem, że nie przewidział takiego obrotu sprawy.

Orchis wiedziała, że przyjechał tu, by szukać skarbu, którego nie odnalazł Dessalines, i teraz wysłała żołnierzy, by także mieć udział w łupach.

W tej chwili najważniejszym pytaniem było, jak dużo mają czasu, zanim tamci zdołają ich odszukać, schwycić, a wreszcie zabić.

Andre nie spytał nawet Murzyna, skąd bębny wiedzą o zagrożeniu. Wystarczy, że go ostrzegły, co dawało mu szansę przede wszystkim na uratowanie Saony.

Wciągnął buty, porwał oba woreczki leżące na łóżku i trzymając je mocno wybiegł przed dom, gdzie Tomas oczekiwał go już z trzema końmi, u których boków przytroczył bagaże pana.

Andre odebrał mu wodze, a podał woreczki.

- Wsadź jeden do swoich bagaży - poleciał - a drugi do moich.

Tomas z zadziwiającą szybkością wykonał polecenie.

Następnie, nie marnując więcej słów, Andre dosiadł wierzchowca, służący uczynił to samo, trzymając ponadto za wodze zapasowego konia, po czym ruszyli przed siebie.

Rozdział 7

Przy świetle gwiazd i wschodzącego właśnie bladego księżycy dotarli do klasztoru.

Dokoła panowała cisza i spokój. Promienie księżycy odbijały się od mosiężnego dzwonka, wiszącego u wejścia do klasztoru.

Andre zsiadł z konia, oddał wodze Tomasowi, po czym wyciągnął rękę w stronę dzwonka, ale nagle zmienił zdanie.

Pomyślał, że jego głos rozbrzmiewający w nocy może niepotrzebnie przyciągnąć czyjąś uwagę. Zastukał więc mocno w drzwi, a po chwili oczekiwania zrobił to jeszcze raz.

Zaskakująco szybko drzwi się otworzyły i bardzo stara zakonnica wyjrzała w ciemność.

- Kto tam? - zapytała drżącym głosem.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z siostrą Devotee i matką przełożoną - oświadczył Andre. - Ale nie ma potrzeby niczego się obawiać.

- Z siostrą Devotee? - powtórzyła staruszka, jakby nie dosłyszając.

- I z matką przełożoną - dokończył mężczyzna, podnosząc nieco głos.

Kobieta chciała zamknąć drzwi, ale zanim zdążyła to uczynić, Andre wszedł do środka.

Staruszka spojrzała na niego niepewnie, ale on spokojnie, choć rozkazującym tonem powtórzył swoją prośbę:

- Proszę natychmiast przyprowadzić przeoryszkę i obudzić siostrę Devotee.

Zakonnica niechętnie odeszła, powłócząc nogami po kamiennej posadzce.

Francuz czekał niecierpliwie, badając wzrokiem otoczenie, czyste i uświęcone.

Zdawał sobie sprawę, jak cenna jest każda sekunda, i czuł wdzięczność, że bębny ostrzegły go na czas, dając jemu i Saonie szansę ucieczki.

Usłyszał odgłos kroków i wpatrując się w ciemny koniec korytarza, z ulgą dostrzegł zbliżającą się matkę przełożoną.

Ponieważ była kompletnie ubrana, pomyślał, że prawdopodobnie odprowadzała wieczorne czuwanie i nie musiano jej budzić.

Zważywszy na swój wiek, poruszała się szybko, i kiedy podeszła do gościa, odezwała się, zanim on zdążył otworzyć usta.

- Czy coś nam zagraża? Andre skinął głową.

- Bębny voodoo powiadomiły mojego służącego, że poszukują mnie żołnierze.

- W takim razie musicie natychmiast uciekać! - żywo zdecydowała przeorysza.

- Zabiorę Saonę do Anglii, tam będzie bezpieczna - oświadczył Andre.

- Tak właśnie mi mówiła.

Przez chwilę zakonnica wahała się, lecz w końcu powiedziała:

- Mówiła także, że się kochacie.

- Najszybciej, jak to będzie możliwe, zostanie moją żoną.

Oczy starej kobiety rozbłysły zadowoleniem.

- Dziękuję za opiekę nad nią i ochronę. Wiem, że bez matki pomocy nie byłoby już jej wśród żywych.

- Pana stryj zginął bohatersko, podobnie jak reszta jego rodziny - powiedziała przeorysza.

- Saona wyznała matce, kim jestem? - upewnił się mężczyzna.

- Tak, i jestem szczęśliwa, że ją stąd zabierzesz. To nie jest życie dla niej, a pewnego dnia jej tajemnica mogłaby zostać odkryta.

- Matka jest ogromnie wyrozumiała - zauważył Francuz.

Usłyszeli odgłos pośpiesznych kroków i za chwilę zbliżyła się do nich Saona.

Andre z uwielbieniem spojrział na nadchodzącą i nagle zamarł bez ruchu.

Jak gdyby czytając w jego myślach, matka przełożona wyjaśniła:

- To konieczny środek ostrożności. Każdej białej kobiecie, która pojawi się teraz w Le Cap, grozi niebezpieczeństwo, wielkie niebezpieczeństwo.

Mężczyzna doskonale rozumiał powody, dla których zmieniła wygląd Saony, ale mimo wszystko przeżył szok.

Jej skóra, do tej pory biała, niemal przezroczysta, po prostu piękna, teraz miała barwę brązową, taką samą jak kolor jego ciała.

Co więcej, dziewczyna ubrana była w barbet i czarny welon zakonnicy, podobnie jak matka przełożona.

Na chwilę Andrego ogarnęło przerażenie, że jego prześliczna wybranka nie odzyska już nigdy swej anielskiej urody. Nagle spojrział w oczy dziewczyny, którymi prosiła o zrozumienie, tak że w końcu uśmiechnął się i powiedział:

- Nadal jesteś bardzo piękna, moja ukochana, ale muszę uważać na to, co będę mówił do osoby w takim przebraniu!

Wiedział, że jego żartobliwe słowa uspokoją nieco Saonę. Następnie odezwała się przeorysza:

- Nie macie czasu do stracenia, a tu jest list, który zawieście do mojego brata. Jest księdzem w kościele Najświętszej Panienki w Le Cap. Idźcie do niego i poproście go o pomoc, ale nie zdradzajcie się ze swoim prawdziwym wyglądem.

Kobieta lekko westchnęła, po czym dodała:

- Jestem pewna, że was nie wyda, ale lepiej, żeby nic nie wiedział.

- Matka jest bardzo mądrą osobą - zauważył Andre - i jeszcze raz ogromnie dziękuję za wszystko, co matka zrobiła dla mojej przyszłej żony.

Mówiąc to podniósł rękę kobiety do ust. Następnie Saona padła przed nią na kolana.

- Andre podziękował ci, matko, ale moje serce zbyt przepełnione jest wdzięcznością, bym umiała ją wyrazić. Wszystko, o co proszę, to błogosławieństwo, zanim zostawię cię i odejdę w świat, który - tak różny od naszego - już teraz mnie przeraża, a przecież nie będzie cię tam, matko, byś mną kierowała.

Andre zobaczył, że do oczu przeoryszy napływają łzy.

- Bóg cię pobłogosławił, moje dziecko, tak jak pobłogosławił człowieka, którego pokochałaś. Opieka Najwyższego będzie ci towarzyszyła, dokądkolwiek się udasz.

Przy tych słowach głos kobiety załamał się. Saona podniosła się z kolan i ucałowała staruszkę w oba policzki.

Potem odwróciła się do ukochanego, a ten ujął ją za rękę i wyprowadził z klasztoru do oczekującego ich Tomasa.

Posadził dziewczynę w siodle, a następnie bez słowa, bez oglądania się za siebie ruszyli za służącym.

Jechali, dopóki nie wzeszło słońce i nie zrobiło się bardzo gorąco.

Potem głodni i spragnieni usiedli w cieniu drzewa; obok nich srebrzysty wodospad kaskadami spływał po zboczu góry.

- Ile czasu zajmie nam jazda do Le Cap? - zainteresowała się Saona, podczas gdy Tomasz wyjmował ze swojej torby podróżnej jedzenie i napój owocowy, który tak wspaniale przyrządzał.

- Nie mam pojęcia - przyznał się Andre. - Zależy, jak szybko będziemy się poruszać.

- Wydaje się, że przebyliśmy już długą drogę.

- Czy jesteś zmęczona, moja kochana? - zatroskał się mężczyzna. - Dla kogoś nie przyzwyczajonego do konnej jazdy musiała to być męcząca droga.

- Kiedy mieszkałam u twojego stryja, dosiadałam konia codziennie, ostatnio jednak wyszłam z wprawy i czuję się trochę strudzona, ale to nie jest ważne.

- Nic, co ciebie dotyczy, nie może być nieważne - sprzeciwił się Andre.

Ponieważ przyglądał się jej, dziewczyna odwróciła twarz.

- Nie chcę... byś... patrzył na mnie, kiedy... tak wyglądam - wyszeptała.

- Dla mnie jesteś piękna jak zawsze - przekonywał ją - tylko onieśmiela mnie ten czarny welon.

- Ale przecież wiesz, że to tak na niby - uśmiechnęła się Saona. - Żeby zmylić innych.

- Matka przełożona bardzo sprytnie to wymyśliła - pochwalił przeoryszę Andre. - Niemożliwe byłoby zapewnienie bezpieczeństwa pięknej kobiecie pośród wielu mężczyzn.

- Chcę, byś mnie uważał za piękną - zaczęła Saona - ale chyba... rozumiesz, że wiem bardzo mało na temat życia innego niż to, które wiodłam przez ostatnie dziesięć lat w klasztorze.

Zerknęła na niego zawstydzona, ale ciągnęła dalej:

- Możliwe, że kiedy poznasz mnie lepiej, dojdiesz do wniosku, że jestem... nudna. Mogę popełniać dużo... błędów.

- Nigdy nie zmienię zdania i zawsze będę uważał cię za najcudowniejszą i najbardziej interesującą osobę - zapewnił ją Andre. - Pociąga mnie nie tylko to, co mówisz czy myślisz, moja ukochana, ale to, kim jesteś, a twoja osobowość emanuje z ciebie niby magiczna aura.

- Sprawiasz, że czuję się ogromnie szczęśliwa - wyznała Saona. - Podczas przygotowań do tej podróży zastanawiałam

się, czy uczciwie postępuję, zmuszając cię do wiązania się ze mną, osobą, która tak naprawdę pochodzi z innego świata.

- Od tej pory będziesz żyła w moim świecie - rzekł Francuz - w świecie, w którym liczy się jedynie to, że jesteśmy razem.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni. Podszedł Tomas z zamiarem zebrania resztek posiłku i nie opróżnionej do końca butelki z sokiem.

- W drogę, m'sieurt - rzekł stanowczo.

- Jesteś gorszy od poganiacza niewolników! - poskarżył się Andre, na co Murzyn roześmiał się.

Wyraźnie zależało mu na tym, by jak najszybciej ruszyli w dalszą drogę, i biały mężczyzna przyznał mu rację.

Byli już bardzo wyczerpani, kiedy wreszcie Tomas wyszukał odpowiednie miejsce na nocleg.

Tym razem nie szukali pustej caille ani też nie wazyli się prosić o schronienie u miejscowej ludności.

Bez wyjaśnień Francuz rozumiał, iż im mniej osób ich widzi, tym bezpieczniej.

Żołnierze, nie znalazłszy go w posiadłości Villaretów, z pewnością domyślili się, że wyruszył do Le Cap.

Miał nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać, iż towarzyszy mu kobieta.

Z drugiej strony, mówiono mu już tysiąc razy, że na Haiti nie utrzyma się żaden sekret.

Tomas znalazł dla nich miejsce pod drzewami u stóp góry.

Andre uznał, że to nic dziwnego, iż nie zatrzymali się w lesie, bo przecież jego służący ogromnie się go bał. Ale miejsce, które wybrał Murzyn, było dobrze ukryte, ziemia zaś miękka, usłana mchem i nie porośnięta zbyt bujną roślinnością.

Dostali od służącego po kocu, a następnie posilili się i położyli obok siebie, Murzyn natomiast zniknął w ciemności.

Zostali sami, nie licząc koni uwiązanych w niewielkiej odległości od ich leśnego posłania.

- Pragnę cię pocałować, moja najdroższa - powiedział Andre, wyciągając rękę, by odnaleźć dłoń dziewczyny.

- Nie.

- Nie? - zdziwił się.

- Nie chcę, byś mnie... całował... kiedy tak... wyglądam. To mogłoby wszystko... zepsuć.

Rozśmieszył go niemal dziecinny ton jej głosu i powiedział:

- Dotknięcie twoich ust zawsze pozostanie dla mnie przeżyciem tak cudownym, że nie potrafiłbym opisać go słowami, ale jeśli wolisz poczekać, uczynię, jak sobie życzysz.

Mocno ściskając jej palce dodał:

- Rozumiem twoje uczucia i chciałbym, byś jedno wiedziała na pewno: kocham cię tak ogromnie, że nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby cię zranić lub zasmucić.

- Jesteś... tak... wspaniała! - z drżeniem w głosie odezwała się Saona. - Pewnego dnia może i ja będę w stanie wyrazić, jak bardzo... cię kocham.

Andre milczał przez chwilę. Miał jej tak wiele do powiedzenia, tyle miłości do zaofiarowania, a przecież intuicja mówiła mu, że wcale nie musi używać słów, by okazać te uczucia.

Należeli do siebie, bez względu na to, co się działo i jak wyglądali, byli stworzeni dla siebie. Nawet kiedy się pobiorą, myślał Andre, ich więź duchowa nie zacieśni się, bo już bliżej siebie niż w tej chwili być nie mogą.

Poczuł, że uścisk jej palców zelżał, a po chwili dziewczyna zapadła w głęboki sen.

On też był zmęczony, ale zanim usnął, postanowił sobie zawsze chronić leżącą obok kobietę i opiekować się nią, zupełnie jak rycerz sprzed wieków, który klęczał w kaplicy

przez całą noc pogrążony w modlitwie, zanim wyruszył, by udowodnić swoje męstwo.

Kiedy Tomas ich budził, obydwójce spali jeszcze głęboko.

Ponownie ruszyli w drogę, mając przed sobą cały dzień jazdy. Rozpoczęli podróż wcześnie, kiedy powietrze wydawało się względnie chłodne. Z czasem stawało się coraz goręcej i konie zwolniły tempa.

Często Andre przyłapywał się na tym, że zasypia w siodle.

Mimo to droga do Le Cap, o wiele mniej górzysta, była łatwiejsza do pokonania niż droga z Port - au - Prince do posiadłości Villaretów.

W istocie poruszali się z szybkością, która wyraźnie zadowalała Tomasa; pozwalało mu to żywić nadzieję, że dotrą do miasta wcześniej, niż przewidywał.

Wieczór zastał ich na równinie; wokół rozciągały się same pola uprawne i trudno było znaleźć bezpieczne miejsce na nocleg.

W końcu Murzyn wskazał takie miejsce. Wprawdzie nie rosły tam wysokie drzewa, mogące osłonić ich przed wścibskimi spojrzeniami kręcących się w pobliżu wieśniaków, ale Andre uznał je za względnie bezpieczne.

W ciągu dnia, w południe, stanęli, by kupić pożywienie, a Tomas pojechał przodem.

Posiłek nie smakował im zbyt dobrze, ale zjedli potem trochę owoców rosnących dziko wszędzie dookoła i w ten sposób zaspokoili głód.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru, Andre i Saona zasnęli prawie natychmiast.

Przez ostatnie kilka godzin mężczyzna bardzo martwił się stanem Saony, chociaż dziewczyna wcale się nie skarżyła.

Od czasu do czasu osuwała się w siodle i Andre chciał już zaproponować, by jechała razem z nim, wówczas mógłby podtrzymać ją ramieniem.

Potem jednak uznał, że nie wolno im podjąć takiego ryzyka.

Cóż mogło wyglądać bardziej podejrzanie niż zakonnica jadąca w jednym siodle z mężczyzną, i w dodatku do mocno niego przytulona?

„Pozostała nam tylko jedna noc - pocieszał się w myśli Francuz - i w końcu dotrzemy do Le Cap”.

Zapadł w ciężki sen, tylko po to, by po krótkim czasie obudzić się z przestachem, znajdując u swojego boku klęczącego Tomasa.

- Co się stało? - zaniepokoił się.

- Ruszajmy, m'sieur!

- Teraz? - zdziwił się Andre, uświadamiając sobie, że jest środek nocy.

- Bębny mówić niebezpieczeństwo!

- Bębny?

Wypowiadając te słowa, usłyszał ich rytm gdzieś daleko, tak daleko, że dźwięki wydawały się słabsze od uderzeń serca, a jednak rozbrzmiewały.

- O czym one mówią? - zapytał.

- Niebezpieczeństwo dla pana, m'sieur,

- Dla mnie? Chcesz powiedzieć, że twoi przyjaciele z tych okolic wiedzą, kim jestem?

- Damballah ochraniać m'sieur.

W głosie Tomasa zabrzmiała wymówka i Andre szybko zerwał się na nogi.

- Jestem już w tej chwili wielkim dłużnikiem Damballaha - oświadczył - a więc skoro on każe nam iść, wykonamy jego polecenie.

Nachylił się nad Saoną.

- Obudź się, kochanie. Musimy ruszać w drogę. Dziewczyna otworzyła oczy, po czym zamknęła je ponownie.

- Jestem... taka... zmęczona.

- Wiem, moja złota - powiedział Andre - ale bębny ostrzegają nas przed niebezpieczeństwem.

Dziewczyna słysząc jego słowa zeszywniała.

- Nie... niebezpieczeństwem?

- Tak twierdzi Tomas - odparł mężczyzna. - Słyszysz bębnienie?

Saona usiadła.

- Tak mi się wydaje.

- W takim razie musimy zrobić, co nam każą - zdecydował Francuz.

Pomógł jej wstać, a Tomas zebrał koce, przytroczył je do siodła, po czym kolejny raz wyruszyli w drogę.

Jechali przez co najmniej dwie godziny, zanim księżyc i gwiazdy na niebie zaczęły blednąć, a ich miejsce zajął niewyobrażalnie piękny poranek, cały złocący się nadzieją.

Ponieważ tak wcześnie rozpoczęli dzień, Andre nie zdziwił się, kiedy zatrzymali się na posiłek, a Tomas obwieścił:

- Dojechać do Le Cap dziś wieczorem. Francuz z trwogą spojrzął na Saonę.

- Czy wystarczy ci sił? - zapytał. - Dobrze by było, gdybyśmy dotarli na miejsce o zmroku.

- Dam sobie... radę - krótko ucięła dziewczyna. Widział po jej oczach, że jest straszliwie zmęczona.

- Myślę, że nie ma żadnych szans na zdobycie odrobiny brandy albo jakiegoś wina? - zapytał Tomasa.

- Ja znaleźć, m'sieur - zapewnił służący.

Kilka mil dalej kazał im na siebie poczekać, a sam ruszył do pobliskiej wioski.

Wrócił trzymając w ręce ciemną butelkę, w której, o czym Andre już wiedział, znajdował się clarin.

Doskonale pamiętał, gdzie ostatnio widział taką butelkę; na ceremonii voodoo, kiedy papaloi i mamaloi wypili spory łyk płynu, po czym plunęli białymi bryzgami rumu na pozostałych uczestników obrzędu.

Biały mężczyzna spróbował napitku i stwierdził, że jest naprawdę mocny. Ale rum, rozgrzewający od środka, z pewnością zmniejszy ich napięcie i wyczerpanie.

Poprosił Tomasa, by wyjął kubek, który znajdował się pośród bagaży zawieszonych u siodła. Napełnił naczynie do połowy sokiem z pomarańczy zerwanej z drzewa, po czym dolał do niego rumu.

- Wypij to, kochanie - zwrócił się do Saony.

- Czy to bezpieczne? - zaniepokoiła się. - A jeżeli spadnę z konia?

- Nic podobnego się nie zdarzy - zapewnił ją - a poczujesz się po tym silniejsza.

Dziewczyna wypija alkohol, bo tak chciał jej ukochany, a zaraz potem uczynił to również Andre, nalegając, by Tomas poszedł w ich ślady.

Trzy godziny później zatrzymali się na następną porcję rumu; w tej chwili Francuz był całkowicie przekonany, że Saonę utrzymuje w jakiejś takiej formie tylko clarin.

Była tak zmęczona, że nie mogła mówić. Kiedy ruszyli w dalszą drogę, zaraz po zachodzie słońca, odebrał od niej wodze i sam prowadził jej konia.

- Trzymaj się obydwoma rękami, moja złota - nakazał. - Już naprawdę niedaleko.

Nie bardzo wierzył w to, co mówi, ale po półgodzinie zobaczył światła Le Cap i światełka statków zakotwiczonych w wielkiej zatoce.

Nie umiał powiedzieć, jakie to statki i pod jaką pływają banderą. Jedyne, co mu pozostawało, to modlić się żarliwie, by jeden z nich okazał się amerykański.

Odnosił wrażenie, że Tomas bardziej przejął się mową bębnową, niż to okazywał.

Wiele razy w ciągu dnia, jadąc tak szybko, jak tylko wytrzymały to konie, oglądał się za siebie, jakby spodziewał się zobaczyć ścigających ich żołnierzy.

Ale teraz przed nimi rozciągało się Le Cap i światła jarzące się w domach, tak zachęcające jak żadne inne dotąd w życiu Andrego.

Stępa przejeżdżali wąskimi uliczkami, po których nawet o nocnej porze przechadzało się wielu ludzi.

Żołnierze na służbie rozsiedli się na schodkach, obejmując ramionami murzyńskie dziewczyny.

Sprzedawcy żywności i innych dóbr zachwalali swoje wyroby wszystkim, którzy chcieli ich słuchać.

Wielu mężczyzn, zwłaszcza żołnierzy, wyglądało na niezbyt trzeźwych.

Andre spotkał się już z opinią, że kiedy żołnierze nie mają nic do roboty, stają się coraz mniej posłuszni wobec swoich oficerów.

Jak zawsze, tak i tu Tomas znał drogę, a zatem bez przeszkód, jadąc dość szybko, przemierzali ulice. Prawie nikt nie zwracał na nich uwagi, może oprócz kilku osób, które ze zdziwieniem spoglądały na siostrę zakonną jadącą konno.

Potem na tle gwiazd Andre dostrzegł wieżę kościoła, i kiedy Tomas zatrzymał konia, biały mężczyzna wiedział, że dotarli na miejsce.

Zsiadł ze swego wierzchowca i podszedł do Saony, by i jej pomóc zsiąść, i stwierdził, że dziewczyna jest tak zmęczona, iż nie ma siły ustać na nogach.

Wziął ją więc na ręce, a Tomas skierował się do drzwi drewnianego domku stojącego obok kościoła i zapukał.

Trzymając umęczoną podróżniczkę w ramionach, z jej głową wspartą na swej piersi, Andre myślał, że pierwszą

rzeczą, którą musi uczynić, jest zdjęcie z siodeł bagaży, zawierających woreczki ze złotem i z brylantami.

Jak gdyby czytając w jego myślach, Murzyn odwrócił się i powiedział:

- Rozpakować teraz, m'sieur.

- Zrób to - zgodził się jego pan i zbliżył się trochę do drzwi.

Kiedy się otworzyły, ujrzał mężczyznę w sutannie, który patrzył na nich pytająco.

Był Murzynem i Andre domyślił się, że ma przed sobą brata matki przełożonej.

- Kim jesteście i czego potrzebujecie? - zapytał ksiądz.

- Mam przy sobie list od siostry księdza, mon pere - odparł Francuz. - Powiedziała, że będzie ksiądz na tyle uprzejmy, iż znajdzie dla nas jakieś miejsce, w którym moglibyśmy odpocząć. Przebyliśmy bardzo długą drogę.

- Od mojej siostry?! - wykrzyknął zaskoczony ksiądz, po czym dodał pośpiesznie: - Wejdz, mój synu! Czy to jedna z jej zakonnic?

- Jest ogromnie zmęczona - wyjaśnił przybysz. Gospodarz wprowadził ich do domu, bardzo małego i prawie w ogóle pozbawionego mebli.

Andre delikatnie posadził Saonę na krześle. Dziewczyna miała zamknięte oczy i wyglądała na całkowicie wyczerpaną.

- Właśnie przygotowywałem sobie coś do jedzenia - rzekł ksiądz. - Może przyłączycie do mnie - kawa jest gorąca.

- Z największą przyjemnością napijemy się kawy - oświadczył Andre. - Jesteśmy też okropnie głodni.

- Wszystko, co mam w domu, jest do waszej dyspozycji - zaprosił gospodarz.

Tymczasem wszedł Tomas niosąc zwinięte bagaże, które położył tuż koło drzwi.

- Konie możesz zaprowadzić na tył domu - powiedział ksiądz.

- Pomogę mu - stwierdził Andre, po czym wyszedł za służącym w noc. - Rozkulbacz konie, a potem postaraj się sprawdzić, czy w porcie stoi jakiś amerykański statek - poinstruował go cichym głosem.

Murzyn nie odpowiedział, ale Andre wiedział, że wypełni jego polecenia.

Nie chcąc zostawiać Saony samej przez dłuższy czas, wrócił do domu, zamykając za sobą drzwi.

Ksiądz właśnie podawał gościowi filiżankę z kawą, i choć z wysiłkiem, dziewczyna zdołała jednak podnieść naczynie do ust.

Andre także przyjął z wdzięcznością parujący napój.

Kawa była gęsta i ciemna, ale ze względu na zmęczenie i pragnienie Andre uznał, że jest to najlepsza kawa, jakiej do tej pory próbował.

Poczuł, że znużenie go opuszcza, i zauważył, że Saona także się ożywiła.

- Tej nocy zostańcie tutaj - zaproponował ksiądz - a jutro powiecie mi, jak mogę wam pomóc.

- Myślę, że matka przełożona wiele wyjaśnia w swoim liście - rzekł Francuz, wyjmując kartkę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Czy kiedy ją opuszczaliście czuła się dobrze i była... bezpieczna?

Wahanie między ostatnimi słowami dowodziło, że ksiądz martwił się o siostrę.

- Raczej nic jej nie zagrażało - podniósł go na duchu Andre. - To ona pomogła nam uciec.

- Uciec? - ostro zapytał gospodarz.

- Wiedziała, że ścigają mnie żołnierze z Port - au - Prince.

Ksiądz zacisnął usta, po czym powiedział:

- Cesarz znajduje się w drodze do Le Cap. Zjawi się tu prawdopodobnie jutro!

- Co się stało? - zapytał biały mężczyzna.

- Jego ekspedycja przeciwko Hiszpanom skończyła się porażką.

- Przypuszczam, że nie wprawiło go to w najlepszy humor - zauważył Francuz - i jak księdzu dobrze wiadomo, nie przepada on za Mulatami.

- Dlatego rozsądnie zrobicie, opuszczając miasto - stwierdził ksiądz.

- Będziemy się starali - zapewnił go gość - ale najpierw mam do ojca wielką prośbę.

- O co chodzi?

- Kobieta, która mi towarzyszy, nie jest zakonnica - wyznał Andre. - Od dziesięciu lat ojca siostra dawała jej schronienie i opiekowała się nią. Chciałbym, żeby ksiądz udzielił nam ślubu.

Gospodarza zaskoczyła ta wiadomość, ale powiedział:

- Jeżeli macie opuścić Le Cap przed przyjazdem cesarza, lepiej będzie, jeśli pobierzecie się od razu.

- Ja też tak myślę - rzekł gość uradowany. Saona patrzyła na niego ze zdumieniem.

Andre podszedł do niej, wyjął z jej rąk pustą filiżankę i spodeczek, po czym cichym głosem zapytał:

- Dlaczego mamy dłużej czekać na to, by zostać mężem i żoną?

Mówiąc to patrzył ukochanej w oczy, w których iskrzyły się zarówno miłość, jak i zaufanie. Serce mężczyzny mocno zabiło w piersi.

- Zrobię... cokolwiek będziesz sobie życzył - wyszeptała dziewczyna.

Andre uniósł jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Przypuszczam, że chcielibyście się odświeżyć - rzekł ksiądz. - Kiedy już będziecie gotowi, przejdźcie tymi drzwiami. Prowadzą wprost do kościoła. Będę na was czekał.

- Dziękuję, mon pere - odpowiedział Andre.

- Nie możemy teraz odprawić całej ceremonii ślubnej - oznajmił ksiądz - ale jutro rano możecie uczestniczyć we mszy, którą i tak odprawiam o godzinie siódmej, a o szóstej czterdzieści pięć możecie się wyspowiadać.

Nie czekał na odpowiedź, tylko szybko wyszedł drzwiami prowadzącymi do kościoła. Andre pomógł Saonie wstać.

- Wiem, że chciałabyś mi zadać mnóstwo pytań, moja złota - zaczął - i prawdopodobnie uważasz, że niepotrzebnie tak się śpieszę. Ale jestem przekonany, że powinniśmy skorzystać z nadarzającej się okazji. Jutro musimy postarać się wydostać z Le Cap.

- Ja... rozumiem - potwierdziła Saona. - Z radością... uczynię, czego tylko zażadasz.

Mężczyzna ponownie ucałował jej dłoń.

- Ponieważ dom ten jest tak mały - ciągnęła dziewczyna - sądzę, że nie będę miała trudności ze znalezieniem miejsca, gdzie można opłukać z kurzu przynajmniej twarz.

Andre zauważył drzwi prowadzące z pokoju i domyślił się, że za nimi znajduje się sypialnia księdza.

W rogu stała miska z wodą. Mężczyzna wniósł do środka lampkę, by Saona mogła widzieć, co robi.

Następnie, wiedząc, że wszystkie drewniane domki buduje się mniej więcej podobnie, Andre wyszedł przez tylne drzwi i znalazł się na małym podwórku.

Tak jak się spodziewał, stała tam studnia, więc nabrał trochę wody, po czym polał sobie głowę i umył ręce. Od razu poczuł się czysty i rześki.

Szkoda, że nie mógł na tak ważną uroczystość zmienić zakurzonego ubrania. Saona też z pewnością pragnęłaby mieć

na sobie tradycyjną białą suknię z koronkowym welonem i stroikiem z kwiatów pomarańczy.

„Ale to nie ma znaczenia - pocieszył się w myśli - jeśli ma ona zostać moją żoną”.

Wrócił do jadalni i rozpakował bagaże, które Tomas zostawił przy drzwiach.

Nagle uderzyła go myśl, że niebezpiecznie jest trzymać brylanty w torbie, której nawet nie można ze sobą nosić.

Szybko, zanim wróciła Saona, nappełnił kieszenie drogocennymi kamieniami.

Następnie, ponieważ woreczek był jeszcze do połowy pełny, rozerwał podszewkę marynarki i tam ukrył resztę kamieni.

Będzie teraz musiał być ostrożny, żeby diamenty nie rozsypały się srebrzystym strumieniem, co mogłoby w najlepszym przypadku wzbudzić zdziwienie.

Wsunął na powrót do tobołka z ubraniami woreczek po brylantach, po czym sięgnął po sakiewkę ze złotem.

To akurat, pomyślał, może okazać się bardzo potrzebne, ponieważ pieniądze, które przywiózł ze sobą na Haiti, już się kończyły.

Odłożył na bok kilka gwinei, które postanowił przeznaczyć na wynagrodzenie dla Tomasa, następnie owinał torebkę ubraniami, które tak jak poprzednio, ściśle związał.

Trzeci tobolek zawierał rzeczy Saony, które z pewnością przydadzą się jej, kiedy już ksiądz wskaże im miejsce ich spoczynku.

W pokoju znajdowały się schody, wąskie i wyraźnie rozchwiane. Prowadziły na piętro, gdzie, jak domyślał się Andre, są pokoje, które oni dzisiaj w nocy zajmą.

Właśnie kończył zawiązywać świeży krawat, kiedy do pokoju weszła Saona.

Nadal miała na sobie długi welon i barbet, ale wyglądała na odświeżoną i jej oczy błyszczały podnieceniem.

Podbiegła do towarzysza i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Czy... naprawdę... pobierzemy się dzisiaj? - zapytała. - Pomyślałam, że... może śniłam, kiedy mówiłeś mi o tym.

- Nie śniłaś, moja najdroższa - zapewnił ją. - Pragnę przede wszystkim, zanim zaczniemy snuć plany na przyszłość, byś została moją żoną.

- Cesarz... zjawi się tu... jutro.

- Wiem - potwierdził - ale czy zapomniałaś, że obydwójce pozostajemy pod specjalną opieką?

Dziewczyna uśmiechnęła się i Andre z trudem oparł się chęci, by ją pocałować.

Tęsknił za dotknięciem jej ust i drzeniem jej ciała, kiedy trzyma ją w ramionach, tak jak wtedy w ogrodzie.

Ale powiedział sobie, że musi odłożyć na później pieśczęty, jeżeli Bóg będzie łaskawy i pozwoli im uciec z pułapki. A intuicyjnie czuł, że zacieśnia się ona wokół nich coraz bardziej.

- Chodźmy - powiedział. - Musimy się pobrać. Jest to dla mnie ważniejsze niż cokolwiek innego.

Wziął ją za rękę i wyszli drzwiami, które według słów księdza miały zaprowadzić ich do kościoła.

Okazało się, że był on bardzo mały, sklecony ze zwykłych desek. Zbudowano go po pożarze, który zniszczył wszystkie budynki w Le Cap. Nie brakowało w nim jednak niczego - był krzyż, figura Matki Boskiej i świętego Antoniego, lampka jarząca się czerwono nad ołtarzem, na którym paliło się sześć świec.

Ksiądz już na nich czekał, trzymając w ręce modlitewnik. Andre podprowadził dziewczynę w jego stronę, po czym obydwójce uklękli przed duchownym.

Msza niczym nie różniła się od nabożeństwa odprawianego w katedrze Notre - Dame czy w Chartres, a słowa modlitw, które znali od dzieciństwa, zdawały się nabierać specjalnego znaczenia.

Nagle Andrem wstrząsnęła dziwna myśl, że on, zawsze tak oporny, jeśli chodzi o małżeństwo, żeni się właśnie z kobietą, którą poznał kilka dni temu.

Tak naprawdę zostali sobie poślubieni w chwili, gdy obydwójce pomalowali swe ciało, by udawać Mulatów, i gdy jego narzeczona włożyła na siebie pożyczony habit zakonnicy.

Nieważne jednak, jak wyglądali. Zadośćuczynienie stanowiła chwila, w której ksiądz połączył ich węzłem małżeńskim, a oni powtarzali za nim odwieczne słowa przysięgi małżeńskiej.

Ich serca były jednym rytmem, ich dusze połączyło oddanie się sobie nawzajem i Bogu, którego obydwójce wyznawali - i to stanowiło istotę ich szczęścia.

Ksiądz podniósł dłonie i słowa błogosławieństwa płynęły z jego ust w najwyższym natchnieniu:

- Dominus Deus Omnipotens benedicat vos, impleat que benedictionem in vobis.

- Amen! - wypowiedział szeptem Andre i usłyszał obok siebie takie samo cichutkie „amen” Saony.

Nagle od drzwi kościoła dobiegł ich donośny głos.

- M'sieur, m'sieur!

Francuz odwrócił głowę, po czym zerwał się na równe nogi. Osobą, która krzyczała, był Tomas.

- Iść! Iść szybko! Statek czekać. Szybko!

- Statek? - zapytał zaskoczony Andre.

- Amerykański statek odpływać. Szybko! Mężczyzna pomógł Saonie wstać z kolan.

- Merci, mon pere - podziękował i pobiegł nie w stronę wejścia do kościoła, ale drzwi prowadzących do pokoju księdza.

Porwał bagaże i wypadł na ulicę, wpadając na Tomasa, który domyśliwszy się, co pan chce zrobić, pobiegł dookoła, by ich spotkać.

Odebrał bagaże od Andrego, po czym pobiegł ulicą z taką szybkością, że trudno było za nim nadążyć.

Szczęśliwie droga prowadziła w dół, a ostrożny służący prowadził ich ciemnymi, opustoszałymi uliczkami, tak więc nikt nie mógł zobaczyć dziwnego widoku, jaki z pewnością tworzyli.

Saona potknęła się, Andre bez słowa chwycił ją na ręce i ruszył dalej.

Wreszcie zobaczyli zatokę i Tomasa biegnącego po nabrzeżu i wrzeszczącego:

- M'sieur chodź! Czekać! M'sieur tutaj!

Murzyn nie wiedział, kto jeszcze słyszy go w ciemności, ale kiedy Andre dotarł do niego, niemal bez tchu od szybkiego biegu, służący przestał krzyczeć.

Przy brzegu stała łódka, siedzieli w niej czterej marynarze, co Francuz zdążył zauważyć, pomagając do niej wsiąść Saonie.

Następnie wyjął z kieszeni przygotowane wcześniej ludwiki i wcisnął je w rękę Tomasa.

- Nie, m'sieur, nie!

- Idź z Bogiem, Tomas. Nigdy nie zdołam ci się odwdzińczyć - powiedział Andre i wskoczył do łódki, nie słuchając dalszych protestów służącego.

Marynarze odbili od brzegu, a on odwrócił się, by stwierdzić, że Tomas nadal stoi i przygląda się ich odjazdowi.

Andre pomachał z łodzi na pożegnanie i wzdychając z ulgą uświadomił sobie, że za sprawą niezwykle szczęśliwego

przypadku spotkał Murzyna na początku swojego pobytu na Haiti, i szczęście nie zawiodło go do końca.

Miasto otaczały wysokie góry, i patrząc na nie Andre zastanawiał się, czy bębny voodoo przekazują wiadomość tym, którzy mogą być nią zainteresowani, że udało im się uciec.

Poczuł, że palce Saony wsuwają się w jego dłoń, i zrozumiał, że dziewczyna przeżywa dokładnie to samo co on. Lęk, że wszystko złożyło się zbyt cudownie, by mogło być prawdziwe.

Dobili do burty wielkiego czteromasztowca, na którego rufie powiewała amerykańska flaga.

Gdy tylko weszli na pokład, zaraz podszedł do nich mężczyzna, przypuszczalnie kapitan statku.

- Oficer, który właśnie przyплыł drugą łodzią, poinformował mnie, sir - zaczął - że chcecie dostać się do Ameryki.

Kiedy to mówił, jeden z marynarzy uniósł latarkę, by oświetlić ich twarze.

Francuz od razu zorientował się, że widząc dokładnie pasażerów, kapitan zeszywniał.

Wyraźnie nie podobał mu się ich widok.

Andre szybko, domyślając się, co sądzi kapitan, wyjaśnił po angielsku:

- Jestem hrabia de Villaret, a ta dama to moja żona. Musi pan zrozumieć, kapitanie, że aby dotrzeć tu bezpiecznie, zmuszeni byliśmy przebrać się i zmienić kolor naszej skóry.

- Jest pan Francuzem? - zdziwił się kapitan.

- Jestem białym człowiekiem - odpowiedział Andre - i rozumie pan chyba, że gdyby mnie rozpoznano, moje życie nie warte by było centa.

Pamiętał, że dokładnie to samo mówił mu Jacques. Kapitan wyciągnął rękę.

- Witam na pokładzie, hrabio! - rzekł uprzejmie. - Postaramy się zapewnić panu i małej damie jak największe wygody.

- Będziemy bardzo wdzięczni, pozostając pod opieką flagi Stanów Zjednoczonych Ameryki - grzecznie podziękował Andre.

- Możemy to panu przyrzec - zapewnił kapitan. - Prawdę mówiąc, sir, ma pan szczęście, jeśli mogę tak się wyrazić.

Andre czekał na wyjaśnienia.

- Właśnie odstawiliśmy na Jamajkę naszego ambasadora i kabina, którą zajmował wraz z żoną w czasie podróży, jest nie tylko wolna, ale stanowi wręcz chlubę tego statku.

- Jeszcze raz dziękuję - uśmiechnął się Andre. Kapitan pstryknął palcami.

- Panie Marshberg - zwrócił się do oficera stojącego opodal - proszę odprowadzić hrabiego i hrabinę na dół i zadbać, by zajęto się nimi w odpowiedni sposób.

Młody marynarz, jak zauważył Andre, przyglądając się im z ciekawością, zaprowadził ich do dużej i wygodnej kabiny.

Stało w niej ogromne, staroświeckie łóżce z baldachimem, na szerokość całej ściany. Po jego bokach wisiały zasłony, które po zsunięciu zapewniały zupełną intymność, a w ciągu dnia sprawiały, że mebel nie rzucał się tak bardzo w oczy.

Stały tam też fotele i stół, z sufitu zaś zwieszała się latarnia, oświetlająca pomieszczenie złotym blaskiem.

Oficer przykazał im bez skrupowania zawiadamiać go o wszystkich potrzebach. Po chwili wszedł służący, niosąc bagaże, które Andre wrzucił do łodzi.

Wreszcie drzwi zamknęły się za obsługą i Francuz stanął przed Saoną z uśmiechem na twarzy.

Wyciągnął do niej ramiona, zamierzając przytulić ukochaną, ale w tej samej chwili wydała ona słaby okrzyk.

- Nie... nie! Nie, dopóki nie poczuję, że jestem znowu sobą!

- Doskonale - zgodził się mężczyzna. - Chociaż muszę przyznać, że to bardzo dziwne małżeństwo, w którym jedynym pragnieniem żony jest ukrywanie twarzy!

- Chcę być... piękna dla ciebie - szybko wyjaśniła Saona - i nie czuć się dłużej tak jak dotąd.

- Ale o co chodzi? - zapytał małżonek. Równocześnie odwiązywał jeden z tobołków, gdzie

Tomas schował barwnik z drzewa, który miał na powrót przywrócić naturalny kolor ich skórze.

- Czuję się brzydka, brudna, zmęczona... a jednak bardzo, bardzo szczęśliwa - wyjaśniła Saona.

- Jeżeli będziesz dalej tak mówiła - postraszył ją mężczyzna - pocałuję cię bez względu na twój wygląd.

- Chcę, by nasz pocałunek był tak cudowny jak ten... w ogrodzie - powiedziała. - Nigdy nie myślałam, że całowanie może... przypominać... niebo.

Z trudem powstrzymał się od pieszczoty, kiedy tak do niego mówiła. Zamiast tego jednak wyciągnął spomiędzy ubrań małą paczuszkę zawierającą sproszkowany barwnik.

Wypadł przy tym z bagaży skórzany woreczek ze złotymi ludwikami.

Monety rozsypały się po podłodze.

Andre roześmiał się.

- Zabezpieczyłem się też na wypadek, gdybyśmy przez omyłkę zostawili gdzieś nasze bagaże - wyjaśnił. - A teraz muszę wyjąć zza podszewki marynarki wszystkie brylanty, które tam schowałem, i włożyć je z powrotem do sakiewki.

Saona aż krzyknęła.

- Zupełnie o nich zapomniałam! Zabezpieczyłeś je?

- Tak - potwierdził mężczyzna - i myślę, że kiedy dotrzemy do Ameryki, przyniosą ci dużo przyjemności, moja droga.

Pozostawiając monety na podłodze, wsypał garstkę barwnika do miseczki, którą znalazł pomiędzy innymi przyborami do mycia w kącie kajuty.

Dolał odpowiednią ilość wody, zgodnie z instrukcjami Tomasa, po czym dokładnie wymieszał zawartość naczynia.

Po chwili roztwór przybrał czysty i niewinny kolor, taki jak płyn do mycia rąk, który podał im Tomasz w ogrodzie.

Saona usiadła przed lustrem i najpierw zdjęła z głowy czarny welon, potem barbet. Jej złote włosy rozsypały się po ramionach.

Andre postawił przed nią miseczkę.

- Tego właśnie potrzebujesz - oznajmił. - Nie będę się przyglądał, jak zamieniasz się z powrotem w małą świętą, w której się zakochałem.

- Nie jestem... świętą - sprzeciwiła się Saona. - Jestem... twoją żoną, zapomniałeś?

- Nie - zapewnił ją mężczyzna - i dlatego pośpiesz się, bo pragnę postąpić z tobą jak z żoną, a nie z zakonnicej Mulatką.

Używając chusteczki dziewczyna poczęła nakładać mieszankę na twarz.

- Trochę piecze - zauważyła - ale matka przełożona dała mi krem zrobiony z miodu i płatków róży, który łagodzi każde podrażnienie.

- Mam nadzieję, że nie zużyjesz wszystkiego - przypomniał jej Andre. - Nie zapomnij, że mnie też będzie potrzebna odrobina tego specyfiku.

Ktoś zapukał do drzwi, więc podszedł do nich, by je otworzyć.

- Z pozdrowieniami od kapitana, sir. Prosił, by zapytać, czy życzyście sobie państwo kolację i butelkę wina. Właśnie podnosimy kotwicę.

- Proszę podziękować kapitanowi - odezwał się Francuz - i przekazać, że z rozkoszą przyjmujemy jego propozycję.

Zamknął drzwi.

- Pośpiesz się - zwrócił się do kobiety - a kiedy ja też doprowadzę się do porządku, zjemy elegancką kolację, podczas której będę wreszcie mógł wznieść toast na cześć mojej żony. W końcu jest to nasza noc poślubna.

- Już prawie skończyłam - odparła dziewczyna. - Na szczęście matka przełożona przyciemniła tylko moje ręce i twarz.

Andre zdjął marynarkę i powiesił ją ostrożnie, tak by brylanty nie wysypały się z kieszeni.

„Jutro - pomyślał - przesypię je do woreczka, w którym je znalazłem”.

Teraz czuł się zbyt zmęczony.

Jednak mimo to, żeby zadowolić Saonę, musi jeszcze zmyć z siebie barwnik, który tak umiejętnie nałożył na jego ciało Jacques i który służył mu tak doskonale.

Saona żywo wstała z krzesła.

- Zobacz! - krzyknęła - Teraz jestem sobą i mam nadzieję, że także kobietą, którą mój mąż chciał poślubić.

Andre spojrzał w jej oczy.

- Za krótką chwilę - zaczął - wyjaśnię ci dokładnie, co czuje do ciebie twój mąż, ale najpierw, ponieważ barwnik pokrywa całe moje ciało, proponuję, żebyś zasunęła zasłony wokół łóżka i odpoczęła, dopóki nie przyniosą naszej kolacji.

Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Potem wzięła swój bagaż. Andre zaczął rozwiązywać krawat.

- Jeżeli przyjmiesz moją radę - odezwał się - to sadzę, że wygodniej ci będzie, jeżeli zdejmiesz ubranie i włożysz

koszulę i szlafrok, jeśli masz go ze sobą. Będiesz przecież jeść kolację tylko z mężem, a więc możesz być swobodnie ubrana.

- Myślę... że będę się... czuć... zawstydzona - powiedziała cicho Saona.

- Lubię, kiedy się wstydzisz - stwierdził mężczyzna. - A teraz ostrzegam, że zamierzam zdjąć z siebie całe ubranie!

Dziewczyna krzyknęła i zniknęła za kotarą łóżka.

Andre zdjął odzież, po czym zaczął nakładać na siebie roztwór, podobnie jak to robiła Saona.

Wydawało się niemal cudem, że tak szybko usuwał to, co uważał za mocną i trwałą farbę.

Najpierw wybielił twarz, następnie jedną stronę klatki piersiowej, a kiedy zabierał się do drugiej, ktoś zapukał do drzwi.

Szybko owinął się w ręcznik, po czym zawołał:

- Proszę wejść!

Do kabiny wszedł steward z tacą w ręku. Na niej stały naczynia z jedzeniem i butelka wina w kubelku. Mężczyzna postawił tacę na stole.

- Czy mam zostać i podawać do stołu, sir? Spojrzał na Andrego i otworzył usta ze zdumienia.

Potem wykrzyknął;

- Nigdy dotąd nie widziałem łaciatego człowieka! Uprzytomniwszy sobie, że jego uwaga może zostać poczytana za impertynencję dodał:

- Proszę wybaczyć, sir.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Andre. - Wolelibyśmy sami się obsłużyć, dziękuję bardzo.

Steward pośpiesznie opuścił pomieszczenie, a on zaczął się zastanawiać, coż też powie tamten reszcie załogi.

W końcu udało mu się zetrzeć niemal całą farbę. Osuszył się, wyjął czystą, choć trochę wygniecioną koszulę ze swojego tobołka i włożył ją na siebie.

Szczęśliwie znalazł też w bagażu parę wygodnych długich spodni, i kiedy uznał, że jego wyglądowni nie można prawie nic zarzucić, odsłonił kotarę.

- Kolacja czeka, moja damo! - zaanonsował, po czym zobaczył, że Saona pogrążona jest w głębokim śnie.

Tak jak jej poradził, włożyła na siebie koszulę, a jej biały szlafroczek leżał na brzegu łóżka.

Prawdopodobnie kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast pod wpływem wyczerpania zapadła w głęboki sen bez snów.

Andre przyglądał jej się z czułością.

Wyglądała niewiarygodnie pięknie z jasnymi włosami rozsypanymi na poduszce, z białą, nawet bielszą niż pamiętał skórą i czarnymi rzęsami na alabastrowych policzkach.

Była obrazem młodości, niewinności, czystości.

Ostrożnie zasunął kotary.

Potem usiadł przy stole, zjadł coś niecoś i wypił trochę wina.

Stwierdził, że jest naprawdę głodny; to była reakcja na fakt, iż nie musiał już więcej obawiać się o swoje życie, a zwłaszcza o życie Saony.

Uświadomił sobie, jak okropne były ostatnie dwa dni.

Wiedział, jak bardzo Tomas bał się, że zostaną ujęci, zanim dotrą do Le Cap, i sam się lękał, że jakiemuś zbyt gorliwemu żołnierzowi albo nowo mianowanemu urzędnikowi przyjdzie do głowy, by ich przesłuchać.

Mogło się zdarzyć tyle okropnych rzeczy, a jednak dzięki opiece boskiej i Damballaha są bezpieczni, nie tylko w tej chwili, ale do końca ich życia.

Andre, siedząc samotnie przy stole z kieliszkiem wina w dłoni, wspominał ludzi, których spotkał, odkąd przybył na Haiti: Jacques'a, Orchis, Tomasa, matkę przełożoną i przede wszystkim Saone.

Takiej żony zawsze pragnął, o takiej zawsze marzył, ale myślał, że nigdy nie uda mu się jej znaleźć.

Była młoda, o wiele młodsza, niż mógłby przypuszczać, ale w sprawach istotnych zachowywała się jak kobieta mądra i dojrzała.

Była też wcieleniem ideałów i zasad, które - ukryte przed cynicznym światem głęboko w duszy - zawsze wyznawał.

Wszedł steward, by zabrać tacę, i Andre uświadomił sobie, że sam wypił prawie całą butelkę wina.

Następnie, niewiarygodnie wprost zmęczony, rozebrał się i położył do łóżka.

Przez długą chwilę patrzył na piękną twarz kobiety leżącej obok, aż w końcu uśmiechnął się lekko i postanowił, że ponieważ mają przed sobą całe życie, nie zachowa się grubiańsko i pozwoli ukochanej spać.

Statek wciąż płynął przed siebie po spokojnych wodach.

Wiatru prawie się nie odczuwało, a i przechył na burtę nie był znaczny; pasażerowie w kabinie odczuwali to tak, jakby wspinali się, a potem schodzili z niewielkiego wzgórza.

Andre otworzył oczy.

Do wewnątrz wdzierało się przez bulaj słabe światło i mężczyzna osądził, że musi być jeszcze bardzo wcześnie.

Spojrzał zza kotar, które zostawił rozsunięte, by mieli więcej powietrza, na swoją żonę; okazało się, że już wstała i teraz, siedząc w rogu pokoju przed lustrem, rozczesywała włosy.

Miała na sobie tylko koszulę nocną. Mężczyzna pomyślał, że musiała bardzo ostrożnie opuścić łóżko, zapewne nie chcąc go obudzić.

Długo przyglądał się żonie, światłu rozjaśniającemu jej włosy, zgrabnym ruchom jej ramion, szczupłej sylwetce widocznej pod prostą koszulą, zapewne uszytą przez zakonnice.

Kiedy skończyła toaletę, ostrożnie stąpając ze względu na przechyły statku, wróciła do łóżka.

Andre patrzył na nią spod na wpół przymkniętych powiek, nie zdradzając, że nie śpi.

Saona cichutko ułożyła się na boku, starając się nie dotykać leżącego obok mężczyzny.

W tej samej chwili Andre odwrócił się, objął ukochaną i przyciągnął do siebie.

- Ty nie śpisz! - krzyknęła z wyrzutem.

- Przyglądałem się komuś bardzo pięknemu, jak stara się jeszcze bardziej upiększyć, i to dla mnie.

- Och, Andre... tak mi przykro! - zawołała. - Zasnęłam wieczorem... i dopiero kiedy się obudziłam rano... uświadomiłam sobie, że... straciłam swoją poślubną kolację.

- Mamy przed sobą dość innych kolacji, żeby wyrównać tę stratę - oznajmił. - Tak czy inaczej, nasza noc poślubna okazała się bardzo dziwna, a to dlatego, że moja żona w ogóle nie była mną zainteresowana!

- Wiesz, że... to nieprawda. Byłam tylko... taka zmęczona... taka zmęczona... ale wcale nie zamierzałam... zasnąć.

- Ja też bytem zmęczony, moja ukochana - pocieszył ją. - W innym razie postąpiłbym brutalnie i obudził cię.

- Szkoda, że... tego... nie zrobiłeś - wyszeptała. Spojrzał na nią, po czym odwrócił jej twarz ukrytą na jego ramieniu w swoją stronę.

- Teraz nie śpię - powiedział - i ty też nie, moja piękna biała żono.

- A ty, mój wspaniały... biały... mężu... jesteś bardzo... przystojny.

Przyciągnął ją nagle, niemal przemocą, do siebie.

- Czy to prawda? - zapytał. - Jesteśmy małżeństwem! Czy dociera to do ciebie, moja kochana, że jesteśmy małżeństwem?

Począł ją całować, zrazu gwałtownie, jakby nie potrafił opanować pożądania, potem coraz delikatniej. Czuł słodycz jej ust, pieścił jej ciało, aż sprawił, że kobietę przebiegł dreszcz podniecenia.

- Kocham cię! - powiedział. - Boże, jak ja cię kocham! I w dodatku udało nam się uciec! Moja złota, czy rozumiesz? Uciekliśmy!

- Bałam się - Saona - tak... się bałam, że albo żołnierze nas dościgną, albo w Le Cap zdarzy się coś strasznego i... zostaniemy... zabici.

Ton Saony uprzytomnił mężczyźnie, że koszmary z jej dzieciństwa na zawsze pozostaną gdzieś w zakamarkach jej duszy.

Ponieważ ją kochał, ponieważ uczucia dziewczyny znaczyły dla niego więcej niż własne, uspokoił ją cichym głosem:

- Teraz jesteśmy bezpieczni, moja ukochana. Musimy zapomnieć o przeszłości. Nie będzie to łatwe, ale myślę, że nasze wspólne szczęście odstraszy koszmary, tak że z czasem znikną one zupełnie.

- Kiedy... trzymasz mnie... w ramionach... łatwo mi... zapomnieć.

- Właśnie na to liczę - oznajmił. - Trzeba pamiętać zdarzenia, które przyniosły nam radość, ludzi, którzy okazali nam życzliwość, takich jak matka przełożona, Tomas i ksiądz.

- Przynajmniej... wzięliśmy... ślub - stwierdziła Saona. - Jesteśmy małżeństwem.

Nagle w jej głosie pojawił się strach, jakby obawiała się, że wczorajsza ceremonia mogła okazać się nieważna lub że jej się tylko przyśniła.

- Jesteśmy małżeństwem - stanowczo potwierdził Andre - ale ponieważ przypuszczam, że to cię uszczęśliwi, moja najdroższa, pobierzemy się powtórnie w katolickim kościele w Ameryce albo gdy już dotrzemy do Londynu.

- Ja... jestem... szczęśliwa... już teraz - odpowiedziała Saona - ale chciałabym... dla ciebie wyglądać pięknie w dniu zaślubin. Nienawidziłam tej brązowej mazi, którą miałam na twarzy.

- To było niezbędne zabezpieczenie - przypomniał mężczyzna. - Gdybym nie zabarwił skóry, mógłbym nigdy nie dotrzeć do posiadłości Villaretów i nie znaleźć ciebie.

- Kocham cię - wyszeptała Saona. - I kocham drzewo, które użyczyło ci barwnika, byś mógł się stać Mulatem, chociaż wiem, że nigdy nie stałbyś się Mulatem w duszy.

Andre zdawał sobie sprawę, że jej strach przed mieszkańcami i awersja do nich są w tej chwili naturalne, ale on sam nigdy nie zapomni Jacques'a i jego przyjaźni.

Zdecydowany był pewnego dnia, może za pośrednictwem Kirka, zrewanżować się czarnemu przyjacielowi za jego uprzejmość.

Głośno powiedział:

- Kiedy już tak wspominamy tych, którym winni jesteśmy wdzięczność, nie wolno nam zapominać o jednej osobie.

- O kim? - zaciekała się Saona.

- O Damballahu - odpowiedział z uśmiechem. - Opiekował się nami. Gdyby bębny nie ostrzegły Tomasa, nadal mógłbym znajdować się w domu, do którego zbliżali się żołnierze.

Saona krzyknęła cicho.

- Och, Andre... Andre! Gdyby cię... zabito... nie mogłabym już nigdy... pokochać nikogo innego... Zestarzałabym się w klasztorze i tam bym umarła... tak jak te biedne, stare zakonnice.

- Ale tak się nie stało - uspokajająco przypomniał Andre.
- Jednak zawsze z wdzięcznością będziemy wspominali rytm bębnów.

Westchnął i dodał:

- Kiedy przybyłem na Haiti, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek uwierzę w voodoo. Wydawało mi się, że bębny to samo zło.

- Dla nas ich bicie okazało się... rytmem miłości! - oświadczyła Saona. - Uratowały ciebie, dzięki nim jesteśmy teraz małżeństwem i bezpiecznie płyniemy tym wspaniałym statkiem.

- To prawda, bębny wybijały dla nas rytm miłości - zgodził się Andre. - Z wielką wdzięcznością będziemy pamiętać o nich przez całe życie.

Mówiąc to pocałował dziewczynę w czoło, a wtedy ona podniosła ku niemu usta, zachęcając go do pieścizot.

- Jesteś taka cudowna! - zachwycił się. - Doskonała pod każdym względem, tak że nawet teraz zdaje mi się, że mam do czynienia ze świętą, której nie wolno mi dotknąć.

- Ależ... ty... mnie... dotykasz - urywanym głosem zauważyła kobieta.

- Nie w sposób, w jaki bym pragnął - odpowiedział. - Chcę cię całować i pieścić, aż będę całkowicie przekonany, że najmniejsza nawet cząstka twego ciała należy do mnie. Wkrótce, moja złota, zacznę cię całować, poczynając od twych lśniących włosów, a kończąc na stopach.

- Bardzo... tego... pragnę - wyszeptała Saona.

- Ale teraz - stwierdził Andre - mogę jedynie całować twoje usta i pieścić twą jedwabistą skórę.

Dotknął ustami jej powiek, potem szyi, czując, jak kobieta drży przy każdym muśnięciu.

Delikatnie, by Saony nie przestraszyć, zsunął z jej ramion koszulę i zaczął całować piersi.

Robił to delikatnie, czule, jakby była kwiatem lilii, symbolu jej piękności i niewinności.

Kiedy poczuł, że ciało ukochanej przebiegają dreszcze, że jej serce bije równie mocno jak jego, zaczął całować żonę bardziej namiętnie, bardziej nagląco.

Kobietę przebiegł ognisty płomień pożądania, i Andre wiedział już, że ona pragnie go tak samo gorąco jak on jej.

- Kocham... cię - wyszeptała.

- A ja cię ubóstwiam. Czy jesteś szczęśliwa?

- Jestem... wzruszona.

- Co odczuwasz?

- Dreszcze... biegnące w górę i w dół... przeze mnie całą...

- A ja czuję je na twoich ustach.

- Całuj mnie... Och, Andre... całuj mnie.

Gdzieś w głębi duszy Andre piastował przekonanie, że bogowie, którzy ich połączyli, także cieszą się ich szczęściem.

Człowiek nie może żyć bez miłości, a to, co robili, stanowiło tylko odbicie miłości boskiej, doskonałej.

W tej chwili czuł, że bogowie chrześcijan, buddystów, muzułmanów i tych, którzy wyznawali voodoo, stanowią jedność.

Wszystkie te bóstwa inspirują ludzi do poszukiwań, wykazując im, że żyć trzeba nie w nienawiści i złu, ale w miłości.

Uczucie do Saony, wiedział dobrze, obudziło w nim najlepszą i najwznioślejszą część duszy.

Miłość, jaką mu ofiarowała ukochana, płynęła z serca, które biło zgodnym rytmem z jego sercem, i z duszy niewinnej i pięknej - daru niebios.

- Kocham cię, kocham cię! - szeptał żarliwie. -
Uwielbiam cię, moja ukochana, moja mała święta, moja żono!

- Przytul mnie... jeszcze mocniej... Och, Andre... kocham
cię tak bardzo, że... to jest aż przerażające...

- Nic więcej cię już nie przerazi, moja najdroższa.

- Miłość do ciebie mnie przeraża... wydaje się tak...
wszechogarniająca... i ciągle rośnie.

- Sprawię, że pokochasz mnie tysiąc razy bardziej niż
teraz - wypełnię całe nasze życie miłością.

- Kochany, kochany... kocham cię.

Z jej wpółotwartych ust wybiegał urywany oddech, w
oczach pojawił się błysk zrodzonego po raz pierwszy
pożądania.

Wyglądała tak cudownie, że Andre mógł jedynie
wyszeptać:

- Moja piękna - moja cudowna - doskonała - mała żona!

Słowa rozplynęły się w fali wszechogarniającego
szczęścia, takiego jak wtedy, w ogrodzie, kiedy to wydawało
im się, że oderwali się od ziemi i szybują wciąż wyżej i wyżej,
w stronę słońca.

- Ubóstwiam... cię! - wyszeptała wprost w jego usta
Saona. - Kochaj mnie... Och, Andre, kochaj... mnie.

Złączyli się w jedno, dwoje ludzi połączonych miłością
nie na życie, lecz na całą wieczność.